

PRACA KONKURSOWA
NA DZIESIĄTĄ EDYCJĘ KONKURSU „HISTORIA BLISKA”

Marcin T. Senderski

Walka o tożsamość
Kościoła Katolickiego na
Ziemiach Odzyskanych

MARCIN T. SENDERSKI

Walka o tożsamość Kościoła Katolickiego na Ziemiach Odzyskanych

Ludzie i instytucja w okowach systemu

Przeczytał i zrecenzował: dr Andrzej Zieliński

Młodzieży chrześcijańskiej

*pracę tę poświęca
Autor*

Spis treści

Spis treści	4
Spis fotografii i dokumentów	5
Spis rozmówców	6

Wstęp	7
Słowo od autora	8

CZEŚĆ I

ROZDZIAŁ 1	10
Podróż w nieznane...	
Czyli polski Kościół w pierwszych latach po wojnie	
ROZDZIAŁ 2	20
Kalendarz liturgiczny pod kontrolą	
Czyli pomysły władzy na przeszkadzanie przy obchodzeniu świąt kościelnych	

ROZDZIAŁ 3	27
Lista krzywd	
Czyli władza a katolik, jak radziły sobie jednostki?	

ROZDZIAŁ 4	38
Budownictwo na zakręcie	
Czyli budownictwo kościelne okresu PRL	

ROZDZIAŁ 5	46
Konflikt	
Czyli grzechy władzy wobec instytucji Kościoła	

ROZDZIAŁ 6	69
Władza z ludzką twarzą	
Czyli nie taki diabeł straszny, jak go malują	

ROZDZIAŁ 7	77
-------------------------	-----------

Światelko w tunelu	
Czyli zmierzając do zwycięskiego końca	

ROZDZIAŁ 8	88
-------------------------	-----------

Nigdy więcej	
Czyli czas na podsumowania i refleksje	

CZEŚĆ II

LATA 1944 – 1953	94
-------------------------------	-----------

LATA 1953 – 1970	95
-------------------------------	-----------

LATA 1970 – 1981	96
-------------------------------	-----------

LATA 1981 – 1989	97
-------------------------------	-----------

PODSUMOWANIE	
ODAUTORSKIE.....	98

ANEKS	99
--------------------	-----------

Spór o seminarium	
-------------------	--

Zakończenie	107
Podziękowania	108
Indeks miejsc	109
Indeks nazwisk	110

Spis fotografii i dokumentów

Fotografia 1

Ksiądz Jan Frenzel (1907-1945) **1 3**

Fotografia 2

Ksiądz Paweł Pyrchała prowadzi procesji
Bożego Ciała w Zabrze w latach
osiemdziesiątych **2 1**

Fotografia 3

Orkiestra kościelna z Gliwic-Sośnicy bierze
udział w pochodzie pierwszomajowym **3 1**

Fotografia 4

Fatalny stan techniczny kościoła Ducha
Świętego w Zabrze **4 3**

Fotografia 5

Bernard Dybek i Jan Zub pracują w 1988 roku
przy budowie domu katechetycznego w
Gliwicach-Sośnicy **4 5**

Fotografia 6

Pielgrzymka młodzieży na Górę świętej Anny
6 8

Fotografia 7

Tryumfalny powrót figury świętej Barbary na
kopalnię **7 9**

Dokument 2

Spektakularna pomyłka służb, chcących
zakłócić przebieg mszy świętej (31 stycznia
1949) **2 5**

Dokument 3

Nie będąc zatwierdzonym przez władze, ksiądz
Bronisław Trafas musi usunąć się z parafii
(1955 rok) **4 7**

Dokument 4

Ksiądz Paweł Pyrchała otrzymuje
zawiadomienie, że nie został zatwierdzony na
proboszcza w parafii Ducha Świętego w Zabrze
(15 listopada 1966) **4 9**

Dokument 5

Ksiądz Paweł Pyrchała z uporem zaprzecza,
jakoby był proboszczem
(29 lipca 1964) **5 3**

Dokument 6

Ksiądz Paweł Pyrchała nie dostaje zezwolenia
na dalszą naukę religii w szkole
(13 stycznia 1961) **5 4**

Dokument 7

Postanowienie władz o darowaniu kary,
nałożonej wcześniej na księdza Pyrchałę
(17 września 1969) **6 6**

Dokument 1

Odwołanie księdza Cichonia z parafii w
Miechowicach
(12 października 1945) **1 2**

Spis rozmówców

Józef Bonczol, archiwista Kurii Diecezjalnej w Gliwicach, urodzony 28 marca 1934 roku w Miechowicach, w powiecie bytomskim.

Mgr inż. **Florian Brom**, dyrektor i nauczyciel matematyki oraz informatyki w V Liceum Ogólnokształcącym im. Andrzeja Struga w Gliwicach.

Bernard Dybek, urodzony 11 sierpnia 1935 roku w Grodzisku Wielkopolskim, od 3 grudnia 1955 roku zamieszkały w Gliwicach. Mistrz ślusarski, wieloletni pracownik KWK „Sośnica”, członek Wspólnoty świętego Marcina.

Ksiądz **Józef Joachim Dyllus**, dziekan honorowy, urodzony 18 marca 1934 roku w Zabrze, wyświęcony 23 czerwca 1957 roku w Opolu, nieprzerwanie od 10 lipca 1968 roku proboszcz parafii pod wezwaniem Chrystusa Króla w Gliwicach.

Alojzy Gwóźdź (prawdziwe nazwisko do wiadomości autora pracy), urodzony 25 maja 1935 roku, z zawodu stolarz, do 1993 roku pracował w kopalni jako cieśla szybowy. Od 1991 roku świecki moderator Wspólnoty świętego Marcina, działającej przy parafii Najświętszej Maryi Panny Wspomożenie Wiernych w Gliwicach. Z żoną ma czworo dzieci i sześcioro wnucząt.

Jadwiga Koloczek, urodzona 23 marca 1944 roku w Gliwicach, członkini Wspólnoty świętego Marcina.

Ksiądz prałat **Konrad Kołodziej**, urodzony 18 listopada 1938 roku w Staniszczach Wielkich, święcenia kapłańskie przyjął w 1961 roku, proboszcz parafii katedralnej pod wezwaniem świętych Apostołów Piotra i Pawła w Gliwicach.

Państwo **Joanna i Augustyn Langer**, urodzeni kolejno 23 września 1944 roku w Gliwicach i 23 sierpnia 1934 roku w Sośnicowicach. Członkowie Wspólnoty świętego Marcina.

Ksiądz **Brunon Jerzy Ploch**, dziekan honorowy, urodzony 18 marca 1940 roku w Raciborzu Sudół, wyświęcony 23 czerwca 1963 roku w Opolu, zmarł 17 grudnia 2005 roku w

Gliwicach, emerytowany proboszcz parafii pod wezwaniem Najświętszej Maryi Panny Wspomożenie Wiernych w Gliwicach-Sośnicy.

Ksiądz infułat **Paweł Józef Pyrchala**, dziekan honorowy, urodzony 12 sierpnia 1932 roku w Dortmundzie, święcenia kapłańskie przyjął 23 czerwca 1957 roku w Opolu, od 26 czerwca 1976 roku do 31 sierpnia 2005 roku proboszcz parafii pod wezwaniem świętego Józefa w Zabrze.

Ksiądz **Zygmunt Stanula**, archiwista Kurii Diecezjalnej w Opolu, urodzony 22 stycznia 1949 roku w Ścinawie Małej koło Nysy, święcenia kapłańskie przyjął w 1977 roku w Opolu.

Wstęp

*Dla obrony wiary Kościół poświęci nawet wolność,
ale dla zachowania wolności nie poświęci nigdy wiary.*

Stefan kardynał Wyszyński (1901-1981)

Rok 1945 przyniósł Polsce i polskiemu Kościołowi przełom. Przełom przykry.

Wyznanie katolickie w czasach Drugiej Rzeczypospolitej było „religią przeważającą większości narodu”¹. Po II wojnie światowej, w wyniku przesunięcia granic, licznych wysiedleń i eksterminacji Żydów, Polska powstała z popiołów jako kraj ultrakatolicki. Mimo to nowe władze, inspirowane ideologicznym zacierzeniem Kremla, ignorowały te fakty, wdrażając plan laicyzacji kraju.

W niniejszej pracy przedstawiam szereg ludzkich historii. Jak radzono sobie z rzeczywistością? Akceptowano ją, starano się akceptować czy próbowano walczyć? Pytań nasuwa się nieprzebrana ilość. Jak naprawdę było? Jak godzono obowiązki wobec państwa z obowiązkami wobec religii?

Podczas wakacyjnego pobytu w Stanach Zjednoczonych, w prywatnej bibliotece w pewnym domu odnalazłem archiwalny numer pisma „National Geographic” z kwietnia 1972 roku. Był w nim artykuł o Polsce zatytułowany *Springtime of Hope in Poland* (Czas nadziei w Polsce) i wiązał się z niedawnym objęciem przewodnictwa PZPR przez charyzmatycznego Edwarda Gierka.

Jest czwartkowy poranek, święto Bożego Ciała. W PRL, gdzie zdecydowana większość społeczeństwa to katolicy, jest to dzień wolny od pracy. Po tradycyjnej procesji w Warszawie, Jego Eminencja Stefan kardynał Wyszyński wygłosi kazanie, zapewne na temat zmian. Co powie?

Teraz dopiero uświadomiłem sobie, jak wielka jest potęga Kościoła w Polsce. Pewnej niedzieli w Sanoku, stojąc pośród licznie zgromadzonych w kościele

wiernych, usłyszałem wypowiedziane z mocą słowa księdza:

„Nasza rodzona matka musi umrzeć. Jej serce, które bije tylko po to, by dawać szczęście swoim dzieciom, musi w końcu skończyć bieg. Ale nasza Matka w niebie jest wieczna. Możemy na Nią zawsze liczyć. Miłość wszystkich matek na świecie to nic w porównaniu z miłością Maryi do nas wszystkich.” Wysoki mężczyzna obok mnie głośno przełknął ślinę, młoda kobieta z dzieckiem w wózku sięgnęła po chusteczkę.

Istotna jest terminologia używana przez księży: Przenajświętsza Maryja Panna, Królowa Polski. Jest nią od lat pięćdziesiątych XVII wieku, kiedy z pomocą cudownego obrazu, klasztor w Częstochowie był jedyną polską twierdzą opierającą się najazdowi protestanckich Szwedów. Każdego roku obraz jest celem niezliczonych pielgrzymek.

W tysiącach polskich kościołów, na ornamentach literę „M”, symbol Maryi, łączy się z symbolem polskości – orłem, co ma przypominać wszystkie lata zaborów, kiedy Kościół był jedynym ujęciem dla polskiej świadomości narodowej, kiedy w pewnym sensie to Kościół był Polską.

Teraz widzę tłum, liczony w dziesiątkach tysięcy, przed kościołem świętej Anny w Warszawie. Przemawia srebrnowłosego kardynał Wyszyński. Mówi cicho, ale z zacięciem: „czekamy na spełnienie ostatnio danych nam obietnic. W Warszawie potrzebujemy 50 nowych kościołów. W całej Polsce, po latach restrykcji, potrzebujemy ich tysiące. Czekamy na czynny, nie słowny”.

Po lekturze tego powyższego fragmentu, przygotowanego na potrzeby czytelnika zachodniego, nie sposób nie zdać sobie sprawy z faktu, jak wielkim fenomenem na skalę światową był polski Kościół. Jak zadziwiająca jest to osobliwość dla kogoś z zewnątrz. I my, Polacy, też powinniśmy ten fenomen dostrzec.

Cofnijmy się do 1945 roku. W wyniku ofensywy styczniowej Armia Czerwona podbija ziemie należące przed wojną do Niemiec, ziemie, które niebawem miały stać się częścią państwa polskiego. Administracja kościelna praktycznie nie istnieje, podobnie jak legalna władza. Wszechmogący czerwonoarmiści dają za to okrutny „przykład”, jak rozprawić się z Kościołem, omijając prawo i zwyczaje.

Dopiero 8 lipca do kraju powraca prymas August Hlond, uzbrojony przez papieża Piusa XII w nadzwyczajne pełnomocnictwa do zorganizowania pracy Kościoła na Ziemiach Zachodnich i Północnych. 15 sierpnia mianowani zostają specjaliści administratorzy apostołscy, zarządzający diecezjami niezależnie od nieusuwalnych zgodnie ze zwyczajowym prawem kościelnym biskupów niemieckich. Na Opolszczyźnie administracja przechodzi w ręce księdza Bolesława Kominka.

Władze demonstrują niezadowolenie. Zwlekają z wydaniem frontalnego ataku, ale niebezpieczeństwo wisi w powietrzu.

¹ Artykuł 114 Konstytucji Marcowej z 17 marca 1921 roku.

² Tłumaczenie własne.

Słowo od autora

Rejestrując, przetwarzając, odtwarzając i oceniając fakty, do jakich udało mi się dotrzeć, starałem się w procesie tworzenia tej pracy uzyskać maksymalny możliwy do osiągnięcia obiektywizm. Wymagałem także od siebie zachowania pewnego dystansu do opisywanych zdarzeń. Czterdziestopięcioletnią historię walki ateizmu z katolicyzmem chciałem przedstawić oczami bezpośrednich uczestników tej walki. Mam nadzieję, że te główne założenia, jakie sobie narzuciłem, udało mi się zrealizować.

Gdzie było to możliwe i nie zakłócało komunikacji, nie korygowałem pod względem językowym i gramatycznym wypowiedzi moich rozmówców. Często była to jednak konieczność.

O „Historii Bliskiej” dowiedziałem się za sprawą mojej przyjaciółki, uczestniczki zeszłorocznej edycji konkursu. Specjalnej zachęty nie potrzebowałem. Z zamiłowania jestem dziennikarzem, lubię rozmawiać na ciekawe tematy z ciekawymi ludźmi, a przyświecająca konkursowi idea jest do tego niepowtarzalnym „pretekstem”. Dziennikarski instynkt podpowiadał mi, że pewne informacje jestem w stanie poznać jako pierwszy, może jako jedyny. Ta świadomość była głównym motorem napędowym mojej pracy. Pragnienie ocalenia historii, pragnienie zachowania wspomnień, które już lada moment mogą się zatrzeć na zawsze, pragnienie upowszechnienia często lekceważonej, ale jakże istotnej wiedzy o czasach PRL były niewątpliwie pragnieniami, które zrodziły tę pracę.

Decyzji nie podjąłem jednak pochopnie. Realizacja konkursowego tematu oznaczała ni mniej, ni więcej, tylko kilka miesięcy wytężonej pracy, i to w klasie maturalnej. Zanim ostatecznie zdecydowałem się podjąć tego wyzwania, rozważyłem wszystkie „za i przeciw”. Miłość do historii okazała się silniejsza.

Z racji mojego miejsca zamieszkania, a więc i z racji realnych możliwości, jakie miałem, w swojej pracy ograniczyłem się do badań na

obszarze Ziem Odzyskanych. Przedmiotem mojego zainteresowania był wyłącznie Kościół Katolicki. Wziąłem pod uwagę cały okres PRL, lata 1944-1989. To duża rozpiętość czasowa, za wszelką cenę usiłowałem jednak nie traktować tematów pobieżnie, wyraziście akcentować umiejscowienie w czasie danego wydarzenia, a także zachować „płynność” tekstu.

Kościół jest pojęciem bardzo szerokim. Wspomnienia związane z tą sferą ludzkiego życia kojarzą się moim rozmówcom z najrozmaitszymi sprawami. Usłyszałem setki ciekawych historii, relacji, epizodów, z których niestety nie wszystkie zawierały się w temacie badań i przez to nie mogły zostać umieszczone na łamach tej pracy.

Praca posiada dwie części. Pierwsza zawiera osiem rozdziałów. Zostały one uszeregowane na poły chronologicznie, na poły tematycznie. Wybrałem, moim zdaniem, sposób najbardziej przejrzysty. Grupowanie materiału wyłącznie chronologicznie, wyłącznie tematycznie, bądź prezentowanie relacji każdego ze świadków osobno byłyby rozwiązaniami katastrofalnymi. Część druga jest chronologiczna i posiada charakter podsumowujący. Praca zawiera aneks.

Wypowiedzi moich rozmówców są zaznaczone kursywą. W szarych ramkach zamieściłem informacje dodatkowe.

Mała historia, historia jednostek, poszczególnych ludzi tworzy historię wielką, którą znamy z książek i podręczników. Ale z natury rzeczy mała historia jest determinowana nierzadko przez wielką. W latach 1944-1989 zachowania bohaterów tej opowieści były uzależnione w sposób ścisły i nierozzerwalny z tym, co dzieje się u szczytu władzy. Dlatego też w niebieskich ramkach umieszczam możliwie najbardziej lakoniczne informacje o tym, co w opisywanym czasie działo się w polskim Episkopacie i politycznej „wierchuszce”.

Do pracy załączam płytę CD, zawierającą trzy prezentacje multimedialne. Pierwsza z nich zawiera kompletną bazę dokumentów urzędowych, z których korzystałem oraz do których nawiązywałem podczas pisania tej pracy. Druga jest zbiorem charakterystycznych fotografii czasów PRL, które zostały mi udostępnione przez moich rozmówców. W samym tekście pracy znalazły się tylko nieliczne, najbardziej istotne dokumenty i fotografie. Trzeci zbiór slajdów jest autoprezentacją autora.

Autor tej pracy jest człowiekiem wierzącym. Poza tym, nie chciałby być definiowany ani przydzielany do żadnej grupy światopoglądowej.

CZĘŚĆ I

Podróż w nieznane...

Lista pozytywów, jakie spotkały naród polski w 1945 roku to w zgodnej opinii większości żyjących wówczas ludzi jedna z najkrótszych list na świecie. Tragedia narodowa nie nastąpiła jednak z dnia na dzień – napięcie było stopniowane. O okrucieństwie i przewrotności nowego systemu najszybciej przekonali się żołnierze Armii Krajowej. Inteligencja jeszcze w 1945 roku mogła spać spokojnie. Podobnie sytuacja miała się z ludźmi Kościoła, z którymi w pierwszych latach po wojnie władze „Polski Lubelskiej” chciały żyć na dobrej stopie. Ale nie wszędzie. Na Ziemiach Odzyskanych rozprawa z Kościołem rozpoczęła się w przyspieszonym tempie. Co było katalizatorem tych wydarzeń?

Już teraz należy dokonać pewnego rozgraniczenia. Inaczej Kościół był traktowany na terenach przedwojennej Polski, a inaczej na Ziemiach Odzyskanych. Te różnice podkreślać będą niemal wszyscy moi rozmówcy, a uświadomienie ich sobie jest kluczowe. Nie ulega wątpliwości, że najbardziej palącym problemem wśród polskich katolików żyjących na Ziemiach Zachodnich, była obecność niemieckojęzycznych duchownych, czy ogólniej – dziedzictwo poniemieckie. Zgodnie z zasadą nienaruszalności biskupów, papież Pius XII pozostawił na stanowiskach przedwojennych biskupów niemieckich, zezwalając jedynie na „uzupełnienie” ich polskimi administratorami. Była to pewna niezręczność, ale i zwyczajowa konieczność. Te problemy zostały bardzo zręcznie podchwyczone przez władzę ludową, która podsyciała polsko-niemieckie antagonizmy, mając na celu dokonanie rozłamu wśród katolików.

Chcemy polskiego księdza

Mam przed sobą dwa pisma. Jedno z nich, opatrzone także załącznikiem, pochodzi z 6 września 1945 roku, drugie datowane jest na 5 października tego samego roku. Pierwsze wystosowane zostało przez Zabrskie Zjednoczenie Przemysłu Węglowego w Zabrze oraz Radę Załogową Kopalni „Miechowice”. Pod drugim podpisał się wicestarosta powiatu bytomskiego. Adresat jest ten sam: ksiądz biskup doktor Kominek, zarządzający wówczas diecezją opolską. Przedmiotem zainteresowania nadawców jest kwestia księży sprawujących posługę w parafii w Miechowicach. Spośród trzech kapłanów, zaledwie jeden posługuje się (słabo) językiem polskim. Prośba, zarówno ze strony władz, jak i braci górniczej, o nadesłanie na parafię księdza Polaka jest jak najbardziej w owych warunkach uzasadniona.

Zaczynam w ten sposób, by naświetlić z pozoru dość błahą sprawę. Mianowicie, sposób zwracania się do duchownych, który już wtedy nie wróżył nic dobrego. W poniższej tabeli zgromadziłem analogiczne fragmenty obu pism, służące łatwiejszemu porównaniu obydwu tekstów.

Część listu / Nadawca	Pismo górników z kopalni „Miechowice”	Pismo Starostwa Powiatowego w Bytomiu
Apostrofa	<i>Do Jego Ekscelencji Księdza Biskupa³ Diecezji Opolskiej</i>	<i>Ksiądz Dr. Kominek Administrator Apostolski</i>
Postawienie problemu	<i>Parafia Miechowice, licząca około 20.000 wiernych, prowadzona jest przez posuniętego w latach księdza prałata, który, aczkolwiek z trudem, włada językiem polskim. (...) Pracownicy ci [kopalni – M.S.] mają w najbliższym czasie sprowadzić na ten teren swoje rodziny i pragną także widzieć w kościele księdza Polaka.</i>	<i>(...) księża katoliccy mało pracują nad odniemczeniem kościoła, a raczej czynią wszystko co w ich mocy, aby nie dopuszczać języka polskiego do kościoła (...)</i>
O księdzu Cichoniu	<i>Wspomaga go [księdza proboszcza – M.S.] ksiądz wikariusz, który nie zna języka polskiego i nie może się do parafjan zwrócić z nauką po polsku.</i>	<i>Ks. Cichoń jawnie popiera niemczyznę, odpowiadając na pozdrowienia dziatwy szkolnej w języku polskim językiem niemieckim.</i>
Pointa	<i>(...) prosimy o przysłanie księdza Polaka, któryby wsparł księży miejscowych ożywionych może najlepszymi chęciami, ale nieznających dostatecznie języka polskiego. Ufni w spełnienie naszej prośby przesyłamy nasze stare górnicze pozdrowienie: <i>Szczęść Boże</i></i>	<i>(...) proszę o zajęcie się tą sprawą i przysłanie do Miechowic chociaż jednego księdza Polaka, któryby zajął się odniemczeniem Kościoła (...)</i>

List wicestarosty powiatowego nie jest niegrzeczny, obelżywy, ani w sposób jaskrawy urągający dobru Kościoła. Wyraźnie kontrastuje jednak użytym słownictwem i formami grzecznościowymi z prośbą górników. Poza tym, wicestarosta, co charakterystyczne dla władz PRL-u, używa argumentów *ad personam*. Argumenty górników są merytoryczne i wyważone. Unikają oni obrażania duchownych. Argumenty władz mają na celu demonstrację siły, bije od nich jawnie antyniemiecki charakter. Germanofobia zdawała się być zresztą cechą charakterystyczną rządzących.

Jeden z moich rozmówców, ksiądz infułat Paweł Pyrchala, twierdzi, że władze sprawiały wrażenie, jakby w ogóle nie rozumiały problemu górnośląskiego. *Zamiast pomagać w rozwiązaniu historycznych czy narodowościowych konfliktów – mówi – antagonizowały i szukały w tych sporach własnego interesu. Musisz wiedzieć, że jeżeli chce się uderzyć psa, to trzeba znaleźć kij. A co było tym kijem na Śląsku? No na przykład to, że któryś z księży został wyświęcony we Wrocławiu. A to oznacza, że został wyświęcony przez niemieckiego biskupa. Albo, że jest dwujęzyczny i umie język niemiecki. I to już wystarczyło. I to jest ta nasza „śląska tragedia”. Ale Kościół działał z rozumą i tej cichej, spokojnej pracy Kościoła w tych pierwszych latach po wojnie zawdzięczamy bardzo wiele.*

Według informacji zgromadzonych przez księdza infułata, w pierwszych latach po wojnie ze Śląska Opolskiego deportowano poza diecezję dwudziestu księży-autochtonów (a za autochtonów uważano ludzi dwujęzycznych), zamknięto i zlikwidowano około 150 domów zakonnych żeńskich, a 700 siostr znalazło się w obozach pracy na terenie Wielkopolski i Pomorza.

A cała sprawa z parafią w Miechowicach znalazła finał zgodny z przewidywaniami:

³ Sformułowanie to jest tak uprzejme, że aż błędne. Ksiądz Bolesław Kominek otrzymał sakrę biskupią dopiero w 1954 roku.

L.M. IX. - 3/45
12. października 1945
S T A R O S T A P O W I A T O W Y
w B y t o m i u .

W odpowiedzi na pismo z dnia 5.X. br. w sprawie stosunków kościelnych w Miechowicach donosząc, że dziś zadekretowałem do parafii św. Krzyża w Miechowicach księdza Kaczmarska - Pola ka na miejsce ks. Cichonia, który otrzymał zlecenie, by się sta wił w Opolu celem oczyszczenia się ze stawianych mu zarzutów politycznych.
126
Administrator Apostolski

Dokument 1.
Odwołanie księdza Cichonia. Dwa tygodnie później list Starostwa Powiatowego doczekał się lakonicznej odpowiedzi księdza Bolesława Kominka. Na parafię w Miechowicach wysłany został polski ksiądz.

Ale dla księży polskojęzycznych władza w 1945 roku była jeszcze przyjazna – zapewnia ksiądz. – Rzeczywistość była przyjazna. Władza wręcz szukała na gwałt księży, bo tylko tak ludzi można było przekonać do osiedlania się tu, na Zachodzie. Własny ksiądz to podstawa. W najlepszej sytuacji byli ci, którzy przyjeżdżali na miejsce już z własnym księdzem zabranym ze z Kresów. Na Ziemiach Odzyskanych pozostało jednak wciąż wielu księży niemieckojęzycznych bądź dwujęzycznych i ich sytuacji żadną miarą nie można określić jako dobrej.

Zginał, bo był księdzem

Przeglądając skoroszyty dokumentów archiwalnych w gliwickiej Kurii, selekcyonowałem poszczególne z nich i oceniałem ich przydatność dla mojej pracy. Jeżeli miałem wątpliwości co do użyteczności danego dokumentu, prosiłem o radę pana Józefa Bonczolę, pracującego na miejscu archiwisty. W pewnym momencie natrafiłem na zdjęcie księdza Jana Frenzla, opatrzone datami 1907-1945. Domyśliłem się, że duchowny raczej nie odszedł z tego świata za sprawą śmierci z przyczyn naturalnych. *Dlaczego go zabito?* – zapytałem. – *Bo był księdzem* – z ust archiwisty usłyszałem lakoniczne, aczkolwiek wiele mówiące wytłumaczenie. Po kilku sekundach pan Józef dodał: *ale to Ruscy*. Poprosiłem o przytoczenie tej historii. Wszak władze PRL przynajmniej w części czerpały z doświadczeń i przykładu „ojców komunizmu”.

Jan Frenzel urodził się 29 sierpnia 1907 roku w Szarleju (po 1918 roku miejscowość znalazła się po polskiej stronie granicy z Niemcami). Jego rodzice postrzegani byli jako mniejszość niemiecka. W 1925 lub 1926 roku ukończył gimnazjum w Katowicach. W 1932 roku rozpoczął studia filozoficzno-teologiczne we Wrocławiu. Tam też przyjął święcenia kapłańskie w dniu 30 lipca 1939 roku. Posługę pełnił początkowo w Bielawie koło Dzierżoniowa (do lipca 1941 roku), następnie w Miechowicach⁴, w kościele pod wezwaniem Bożego Ciała. Tam był przez pewien czas administratorem. Wszystkie opisane przeze mnie fakty udało się ustalić właśnie dzięki Józefowi Bonczolowi, któremu w 1943 roku ksiądz Frenzel udzielił w Miechowicach pierwszej Komunii Świętej. Był jego katechetą.

Natarcie 118. Korpusu Armii Czerwonej generała Aleksandra Naumanowa trwało prawdopodobnie trzy dni. Po rozprawieniu się ze stosunkowo wątłą obroną niemiecką na tym terenie, czerwonoarmiści przystąpili do rozprawy z polską ludnością. 25 stycznia 1945 roku Sowietci podjęli decyzję o rozstrzelaniu grupy aresztowanych wcześniej mężczyzn.

Wśród wytypowanych do rozstrzelania znalazł się młody chłopak, Herbert Drzysga. Po wykonaniu egzekucji, jeden ze świadków zdarzenia stwierdził, że chłopak przejawia oznaki życia. Ciężko rannego przeniesiono go do domu przy ulicy Kubotha. Chłopak konał. Dalej wydarzenia

⁴ Od 1951 roku Miechowice są dzielnicą Bytomia. Do tego czasu funkcjonowały jako odrębna gmina. Zarówno Bytom, jak i Miechowice w wyniku podziału Śląska po plebiscycie w 1921 roku pozostały w granicach Niemiec.

toczą się bardzo szybko. O godzinie 15:30 na plebanię miechowskiego kościoła przybiega Eleonora Maschinska, wzywając kapłana do posługi przy ulicy Kubotha 13, do konającego chłopca Herberta Drzysgi. Ksiądz Frenzel poszedł tam w towarzystwie kościelnego, Jana Gajdy. Gdy przebywał u konającego w piwnicy domu i gdy spowiadał pozostałych domowników do pomieszczenia weszło dwóch żołnierzy sowieckich. Podeszli do księdza, zerwali z niego stulę i wyprowadzili z piwnicy w nieznanym kierunku⁵. Potem miało się okazać, że w kierunku Stolarzowic. Po jakimś czasie na drodze znajdowano rozrzucone elementy wyposażenia kapłana. Księdza zaprowadzono przed oblicze sowieckiego dowódcy do bunkra w Stolarzowicach. W pobliskiej stodole znęcano się nad nim, torturowano go i bito, aż w końcu, prawdopodobnie z rozkazu samego Naumanowa, zamordowano. Stało się to 25 lub 26 stycznia.



Fotografia 1.
Ks. Johannes
Frenzel (1907-
1945)

*Strzeżmy się
męczeńskiej
śmierci nie
mając pewności
uzyskania
korony
męczeństwa –
powiedział ks.
Frenzel w swoim
ostatnim
kazaniu,
wygłoszonym na
pięć dni przed
śmiercią – 21
stycznia 1945
roku.
W ostatnim
liście do rodziny
napisał: *Chętnie
umrę, gdybym
był świadom, że
moim
najbliższym nie
się nie stanie.**

Z jego ciała oprawcy zdarli wierzchnie odzienie, buty i pończochy. Kiedy odnaleziono zwłoki księdza, jedynie po koloratce poznano, że to ciało kapłana. Ciało nosiło ślady poważnych obrażeń – ksiądz miał złamany nos, jego usta były wykrzywione z bólu, obydwa ramiona i łopatki były przestrzelone, brodawka po lewej stronie piersi była narwana od bagnetu, nogi miał strzaskane, a jego ręce były skrupowane drutem kolczastym. Śmierć nastąpiła po strzale w lewe oko. Kula wyszła drugą stroną głowy. Nie było to jedyne ciało znalezione w pobliżu, ale tylko zwłoki księdza nosiły ślady tortur.

Tragiczna śmierć księdza zbiegła się w czasie z masowym mordem, jakiego dokonali Sowieci między 25 a 27 stycznia 1945 roku w Miechowicach, kiedy to z ręki oprawców zginęło od 300 do 400 ludzi, których potem pochowano w kilku masowych grobach. Znaczna część z nich to parafianie księdza Frenzla, do których parę dni wcześniej wygłaszał swoje ostatnie kazanie.

⁵ Fakty te są znane z relacji kobiety, która przebywała wtedy w owej piwnicy – na ich ujawnienie zdecydowała się dopiero pod koniec lat osiemdziesiątych.

Parafianie bardzo dobrze wspominali księdza Frenzla. Uchodził za człowieka skromnego, ale bardzo wymagającego. Dowodem wdzięczności parafian jest fakt ufundowania przez nich w 1956 roku pomnika nagrobnego księdza Jana Frenzla na cmentarzu w Brzezinach Śląskich. Pamiętali go jako prawdziwego kapłana. W czasie okupacji prowadził msze szkolne. Rozmawiał po niemiecku, ale znał polski i posługiwał się także gwarą. Dla żołnierzy radzieckich nie miało to żadnego znaczenia.

Jak widać, choć mordu dopuścili się Sowietci, a nie ludność polska, przykład dawany powstającej na tym terenie administracji polskiej był przykładem do granic antykościelnym. Rozprawę z duchownymi zaczęto z niezwykle wysokiego pułapu. Czego można było spodziewać się po tak wyrazistym początku?

Na księdza!

Kuria Diecezjalna w Gliwicach dysponuje zestawieniem księży pochodzących z rejonu gliwickiego, represjonowanych przez władzę w latach 1945-1956. Na liście widnieje 27 nazwisk: siedemnastu proboszczów (księża: Franciszek Pieruska, Jan Dolla, Antoni Lischka, Jerzy Piszczek, Wilhelm Porwoll, Antoni Nierobisch, Oskar Golombek, Józef Bennek, Augustyn Grochowina, Bruno Pattas, Jan Lerch, Jerzy Jonienc, Antoni Erzepky, Bruno Schoppa, Alfred Hrabowsky, Ernest Kiesling oraz ojciec Henryk Rudzok), sześciu wikariuszy (księża: Maksymilian Cichoń, Gerard Jonczyk, Jan Tschoepe, Maksymilian Czerwensky oraz ojcowie: Bronisław Trafas i Antoni Kormański), administrator ksiądz Hubert Gregor, katecheta ksiądz Rudolf Opacki i dwóch kapłanów obrządku ormiańskiego (księża: Kazimierz Roszko i Kazimierz Romaszkan). Pan Józef Bonczol, kurialny archiwista, jednym tchem wyłuszcza mi „przewinienia”, jakich dopuścili się wymienieni duchowni.

I tak ksiądz Bruno Pattas, proboszcz parafii świętej Rodziny w Gliwicach *zbyt długo zastanawiał się nad usunięciem z kościoła niemieckiego napisu* („Mein Reich ist nicht von dieser Welt” – Moje Królestwo nie jest z tego świata, słowo „Reich” kojarzyło się władzom jednoznacznie z III Rzeszą). Z początku miał obiekcje, gdyż malowidło z napisem zostało dopiero co ukończone, było nowe. Za karę, komisja weryfikacyjna odmówiła mu polskości. Ksiądz Jan Lerch, proboszcz parafii świętego Krzyża w Miechowicach za swoje pochodzenie został siłą wysiedlony na ciężarówce i wywieziony do radzieckiej strefy okupacyjnej w Niemczech Wschodnich. Tam zmarł. Ksiądz Jerzy Piszczek, proboszcz parafii Chrystusa Króla w Gliwicach, co prawda pomyślnie przeszedł weryfikację swojej narodowości, ale później zmieniono zdanie – został uznany za Niemca, wysiedlony.

Prawdziwą gehennę przeszło wielu księży niemieckich. Ksiądz Pyrchała wspomina o jednym: ksiądz Edgar Wolf z Bojkowa, który został usunięty z parafii i zginął w obozie w Świętochłowicach. *Kto mówił po niemiecku, popełniał zbrodnię* – twierdzi ksiądz infułat.

Na odrębne miejsce zasługuje historia księdza Jana Dolli, poprzednika księdza Pawła Pyrchały na stanowisku proboszcza parafii świętego Józefa w Zabrze. Czas między 3 lipca 1954 roku a 15 grudnia 1956 roku spędził on na wygnaniu w Opatówku w archidiecezji poznańskiej. Przyczyny standardowe: sprzyjanie germanizacji i rewizjonizmowi. Ponadto, przyklejono mu etykietkę *odium populi*, co oznacza powszechną nienawiść ludu. *W międzyczasie zmarła księżdz Dolli siostra* – opowiada mi ksiądz infułat Pyrchała. – *Władze nie zezwoliły mu na uczestnictwo w pogrzebie. Ksiądz Dolla był jednak zdeterminowany. Potajemnie przyjechał w nocy do Zabrze, by pożegnać się z siostrą. W samym kondukcje żałobnym już nie siedł, nie mógł się ujawnić. Ale widzisz, jak chciano uderzyć w kler, w niewygodnych księży, to najprościej oskarżając o germanizację. To było oskarżenie popularne. A wystarczyło do tego byle pretekst, na przykład śląski dialekt. Co więcej, w czasie, gdy ksiądz Dolla przebywał na banicji, jego obowiązki w Zabrze przejął ksiądz Eryk Jelitko, dotychczasowy wikariusz parafii świętego Franciszka. Ksiądz Jelitko był związany ze Stowarzyszeniem „PAX”. Mój rozmówca jednoznacznie określa aktywność tak zwanych „postępowych katolików” mianem *działalności rozbijackiej i destrukcyjnej*.*

Profanacja totalna

Trudno znaleźć odpowiednie słowa dla określenia tego, czego dopuściły się władze miasta

Zabrze w kwietniu 1948 roku. Tłem całej sytuacji jest mający się wówczas odbyć pogrzeb bohatera komunizmu, przodownika pracy Wincentego Pstrowskiego, który miał miejsce na zabrzańskim cmentarzu świętej Anny. W sposób bezprecedensowy cmentarz został przedtem sprofanowany i zbezczeszczone. O całej sprawie wiemy z listu napisanego przez ówczesnego proboszcza parafii świętej Anny w Zabrzu, księdza Franciszka Pieruszkę.

W przededniu pogrzebu Pstrowskiego, a więc 20 kwietnia, na cmentarz dotarła specjalna komisja, mająca na celu wyszukać odpowiednie miejsce na grób. Delegacji przewodził prezydent miasta, Paweł Dubiel. *O tym człowieku można by opowiadać długo – zdradza mi ksiądz infułat Paweł Pyrchała. – Był katolikiem. Urodził się jako katolik. I zmarł w roku osiemdziesiątym też jako katolik. A za komuny był opętany. Prowadził działalność zupełnie antykościelną. Należał do PZPR. 19 marca 1945 roku został pierwszym prezydentem Zabrze. Urzędowanie rozpoczął od tego, że swojego własnego, przedwojennego katechetę, księdza Józefa Bennka, kazał deportować na Zachód. Poświęcił się walce z niemieczyzną.*

Ten właśnie Paweł Dubiel spostrzegł, że na cmentarzu nie brak pomników, na których znajdują się z niemiecka brzmiące nazwiska, a także niemieckie inskrypcje. Bez skrupułów oświadczył wszem i wobec, że jeszcze przed pochówkiem Pstrowskiego wszystkie te groby muszą zniknąć. Chwilę potem, około godziny 14:00, na cmentarz przybyli robotnicy kanalizacji miejskiej i przystąpili do realizacji polecenia. Najpierw wyrąbali niemieckie słowa i nazwiska z pomników. Ale praca szła mozolnie, a czasu było mało. Przystąpiono zatem do bezplanowego wyrywania i obalania pomników. Gdy i to okazało się pracą zbyt żmudną, sprowadzono na miejsce „siły pomocnicze”, które stanowili uczniowie pobliskiej szkoły Przysposobienia Przemysłowego w liczbie około dziewięćdziesięciu chłopaków. To znacznie przyspieszyło obalanie pomników...

Bilans tej bezwstydnej, dokonanej w biały dzień profanacji, to czterysta całkowicie zmiecionych z powierzchni ziemi lub poważnie zdemolowanych pomników. Karygodnie zachowywały się nawet dzieci w wieku 8-12 lat, które zostały wezwane do pomocy z pobliskich domów i uzbrojone w siekiery, młotki i kamienie. One także, swoimi beztrudnymi harcami, dołożyły cegiełkę do dzieła zniszczenia. Jak łatwo się domyślić, burzycielski zapal spowodował, że ucierpiały nie tylko pomniki „niemieckie”. Przy okazji usunięto też wszystkie pomniki poległych w obu wojnach światowych. Ofiarą wybrzydów padło osiemdziesiąt grobów żołnierskich z lat 1914-1918, z czego, co ciekawe, prawie połowę stanowiły groby żołnierzy rosyjskich.

Czy nikt nie mógł temu zapobiec, pytam lekko przerażony, bo trudno mi przywołać w pamięci podobnie zuchwałą profanację katolicyzmu. Przecież wszystko działo się w biały dzień, na oczach setek ludzi. *Pytasz, czy ktoś mógł temu zapobiec – głośno myśli ksiądz Paweł Pyrchała, po czym odpowiada: nie, nie mógł... I chyba mu wierzę, bo dotarliśmy potem do kolejnych dokumentów świadczących o tym, że prezydent Paweł Dubiel kontynuował realizację swojego pomysłu na większą skalę. Już po pogrzebie Pstrowskiego.*

Wiesz, ale czasami to było naprawdę kłopotliwe, aż żenujące – kontynuuje ksiądz Pyrchała. – Chodzi mi o tę germanofobię. My w Zabrzu nie mieliśmy tylu zabytkowych kościołów, ale na przykład już w Opolu księża mieli dylemat jeszcze innej natury. Tam jest zabytkowy, stary kościół, kościół franciszkanów, w podziemiach którego znajdują się groby Piastów Śląskich, książąt. Z XIII wieku. A ksiądz musiał płacić czynsz za mienie poniemieckie. Oni się temu dziwili. To co zrobić z tymi polskimi książętami? Oni są w końcu polscy czy niemieccy, skoro mienie jest poniemieckie? Przez osiem wieków ci książęta byli tam pochowani. I teraz tamci księża dowiadują się nowiny, że oni byli Niemcami!

Tajne zamiary

Ksiądz Brunon Ploch był proboszczem parafii pod wezwaniem Najświętszej Maryi Panny Wspomożenie Wiernych w Gliwicach. Należałem do niej, zanim wybudowano w pobliżu mojego domu nowy kościół. 31 sierpnia 2005 roku, na kilka tygodni przed naszym spotkaniem, ksiądz Brunon odszedł na emeryturę z powodów zdrowotnych. Przydzielono mu mieszkanie nieopodal kościoła, z którym związane było ostatnie osiemnaście lat jego kapłańskiej posługi. Nierzadko nadal odprawiał tam nabożeństwa.

Ksiądz Brunon okazał się rozmówcą bardzo interesującym. Wiele pamiętał i dzielił się swoimi wspomnieniami bardzo chętnie. Mimo jego entuzjazmu, widać było, że podchodzi do omawianych spraw z dystansem, ma „chłodne oko” i nie feruje wyroków *ex cathedra*. Tak

wspomina początki swojego powołania kapłańskiego i trudności związane z wyborem takiej, a nie innej drogi życiowej:

Trudna sytuacja Kościoła i w ogóle ludzi w PRL-u, mówiąc szczerze, nie zadecydowała o moim wstąpieniu do seminarium. To było rzeczywiste powołanie, trudna sytuacja w państwie nie mogła mieć na to wpływu. Na pewno nie podjąłem tej decyzji na przekór. Ja miałem bardzo trudną sytuację rodzinną. Już w szkole średniej pracowałem, by zarobić na swoje utrzymanie. Gdy miałem 16 lat zmarł mój ojciec, dwa lata później – matka. Po siedmiu klasach szkoły podstawowej i czterech latach w ogólniaku, mając 18 lat postanowiłem wstąpić do seminarium.

Najpierw jednak musiałem zdać maturę. Do pięćdziesiątego szóstego roku było tak, że wszyscy licealiści zdawali matury. Po prostu sto procent zdawalności. Taka była polityka państwa. Po pięćdziesiątym szóstym roku ta praktyka uległa zmianie i w szkole, do której uczęszczał ksiądz Ploch, wśród dwóch klas maturalnych, tylko siedemnaście osób zdało egzamin.

Jeśli ktoś pragnął wstąpić do seminarium, to absolutnie nie do pomyślenia było z tym pomysłem, z tym zamiarem się afiszować. To by była głupota. Trzeba było zachowywać pozory i składać papiery też na inne uczelnie. Bo inaczej byłyby obawy, mógłby wystąpić nacisk ze strony różnych ludzi, żeby nie iść. W praktyce władza dowiadywała się o naszym wyborze dopiero wtedy, gdy wycofywaliśmy dokumenty z innych uczelni. Doszło do tego, że ja i mój najlepszy kolega nie wiedzieliśmy, że obaj postanowiliśmy wstąpić do seminarium. Spotkaliśmy się pamiętnego dnia na dworcu kolejowym, przy kasach biletowych.

Dokąd jedziesz – zapytałem. Chyba tam, gdzie ty – odpowiedział, domyślając się już, co zaszło. Oboje wybierali się do Nysy...

Przedtem każdy milczał. Nikt nie miał odwagi się przyznać, nawet najlepszemu przyjacielowi. Nasz wychowawca – pan Lipa, całkiem w porządku człowiek – po pewnym czasie spotkał się z nami i z rozbawieniem powiedział, że wychowuje prawie samych księży i dowiaduje się o tym po czasie. Na przykład obecny ksiądz biskup ordynariusz diecezji gliwickiej, Gerard Kusz, także chodził do tego samego ogólniaka, co ja.

Już przy okazji tej wypowiedzi widać bardzo wyraźnie, w jakim strachu i ciągłym poczuciu zagrożenia żyli w tamtym czasie zdeklarowani katolicy. Wartości obecne w kontaktach międzyludzkich uległy degradacji. Inaczej nie sposób wytłumaczyć faktu, że dwóch przyjaciół nie ma pojęcia o wzajemnym powołaniu do kapłaństwa. Sztuczna władza zmuszała do udawania, do uzewnętrzniania postaw idących po jej myśli, a szczelnego ukrywania we własnym wnętrzu właściwych dla danej jednostki przekonań i poglądów.

Olbrzymie naciski stosowała władza na tych, którzy już wstąpili do seminarium. W wypadku, gdyby zrezygnowali, władza obiecywała im przyjęcie do jakiejkolwiek, wskazanej przez nich uczelni i zwolnienie z obowiązku odbywania służby wojskowej! Mnie do wojska jeszcze nie wzięli, ale roczniki dwa lata młodsze już tak. Już zabierali do wojska...

Pokusa była więc nie byle jaka. Odbywanie służby wojskowej nie należało w państwie ludowym do najprzyjemniejszych obowiązków.

Pierwszy kontakt

Ksiądz Brunon szczęśliwie skończył seminarium i został oddelegowany na swą pierwszą placówkę – do Kamienia Śląskiego. Jak różne postawy mogła przybierać jednostka w obliczu strachu ukazuje dalsza część wypowiedzi księdza Brunona.

Dlatego ja osobiście znalazłem się w takiej sytuacji, gdzie będąc księdzem, byłem podwładnym proboszcza... A byłem jedynym wikarym, tam w Kamieniu Śląskim, gdzie potem zostałem proboszczem. Ale na początku miałem proboszcza, takiego bardzo zacnego, tylko wyświęconego jeszcze w latach przedwojennych... On po prostu miał strach przed komunizmem. Gdziekolwiek, cokolwiek, gdy były jakieś sprawy do proboszcza, to ja byłem wysyłany przez niego, by je załatwić. I tam ześmy [z władzą] rozmawiali, ale zawsze wychodziło na tym, że... Że ksiądz winien. I koniec. Zawsze. I nieważne, czy rozmawiałem z milicją czy z przewodniczącym gminy, wychodziło na to samo. I to była wielka walka z Kościołem – ksiądz Brunon Ploch używa mocnych słów. – Powiedziałbym – na każdym polu, w każdej dziedzinie, na każdym froncie, pod każdym względem.

Moje lata jako wikariusza były więc bardzo ciężkie. Nie należałem do ludzi spokojnych. Buntowałem się. Oni śledzili cały czas, co wpływało ujemnie na psychikę księdza. To był ten czas Gomułki. Później za Gierka było trochę łatwiej – odszedł czynnik szantażu i na tym polegała zmiana nastawienia.

Słowa księdza są jednoznaczne i bezlitosne. Dzisiaj wspomina tamte wydarzenia nie to ze strachem, nie to z żalem. Po prostu wspomina. Minęło już wiele lat. Rzeczywiście, księża wyświęceni za wolnej Polski, tak jak proboszcz będący przełożonym księdza Plocha, zapewne przeżywali zniewolenie Kościoła z o wiele większym bólem. Przyzwyczajeni do swobód religijnych trudniej akceptowali nowe warunki działania, lub nie akceptowali ich w ogóle. Taka postawa nie dotyczy oczywiście wyłącznie księży. Ludzie wychowani w wolności z natury rzeczy buntowali się bardziej niż ci, którzy urodzili się już po 1945 roku. A jeżeli się nie buntowali, to... bali się. Bo zetknęli się z sytuacją nową, nieznaną, która ich przerastała.

Po radę do biskupa

Bardzo duży problem mieliśmy też z biskupami na Ziemiach Odzyskanych. Ponieważ po II wojnie światowej nie podpisano żadnego oficjalnego traktatu pokojowego, Kościół nie mógł wyznaczyć nowych granic administracyjnych. Doprowadziło to do kłopotliwej sytuacji, w której ziemiami polskimi zarządzali po 1945 roku nadal biskupi niemieccy. Dla złagodzenia sytuacji wprowadzono zastępców biskupów, którzy byli Polakami. Państwo mianowało tych biskupów, tych pomocników, to byli często ci słynni „księża-patrioci”. To były trudne czasy. Do 1989 roku, z każdą nominacją biskupa, nawet nominacją proboszcza, trzeba było jechać do Wojewódzkiego Wydziału Wyznaniowego. Tam ją dopiero zatwierdzali, żeby było legalnie. Każdy nowo zatwierdzony proboszcz musiał podpisać deklarację, w której zaświadczał o swojej lojalności wobec państwa polskiego i o tym, że nie będzie podejmował działań sprzecznych z polską racją stanu. Kiedy proboszczem zostawał ksiądz Ploch, nie miał jeszcze pojęcia tej praktyce. Powiedziano mi tylko, że mam się zgłosić do Urzędu Wojewódzkiego. Ja tam pojechałem i oni mi przedłożyli dokument do podpisu. Proszę podpisać – mówią. Ja mówię: „Co? Ja nie podpisuję!” Oni: „No jak to? Przecież biskup kazał”. Ja nic o tym nie wiedziałem, więc im mówię, że najpierw upewnię się u biskupa. Nie podpisałem tego dokumentu, zajeżdżam do biskupa i on rzeczywiście potwierdził, że każdy proboszcz musi taką „lojalkę” podpisać. Także po tym fakcie pojechałem z powrotem do tego wydziału wyznaniowego, powiedziałem, że teraz mam pewność i mogę ten papier podpisać. Ale musiałem mieć absolutną pewność, że nakazuje mi to przełożony, a nie byle kto podrzuca mi jakiś świstek, który mam podpisać.

Postępowanie księdza Plocha cechuje duży rozsądek. Jak bardzo często wynikało z jego opowieści, gdy tylko trapiły go wątpliwości co do tego, jak postępować z władzą, udawał się po wskazówki do biskupa. Takie działanie umożliwiało utworzenie przez księży jednolitego frontu i zapobiegało rozdzwienkom wewnątrz Kościoła.

Skonfiskowane świadectwo

Z księdzem prałatem Konradem Kołodziejem rozmawiam w jego kancelarii, na probostwie. Ksiądz prałat jest jednym z najdłużej sprawujących swą posługę proboszczem w Gliwicach. Od 1977 roku kieruje parafią katedralną. Jest człowiekiem zajęтым, toteż przyszło mi długo czekać na rozmowę. Kilka razy ksiądz prałat dobierał dogodny termin. W końcu się udało. Mój rozmówca to człowiek wyważony, bardzo oszczędny w słowach i dokładny. Odniosłem wrażenie, że jest osobą, która woli powiedzieć pięć zdań za mało niż jedno słowo za dużo. Podobnie, jak w przypadku księdza Brunona Plocha, także i dla księdza prałata system panujący w Polsce nie miał wpływu na podjęcie decyzji o kapłaństwie.

Powołanie to jest przede wszystkim Matka Boża, Pan Bóg powołuje. U mnie w wielkim stopniu przyczynili się do tego rodzice. Pochodzę z bardzo religijnej rodziny. Rodzice zawsze byli konsekwentni w wierze. Myślę, że ich przykład spowodował, że ten dar powołania otrzymałem.

W 1956 roku ukończyłem liceum ogólnokształcące w Zawadzkiem i wtedy nie do pomyślenia było przyznawać się, że chce się iść do seminarium. Ja w swoim bliskim otoczeniu miałem jednego kolegę, który również tak jak ja wybrał się do seminarium w Nysie. Nie

ujawnialiśmy się. Był jeszcze drugi kolega, co do którego władza miała przecieki, że podobne pomysły chodzą mu po głowie. Oblano go na maturze. A zdawał tę maturę początkowo w Sławkowie za Katowicami. Oblał ja tam w Sławkowie, ale był jednak na tyle zdeterminowany, że przeprowadził się do swojej ciotki, do innego miasta, i tu razem z nami w Zawadzkiem w ostatniej klasie zdawał maturę. Później poszedł do seminarium w diecezji kieleckiej. Został księdzem. Udało mu się.

To jeszcze był czas tych praktyk, gdzie my nie otrzymywaliśmy do rąk naszego świadectwa dojrzałości. Je odsyłano od razu, bezpośrednio do uczelni, do której deklarowaliśmy, że będziemy składać papiery. Rzecz jasna nikt nie mógł zadeklarować jawnie, że idzie do seminarium, więc władza próbowała i w ten sposób wywrzeć na nas nacisk. W moim wypadku, świadectwo zostało przekazane Politechnice Wrocławskiej. Tam w razie czego miałem iść. To było logiczne, że złożyłem tam awaryjnie papiery. Miałem dobre oceny z przedmiotów ścisłych, więc inny wybór mógłby już budzić podejrzenia.

- Jak sobie ksiądz poradził z odbiorem świadectwa?

Jak sobie poradziłem? Bardzo prosto. Zwyczajnie nie zgłosiłem się na egzamin wstępny i zostało odesłane z powrotem. W międzyczasie zgłosiłem się do seminarium i zostałem przyjęty.

- Zanim ksiądz wstąpił do seminarium, jakie miał ksiądz spojrzenie na problematykę stosunków państwo-Kościół?

Młodzieńcze spojrzenie na świat jest troszeczkę inne. Gdy jeszcze nie byłem księdzem, nie zdawałem sobie sprawy z trudności, jakie przeżywa Kościół. Ani ja, ani moi znajomi nie przejmowaliśmy się ewentualnymi problemami. Byliśmy zajęci nauką i żadne inne sprawy bezpośrednio nas nie dotyczyły. Ja na dodatek miałem o tyle utrudnioną sprawę, że byłem dojeżdżającym do szkoły, więc już zupełnie nie miałem czasu na inne sprawy.

Zielone zeszyty

Władza ewidentnie przyjmowała taktykę subtelnej pokusy wobec alumnów:

Pierwsze objawy jakichś trudności wystąpiły już w trakcie mojego pobytu w seminarium. W czasie wakacji dostawaliśmy pocztą tak zwany „zielony zeszyt”. Pisano tam o niby-„ aferach” w Kościele, które miały zachęcić nas, młodzieńców, do zmiany życiowej drogi. Czy przechowuję gdzieś te zielone zeszyty? Nie... One przychodziły pocztą. Zdawałem sobie sprawę, kto je wysyła, dlatego momentalnie ładowały w koszu.

Były też i posunięcia mniej subtelne. Choć wszystkie one raczej świadczą o tym, że w szeregach władzy brakowało specjalistów od psychologii. Zdecydowana większość działań represyjnych jawi mi się jako z góry skazane na niepowodzenia.

Pamiętam, w czasie wakacji (bo w wakacje mieszkaliśmy w domu, a nie w seminarium) zjawiali się raz czy dwa razy panowie ze służb, którzy chcieli z nami porozmawiać w jakimś sposób. Naświetlali przede mną inne możliwości, proponowali inne rozwiązania, mówili, że mogą to czy tamto ułatwić. Sprawiali wrażenie osób mogących dużo załatwić. Nie skorzystałem z tych ofert.

Ministranckie życie

Pod koniec stycznia zadzwoniłem do Alojzego Gwoźdźcia, z którym kilkanaście miesięcy temu przeprowadzałem wywiad na temat sześćdziesiątej rocznicy wyzwolenia Gliwic. Byłem pewien, że jako człowiek wierzący i od wielu lat zaangażowany w życie kościelne, będzie mógł swoimi wspomnieniami wzbogacić moją pracę. W odpowiedzi, pan Alojzy, który pragnie nie ujawniać swojego prawdziwego nazwiska, zaprosił mnie na spotkanie moderowanej przez niego Wspólnoty świętego Marcina, które miało odbyć się nazajutrz, z okazji Dnia Babci i Dziadka. Tam zaanonsował mnie członkom stowarzyszenia, a ja przystąpiłem do rozmów z wszystkimi tymi, którzy mieli ochotę podzielić się swoimi przeżyciami.

Alojzy Gwóźdź urodził się w 1935 roku w rodzinie o bogatych tradycjach katolickich.

Wraz z bratem byliśmy ministrantami od roku czterdziestego piątego, chyba przez trzy lata. Pamiętam z tego okresu tyle, że było sporo pogrzebów. Naprawdę sporo. Kilka każdego dnia, po trzy-cztery. Pamiętam jedną taką trumnę. Robił ją mój ojciec. Trumna było normalna,

z tym, że jej dolne wieko, jej spód był na zawiasach. Pogrzeb odbywał się więc w tej trumnie. A potem, gdy ją składano do grobu, otwierało się tylko takie zasuwki i trumnę wciągano z powrotem na górę. Nieboszczyk zostawał w grobie, a trumnę można było użyć do kolejnego pochówku. Tak to było. Nie było stolarzy, nie było trumien, nie było innych możliwości. Ale jednak tu te pozory godnego pogrzebu zostały zachowane. Ta trumna zawsze była, wielokrotnie używana, ale była. Ja miałem wtedy dziesięć lat, więc trudno mi też było dociekać, jakich ludzi chowaliśmy i w jaki sposób zginęli. W Przyszowicach na przykład była olbrzymia rzeź. Tam się czerwonoarmiści pomylili. Myśleli, że już są w Niemczech, a to była jeszcze ostatnia miejscowość tej starej Polski. Umęczono tam masę osób. Niektórzy powrócili z Oświęcimia po to by zginąć z rąk sowieckich.

Świadomość religijna Polaków musiała stać rzeczywiście na niezwykle wysokim poziomie, skoro nawet w najcięższych czasach nie wyobrażano sobie pogrzebu bez trumny. A co z nauką religii?

W latach powojennych uczyliśmy się religii w szkołach. Ale uczyły nas nauczycielki, nie ktoś z kościoła. Tu przybywali pedagodzy z rejonów okołohwowskich. Mieli masę kłopotów, bo większość dzieci nie umiała mówić po polsku. Nauczyciele mieli z tym ciężko. Ale radzili sobie. Wszyscy się cieszyli, że wojna się skończyła, to na razie wystarczyło.

To na razie wystarczyło. Tuż po wojnie nie reagowano nerwowo na ograniczające działania państwa. Silniejsza była nadzieja na lepsze jutro dla katolików. Ksiądz Pyrchala zobrazował ten fakt słowami:

Kościół niejako milczał. Ciągle uważał, że te represje nie posuną się dalej, że wszystko się ustabilizuje i uporządkuje. I taką milcząco-wyczekującą postawę Kościół starał się zachowywać. Ale w pewnym momencie to się skończyło. I Kościół wydał [8 maja 1953 roku] „Non possumus”...

Kalendarz liturgiczny pod kontrolą

Formą nacisku na Kościół była prowadzona przez państwo polityka faktów dokonanych. Jej przejawem jest chociażby fakt, iż szereg świąt kościelnych został przez władzę ludową w ogóle usunięty. Tak stało się ze świętem Trzech Króli, Wniebowstąpieniem czy Dniem Zadusznym. Najbardziej odczuto jednak likwidację uroczystości Wniebowzięcia Najświętszej Maryi Panny, gdyż 15 sierpnia przestał być w ten sposób dniem wolnym od pracy. Wyrugowanie wszystkich świąt pozostawało jednak pobożnym życzeniem. Jeśli święta nie sposób było wymazać z kalendarza, zawsze można je było sparaliżować. Wyjątkowo destrukcyjny był także pomysł organizowania w niedziele ruchomych świąt pracowniczych czy branżowych. Oprócz Barbórki, wszystkie takie święta były ruchome i odbywały się w niedzielę – powiedział mi Augustyn Langer.

Próby wyeliminowania świętego Mikołaja i zastąpienie go Dziadkiem Mrozem spełzyły na niczym. Podobnie, nie przyjął się pomysł laicyzacji święta Wszystkich Świętych, które próbowano przemianować na Święto Zmarłych. Zmiany w kalendarzu nie spowodowały jednak znaczących zmian w świadomości katolików.

Największe możliwości do przeszkadzania istniały przy okazji Bożego Ciała. To najbardziej „zewnątrzne” święto kościelne. Komunistyczna nomenklatura musiała być zazdrosna o wielotysięczne manifestacje ulicami miasta. Była.

Gorący czerwiec

Ksiądz Brunon Ploch wspomina uroczystości Bożego Ciała, w których uczestniczył będąc kapłanem. Uroczystości te, oceniając je z dzisiejszej perspektywy, należy określić jako skromne.

Zaraz po wyświęceniu w 1963 roku, poszedłem na wikarego do Kamienia Śląskiego. Od tego czasu już bezpośrednio zetknąłem się i na własnej skórze poznałem charakter nacisków państwa. [W tym czasie] absolutnie żadnych manifestacji religijnych nie można było robić. Każda procesja [Bożego Ciała], jakakolwiek procesja, została ograniczona, ale i tak na każdą, nawet najmniejszą procesję trzeba było mieć zezwolenie, które wydawały organy gminne. Ma się rozumieć, na to zezwalała tylko i wyłącznie milicja, to była jej kompetencja. Na dodatek w 1962 roku powstał ten słynny Departament IV w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych... On kontrolował całe życie kleru.... I robił wszystko, żeby [je] utrudnić. To był departament taki, który po prostu miał na celu walkę z Kościołem i z klerem. I objawiało się to szczególnie tymi pozwoleniami na procesje.

Wówczas żadna większa procesja nie miała racji bytu. Tylko i wyłącznie były [możliwe] procesje dookoła świątyni. I tutaj nawet w Sośnicy, w tym czasie, zostały wybudowane ołtarze

przy kościele, właśnie dla potrzeb takich procesji. Nie było można wyjść poza ogrodzony teren kościelny. Chyba, że na specjalne pozwolenia, ale [takie pozwolenia] nie każda parafia dostawała. Jeszcze czasami, bardzo rzadko, na procesje Bożego Ciała niektóre jakieś parafie dostawały pozwolenia, ale poza tym jakieś inne procesje okolicznościowe... Nie, nie było mowy.

Ale procesje mimo wszystko szły! Oczywiście, że szły. I to nielegalnie. Na własną odpowiedzialność. A nielegalnie dlatego, że nie mieli pozwolenia. Ale co z tego? Oni prosili o te pozwolenia, ale za każdym razem [spotykała ich] odmowa. W Kamieniu Śląskim, tam, zestawilem taki plik, plik podań, odmów i tak dalej... Wszystko to, cała ta korespondencja, która dotyczyła bezpośrednio tych manifestacji na zewnątrz, wszystko to zgromadziłem. Tam [w Kamieniu Śląskim] to wszystko jest.

Oni [władza] bali się uzewnętrzniania religii. Oni chcieli Kościół doprowadzić mniej więcej do takiego stanu, jaki panował w Czechosłowacji, czyli po prostu zamknąć Kościół do bram kościoła. Na to w Polsce nie było zgody, to się nie udało. To się udało w Czechosłowacji, bo tam katolików było mniej, a i życie religijne było tam... no, na mniejszym poziomie. W Polsce stało to na wyższym poziomie i dlatego ludność polska była mocno zjednoczona z Kościołem. I wszystko toczyło się wokół Kościoła. Oni zdawali sobie z tego doskonale sprawę i stąd była jedna zasada: uderzyć w kler.

Procesje szły. I to jest najważniejsza informacja przebiegająca z wypowiedzi księdza Brunona. Zakazy i groźby nie mogły przyczynić się do ograniczenia przestrzeni życia religijnego. Społeczeństwo polskie nie było społeczeństwem, na które działała polityka przymusu. Mój rozmówca ma bardzo wysokie mniemanie o polskim katolicyzmie w tamtych czasach, z czym w istocie trudno się nie zgodzić, patrząc choćby na przytoczony przykład czechosłowacki.

Ksiądz infułat Paweł Pyrchała, kolejny z moich interlokutorów, którego przedstawię bliżej w kolejnych rozdziałach, opatentował natomiast swój sposób na Boże Ciało w Zabrzu:

Przykładowo, w 1973 roku zakazano mi przeprowadzenia procesji. To znaczy, ja zgłosiłem proponowaną trasę. Oni mi ją okroili, ale okroili w ten sposób, że sama procesja ograniczałaby się do przejścia wokół kościoła. Wyznaczyli mi dokładnie ulice, którymi mogę poprowadzić wiernych. Ksiądz Pyrchała bardzo wnikliwie zapoznał się z tekstem zalecenia i... zinterpretował je na swój sposób. Ja za bezpieczeństwo nie mogłem odpowiadać. Trasa była tak absurdalna, że przepraszam bardzo, ale nie wiem, jak mógłbym przeprowadzić nią masę ludzi bez szwanku. Musiałbym nagle dać komendę „w tył zwrot”.

Ale tam między wyznaczonymi ulicami było takie wąskie przejście. Ja wykorzystałem te warunki topograficzne i nagiąłem postanowienie władz. Przeprowadziłem ludzi tym przejściem i wykorzystałem całą długość ulic, o których była mowa w dokumencie. Władza myślała, że wykorzystam tylko ich część – mówi z zadowoleniem ksiądz.



Fotografia 2.

W latach osiemdziesiątych ksiądz Paweł Pyrchała (na pierwszym planie) nie musiał już stosować tricków wobec władzy. Zmęczony latami walki z Kościołem system był już niemal bezsilny.

Bernard Dybek jest członkiem Wspólnoty świętego Marcina. Nasza rozmowa była bardzo dynamiczna. Pan Bernard jest człowiekiem energicznym, mówi głośno i wyrażnie. Ma swoje zdanie. Ponadto, posiada przebogatą kolekcję pamiątek związanych z miejscami kultu i historią parafii w Gliwicach-Sośnicy.

Trudno powiedzieć, że walka z Kościołem nie istniała. Już w latach siedemdziesiątych nasz sośnicki ksiądz proboszcz Jerzy Jonienc miał problemy z procesją Bożego Ciała. Jeszcze się tam przeszło jakimiś pobliskimi ulicami, Odrowążów, Korczoka, ale nigdzie dalej. Ołtarze były na ulicach, ale procesja szła praktycznie wokół kościoła. Były lata, że się udawało zrobić szerszą procesję. Ale rzadko. I dlatego ołtarze wznoszono zwykle w bezpośredniej bliskości świątyni. Nawet ksiądz Jonienc zrobił coś takiego, że przygotował ołtarz na ścianie za domem katechetycznym. Ołtarz był całkowicie zrobiony z butelek, z dna od butelek, od tak zwanych „jaboli”. To było powtykane i ta kompozycja stanowiła tło ołtarza. Miała ona symbolizować nadużywanie alkoholu. Jeszcze dzisiaj jest tam resztką tego dzieła.

To nie jedyne utrudnienia przy Bożym Ciele. Jadwiga Koloczek, moja kolejna rozmówczyni, mówi nie tylko o zakazach i utrudnieniach, ale pamięta także pokusy:

W dniu Bożego Ciała, rano, telewizja zawsze emitowała najlepsze, najfajniejsze filmy. Pamiętam to bardzo dokładnie. Dla dzieci puszczano „Zorro”. Wszystko to trzymano na takie okazje, żeby tylko odciągnąć ludzi od uczestnictwa w procesjach. W innych terminach takich rarytasów nie puszczano.

Ale procesje Bożego Ciała szły zawsze normalnie. Zawsze. Tylko raz zdarzyło się, że procesja szła ściśle wokół kościoła i to bynajmniej nie z powodów atmosferycznych – pamięta z kolei Augustyn Langer. – Czasami ksiądz prowadził procesję inną trasą niż planowana. Z czegoś to wynikało. Z czego, trudno dzisiaj powiedzieć.

Władza dość chętnie oddziaływała na sferę psychologii u wiernych. Joanna Langer podaje kolejny przykład takich praktyk:

Władza z dużą pompą organizowała swoje święta państwowe: 1 maja i 22 lipca. Pochody kończyły się w Sośnicy na kąpielisku. Na festyny przynoszono wtedy piwo całymi skrzynkami. Rozdawano je przybyłym. Chciano pokazać: „zobaczcie, gdy chodzą na procesje Bożego Ciała czy do kościoła, to nic z tego nie macie, a tu dajemy wam piwo, dajemy wam bułkę z kielbasą”. To był werbunek.

W tym samym duchu wydarzenia te kojarzy Alojzy Gwóźdź:

Największe możliwości do przeszkadzania władze miały przy Bożym Ciele, bo to jest uroczystość najbardziej pokazowa. Olbrzymiego zdziwienia doznał pan Alojzy w Niemczech, w latach osiemdziesiątych. Uczestniczyłem tam w procesji Bożego Ciała, która była ochraniajana przez policję w białych rękawiczkach. To było w komunistycznej Polsce nierealne. Nie lubiano także w PRL święta 15 sierpnia, które zostało zresztą zniesione. Funkcjonariusze natomiast w sposób zupełnie nachalny dowozili alkohol na różne imprezy związane ze świętami państwowymi. Rozdawano go czasami za darmo, podczas gdy nieraz trudno go było nawet kupić. Chcieli ludzi skusić.

Nie było źle?

Łagodniej relacje na linii państwo-Kościół ocenia ksiądz prałat Kołodziej:

Przez dwanaście lat, to jest w latach 1961 – 1973, byłem wikariuszem w parafii pod wezwaniem świętych apostołów Piotra i Pawła w Gliwicach. Tylko wikariuszem. Wtedy wszystkie sprawy administracyjne załatwiał proboszcz. W tamtym okresie, co roku trzeba było napisać prośbę... Może nawet nie prośbę – podanie... Choć nie, w tamtych czasach może rzeczywiście słowo „prośba” będzie lepszym określeniem. A więc prośbę o to, by ta procesja Bożego Ciała mogła się odbyć. Ale nikt z nas nie miał wątpliwości, że niezależnie od tego czy władze się zgodzą, czy też nie, procesja normalnie pójdzie. I zawsze się odbywała. I to bez specjalnych trudności. Jedynie organizatorzy, wiadomo, narażali się na możliwe niebezpieczeństwa związane z nielegalnym organizowaniem zgromadzeń. Ale specjalnego rzucania kłód pod nogi, jeżeli chodzi o święta kościelne generalnie, to w tym czasie nie było. W ogóle, jeżeli mówimy o sprawach ściśle związanych z religią, to nie mogę się skarżyć.

Petardami w wiernych

Księdzu prałatowi Kołodziejowi utkwili jednak w pamięci także nieprzyjemne incydenty. Szczególnie jeden, który wydarzył się w 1981 roku. To kolejny dowód na to, że Kościół działał na komunistów jak płachta na byka.

Szczególne nasilenie trudności nastąpiło w okresie stanu wojennego i podczas formowania się struktur „Solidarności”. Wówczas to w kościele (a później, ze względu na olbrzymią liczbę wiernych – przed kościołem) koncelebrowaliśmy nabożeństwa, msze święte w intencji Ojczyzny. Wtedy te relacje Kościół-państwo były dosyć zaostrzone. Wierni z pewnością pamiętają najbardziej poważne zajście, jakie miało tu miejsce. Wydarzenie, o którym opowiada ksiądz Kołodziej miało miejsce 31 sierpnia 1981 roku, czyli w pierwszą rocznicę porozumień sierpniowych, ale jeszcze przed stanem wojennym. Odchodzący spod kościoła ludzie zostali obrzuceni petardami z gazem łzawiącym. Przez ZOMO, oczywiście. Następnego dnia identyczna petarda z gazem została wrzucona do wnętrza kościoła. Było to podczas mszy na rozpoczęcie roku szkolnego. Pamiętam, że wszystkie dzieci płakały, bo ten gaz cały czas się ulatniał. Władza jednak nie zdobyła się nigdy na to, by wejść do Kościoła. Jednak, jak widać, te resztki szacunku zachowali.

Pasterka pod chmurką

Ksiądz infułat Paweł Pyrchała wspomina pewną Pasterkę, która odbyła się w okolicznościach, najdelikatniej mówiąc, nietypowych. Udało się ją jednak przeprowadzić. Mieszkańcy zabrzańskich osiedli Janek i Dzierżona przez długie lata nie mogli doczekać się pozwolenia na budowę ich własnej świątyni. Wojewódzka Rada Narodowa bez przerwy odrzucała wnioski w tej sprawie. Po licznych perypetiach, opisanych szczegółowo w Rozdziale IV, wydano wreszcie pozwolenie na składowanie materiału budowlanego w miejscu, w którym niegdyś miała powstać kawiarenka studencka. Pierwsze materiały zaczęto przywozić w Wigilię 1982 roku. O tym, co działo się dalej, opowiada ksiądz Paweł:

Gdzieś około godziny 16:00 przyjechał na plac patrol Milicji Obywatelskiej stwierdzając, że podobno ma się odbyć jakaś manifestacja polityczna. Szybko przekonał się jednak, że zsypywanie żwiru to raczej nie manifestacja polityczna. Poza tym daliśmy mu do przeczytania pozwolenie na uporządkowanie terenu. Wówczas odjechał. A my mieliśmy spokój i swój misterny plan. Kazałem ministrantom przejść po mieszkaniach sąsiadów i w ogóle po wszystkich klatkach schodowych na osiedlu Dzierżona i na Janku i poinformować, kogo się da, że o godzinie 21:00 odbędzie się w lesie pasterka. Potem szybko zbiliśmy z dwóch desek krzyż i założyliśmy na choinkę światelka. Zadzwoniłem też do klasztoru w Biskupicach z zapytaniem, czy siostry nie wypożyczyłyby nam znajdującej się u nich w kaplicy dużej figurki Dzieciątka Jezus. Siostra przełożona zgodziła się na ten krok, ale ksiądz mógł pozbierać figurkę tylko na jedną noc i zobowiązał się oddać ją nazajutrz.

No i zaczęło się. Tuż przed 21:00 upewniłem się jeszcze u kościelnego, czy wszystko w porządku. Odpowiedział: „tak, jest tam już ołtarz przenośny, którego używamy na Boże Ciało, są szaty i sprzęt liturgiczny, kadzidło i tak dalej”. Ludzie zaczęli się schodzić, z nieba prószył śnieg. W zimowej, bożonarodzeniowej atmosferze śpiewaliśmy kolędy. Odprawiliśmy uroczystą pasterkę. I to była najpiękniejsza pasterka w moim kapłańskim życiu!

Władza nie odważyła się, by przeszkadzać przy świętach Bożego Narodzenia czy Wielkiej Nocy. Jawne torpedowanie takich uroczystości przyniosłoby z punktu widzenia partii fatalne skutki i byłoby zwycięstwem pyrrusowym. Dlatego też pasterka odbyła się bez „udziału” mundurowych.

Boga w szkole nie chcemy

Ksiądz Paweł Pyrchała sypie ciekawostkami jak z rękawa. Gdy podczas którejś z naszych rozmów akurat przeszukiwał swoje prywatne archiwum, rzucił jakby od niechcenia: *wiesz, może jeszcze coś cię zainteresuje. Weź jakąś starą „Drogę do Nieba”, o tu leży, i poszukaj pieśni „My chcemy Boga”*. Sięgnąłem po „Drogę do Nieba” z 1958 roku, wydawnictwa Świętego Krzyża w Opolu. Po chwili miałem już przed oczyma tekst wskazanego utworu.

- Przeczytaj na głos – polecił ksiądz infułat.

Przeczytałem.

- *Nie brakuje ci tam czegoś?* – Dopytywał się ksiądz.
- Przyjrzałem się bliżej tekstowi, ale nic nie przychodziło mi do głowy.
- *My chcemy Boga w książce, w szkole...* – zanucił ksiądz.

Rzeczywiście! Z tekstu w „Drodze do Nieba” została w całości wycięta jedna ze zwrotek. Ta, która władzom najbardziej nie odpowiadała. Zamiast trzech zwrotek, w śpiewniku widniały tylko dwie. Pominęto słowa drugiej strofy:

*My chcemy Boga w rodzin kole,
W troskach rodziców, w dziełek snach.
My chcemy Boga w książce, w szkole,
W godzinach wytchnień, w pracy dniach.*

Nigdy wcześniej nie przypuszczałbym, że macki cenzury dosięgły nawet książeczki do nabożeństwa. Jak wielki przestrah u rządzących musiała budzić wiara! Tymczasem ksiądz Pyrchała kontynuuje swój wątek: *wiesz, „Drogi do Nieba” to właściwie taki atrybut Ziem Odzyskanych. W innych miejscach w Polsce te książeczki nie cieszyły się taką popularnością. A wszystko bierze się stąd, że władza bardzo ograniczała możliwości ich druku. Z tym, że kiedyś ktoś przyuważył w jakimś śląskim kościele „Drogę do Nieba” w języku niemieckim. Był to mały skandal. Zaczęto się zastanawiać, jak mogło się to stać, i to już bądź co bądź kilka lat po wojnie. Bardzo rezolutnie zareagował na całą sprawę biskup opolski Franciszek Jop, który zauważył w rozmowie z władzami: „no widzicie, nie pozwalacie drukować książeczek po polsku, to jesteśmy zmuszeni modlić się za pomocą niemieckich”. To przekonało władze, które zniosły restrykcje. Ale tylko dla Ziem Odzyskanych. Tym razem to nam złagodzano warunki. A potem, jak kiedyś dostałem przydział na dwieście książeczek, to dzwonili do mnie zaprzyjaźnieni księża z Krakowa z pytaniem, czy bym im nie odstąpił z dziesięć-piętnaście...*

Nie wiem, na ile prawdziwa może być anegdota księdza Pyrchały, ale powyższe fakty są niewątpliwie faktami prawdziwymi i znajdują potwierdzenie w rzeczywistości.

Hej, kołęda

Ksiądz Brunon Ploch bez cienia goryczy wspomina natomiast tradycyjne chodzenie po kołędzie. Tu władza nie maczała swoich palców. Czy dlatego, że nie miała technicznych możliwości, by sięgnąć w tę dziedzinę katolickich tradycji, czy też zlekceważyła doniosłość corocznych odwiedzin duszpasterskich we wszystkich domostwach parafii?

W parafiach, w których służyłem, tradycja chodzenia po kołędzie była praktykowana. W miastach być może nie wszyscy ją przyjmowali, wiadomo, jak to w miastach, ale ponieważ ja byłem przez długi czas proboszczem na wsi, gdzie było dużo autochtonów, to muszę powiedzieć, że wówczas sto procent ludzi przyjmowało kołędę. Ale, co ważne, nigdy ta kołęda nie miała żadnego zabarwienia politycznego. Stawiano mi oczywiście podczas tych wizyt różne pytania. Co z budową kapliczki? Czy jakąś karę ostatnio zapłaciłem? Były pewne pytania, charakterystyczne po prostu dla epoki PRL, ale nigdy ta kołęda nie przybierała takiego znaczenia stricte politycznego. Zawsze było nastawienie duchowe. Władze akceptowały ten zwyczaj, przynajmniej w moim rejonie.

Wyglądała ona [kołęda] mniej więcej tak samo jak dzisiaj. Z tym, że w ciągu jednego dnia zwykle zrobiliśmy jedną wioskę, bo parafia oczywiście składała się z kilku wiosek, i później, pod wieczór odprawialiśmy mszę w intencji odwiedzonych danego dnia rodzin, domostw.

Inne ośrodki kościelne, na przykład parafia świętego Krzyża w Gliwicach, gdzie było więcej księży (a u nas było tylko dwóch), to oni byli szczególnie po roku osiemdziesiątym bardziej zaangażowani w ten ruch polityczny. W pozostałych parafiach gliwickich też. Ale u nas, na wsi, raczej nie. Chyba, że znalazł się akurat jakiś nadzwyczajny ksiądz. Wyjątki się zdarzają. Jednak ja bym powiedział, że generalnie kler nie angażował się w tą działalność polityczną. Ale czuł mimo wszystko poparcie pozostałych ludzi. To było widać podczas kołedy.

Kołęda przebiegała więc spokojnie. Władze nie podejmowały, szczególnie na wsi, walki, która przypominałaby walkę z wiatrakami. Nawet potężny aparat partyjny nie miałby możliwości, by przeniknąć do prywatnych domostw i zapobiec przyjmowaniu wizyt duszpasterskich.

Stanowiłoby to bezprecedensowe ograniczenie wolności religii. Na uwagę zasługuje wyraźne podkreślenie faktu, że spotkania z wiernymi przebiegały w atmosferze dalekiej od politykowania. Kościół chciał neutralności.

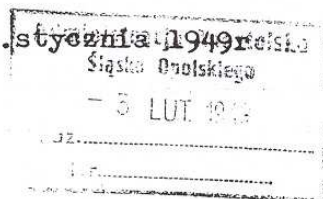
- Jestem ciekaw, jak radzili sobie księża z chodzeniem po kołędzie – pytam tym razem księdza prałata Konrada Kołodzieja, a to z tego względu, że wobec braku zgody na budowę kościoła na Sikorniku, obszar parafii świętych apostołów Piotra i Pawła rozrósł się do niebagatelnych rozmiarów.

Było to bardzo trudne. Zaczynało się te wizyty z reguły o 15.30, a kończyło często w okolicach północy. Było nas czterech wikariuszy i proboszcz, ale i tak trwało to długo..

Atak kaszlu na Ewangelię

Katolicki Urząd Pasterski
Wszystkich Świętych
Gliwice, ul. Kościelna 4.

Gliwice, dnia 31. stycznia 1949 r.



Do
Najprzewielebniejszej
Administracji Apostolskiej
w O p o l u.

Dokument 2.

Niniejszy dokument świadczy o sporym dyktandzie władz, które nie orientowały się nawet w kwestii podziału Kościoła w Polsce na jednostki diecezjalne. Uważali widocznie za oczywiste, że Gliwice należą do diecezji katowickiej, a nie opolskiej i że na mszy będzie odczytywany list biskupa katowickiego – interpretuje to wydarzenie Józef Bonczol.

W niedzielę, dnia 23.I.br. był w kościołach diecezji katowickiej odczytany List Pastorski Biskupa katowickiego. Czynniki miejscowe spodziewały się odczytania tego listu i w Gliwicach i wysłały wobec tego do każdego kościoła po grupie ludzi – około 20 – by sztucznie wywołanym kaszlem i głośnym krzaniem przy czytaniu listu przeszkadzać. Faktem jest, że w każdym kościele byli ci ludzie, ale wobec nie czytania listu zachowali się spokojnie. z wyjątkiem grupy przybyłej do kościoła Wszystkich Świętych, która przeszkadzała przy czytaniu niedzielnej Ewangelii św. Może grupa ta uważała czytanie Ewangelii św. za list pasterski? Dalej w czasie kazania zachowali się już spokojnie.

/-/ Ks. kan. Szymała.

Kalendarz liturgiczny a państwowy

Ciekawiło mnie jeszcze, co z obowiązkami obywatelskimi księży.

- Czy księża musieli brać udział w obchodach pierwszomajowych? – Pytam księdza prałata Kołodzieja.

Nie, nie było takiego obowiązku.

- A w wyborach?

Nie, nikt nie zmuszał. Ale niezależnie od tego frekwencja w głosowaniu zawsze była imponująca. Właściwie nie było to głosowanie, słowo „wybór” bardziej oddaje charakter tego zjawiska.

O wyborach mówi także ksiądz proboszcz Brunon Ploch:

Za komuny też były wybory. Ale kilka razy nie byłem. Czy można było nie być? Można było nie przyjść, ale oni i tak wpisywali, że frekwencja wyniosła sto procent. Ale faktem jest, że byliśmy obserwowani. Bo dzisiaj, czy ja idę na wybory, czy nie, to to nikogo nie obchodzi. To jest mój obowiązek obywatelski, ale czy go spełniłem czy nie, to moja prywatna sprawa. Natomiast dawniej, mimo wszystko, czy ksiądz czy nie ksiądz, trzeba było. Ale te wyniki były zupełnie nierealne. Oni podawali 99%, ale ja przecież wiem z doświadczenia, że to kłamstwo. Przecież ludzie z wioski mi opowiadali, że ten nie głosował, ten nie głosował, więc skąd taka frekwencja?

Alle większość ludzi szła do wyborów i w nich uczestniczyła, pewnie ze strachu przed represjami. Odmowa wrzucenia karty do urny nie była warta problemów. Gdy chciano się sprzeciwić polityce państwa, robiono to z reguły w inny sposób. W latach siedemdziesiątych istniał w Polsce dowcip na temat minionych czasów Gomułki: wierni klęczą w kościele, ale jeden z nich nie klęka i stoi nadal. Dlaczego nie uklęknięliście? – Pytają zaintrygowani wierni. Bo jestem ateistą – pada odpowiedź. To dlaczego jesteście w kościele? – Dopytują się zgromadzeni. Bo jestem przeciw rządowi – odpowiada. I coś w tym jest.

Lista krzywd

Ateizm to nie tylko prześladowanie duchownych, ale i świeckich. Może właśnie przede wszystkim świeckich, bo jak tu wyobrazić sobie Kościół bez wiernych, będących jego bazą i podporą? Ten rozdział to historia planu niewykonanego, to historia prób stłumienia u dziesiątków milionów Polaków uczuć religijnych. To historia ataków na jednostki. Władza nie miała skrupułów. Księdzu Pawłowi Pyrchale zabroniono nawet wyjazdu na pogrzeb ojca, bo odbywał się on w Niemczech Zachodnich..

Wspólnota świętego Marcina przy parafii Najświętszej Maryi Panny Wspomożenie Wiernych w Gliwicach działa od 11 listopada 1991 roku. Popularni „Marcinkowie”, których jest ponad stu, spotykają się kilka razy w miesiącu. Ilość tych wspólnych spotkań liczona jest już w setkach, w dziesiątkach – liczba pielgrzymek, które zorganizowali. Stowarzyszenie skupia ludzi starszych, często jest to pokolenie, którym nie obce są przeżycia II wojny światowej. Wspólnota urozmaica ich codzienne życie. Wspólnocie przewodniczy wspomniany i przedstawiony już przeze mnie Alojzy Gwóźdź. Pan Alojzy jest w trakcie małej przeprowadzki. Wraz z żoną zwalniają parter swojego domku dla rodziny syna. Sami przenoszą się na górę. Jestem zaproszony do niemal pustego pokoju tuż przy drzwiach wejściowych. Mój rozmówca posiłkuje się swoimi notatkami, które sporządził wcześniej przygotowując się do naszego spotkania.

Eucharystia za dobre sprawowanie

Przede wszystkim, co trzeba podkreślić, władza prześladowała kapłanów, ludzi wybitnych. A ci zwykli ludzie, którzy chcieli chodzić do kościoła, to właściwie mogli chodzić. Nie było u nas takich represji, jak w Czechosłowacji. To na pewno. Niemniej, żona Alojzego Gwoźdźa pomogła mu w odkurzeniu w pamięci pewnej sprawy, która wydarzyła się w jego własnej rodzinie.

Zagadnienie dotyczy dwóch rodzonych siostr mojego ojca. Obie poszły do klasztoru. Starsza z nich, siostra Avelina, ukończyła szkołę pielęgniarstwa. Pracowała w klinice w Zabrze przy aparacie rentgenowskim. Później zmarła od napromieniowania. Miała w swoim życiu różne problemy z władzą, z partyjnymi, ale nie dotyczyły one ściśle życia religijnego. Natomiast jej młodsza siostra, siostra Iphigenia, miała problem poważny. Była przedszkolanką. Wydaje mi się, że miała do tego jakieś uprawnienia. Była wychowawczynią w przedszkolu w Groszowicach koło Opola. Jednocześnie uczyła dzieci religii. Była zawsze osobą bardzo aktywną i bez problemu rozumiała się z podopiecznymi. Dzieci przychodziły na jej lekcje bardzo chętnie. Ale pewnego dnia zdarzyło się tak, o czym ona nawet z początku nie wiedziała, że dzieci przyprowadziły na lekcję dziecko funkcjonariusza państwowego. Chyba to był jakiś milicjant czy funkcjonariusz UB. W każdym bądź razie oni tego chłopaka, który „miał

nie chodzić” na religię – przyprowadzili. Ona, ucząc, nawet nie zdawała sobie sprawy, że taka osoba w grupie się znajduje. Co się później okazało? Ten ojciec, gdy się o tym dowiedział, złożył doniesienie na siostrę Iphigenię, że ona zmusza dzieci do nauki religii. Główny nacisk kładę tutaj na słowo „zmusza”. Zmusza do religii. Udzielając lekcji przedszkolakom.

Doszło do procesu w sądzie. Ciocia została skazana na dwa lata więzienia. Bez żadnej klauzuli, jak to dzisiaj bywa, że w zawieszeniu, albo coś w tym stylu. Normalne dwa lata. W tym czasie pracowała ona jako więźniarka na polu, w jakimś Państwowym Gospodarstwie Rolnym. Bez zakonnych ubiorów. Moja ciocia nie była oczywiście przygotowana do tak ciężkich robót. Wiem jeszcze o tej sprawie tyle, że czasami mój ojciec z jednym kapłanem mogli przyjść na te pola i donieść siostrze komunikanta. To jeszcze niestety zależało od dobrej woli strażnika. Nie mówię już o pozwoleniu na przejście komunikantów, ale w ogóle o dopuszczeniu do jakiegokolwiek rozmowy między moim ojcem, a jego siostrą. Ona musiała spełnić różne warunki, wykonać normę i tak dalej. I ona te całe dwa lata przepracowała. A potem już była zatrudniona w Zabrze, w kancelarii przy kościele świętej Anny. Były to lata pięćdziesiąte.

Pomijając fakt, że skazanie siostry Iphigenii odbyło się na podstawie tendencyjnych zarzutów, późniejsze ograniczanie zakonnicy możliwości godnego praktykowania wiary przemawia same za siebie. Katolicy nie cieszyli się szacunkiem systemu.

Pielgrzymkowe problemy

Wielkim organizatorem pielgrzymek i działaczem kościelnym był mój ojciec, Robert. Miał z tego tytułu różne kłopoty. Kłopoty występowały, gdy chciał uzyskać urlop w czasie, w którym akurat go potrzebował, ze względu na pielgrzymkę lub inne przedsięwzięcie. Ojciec mój także pracował na kopalni. Pamiętam, że raz prowadził pieszą pielgrzymkę na Górę świętej Anny. Władzom to się nie spodobało, był używany nawet do Strzelec Opolskich na przesłuchania. Czy wręczono mu mandat, karę? Nie jestem pewien. Wiem, że w tą sprawę zamieszany był także ksiądz prałat Jerzy Jonienc. A to były takie czasy, że rodzinie nie mówiło się o takich sprawach ze względu na to, że wiadomo, dzieciaki rozniosą, rozgadają, a potem mogą być problemy. My byliśmy jeszcze mali. Mój ojciec natomiast przy parafii był cały czas bardzo aktywny, aż do swojej śmierci w styczniu 1981 roku. Przez cały ten czas z tytułu jego działalności omijały go w pracy awanse, premie, talony czy cośkolwiek, to była rzeczywistość. Ci, którzy działali, byli pomijani.

W tej wypowiedzi, podobnie jak przy okazji wspomnień księdza Brunona Plocha, pojawia się motyw ścisłych, niebezpiecznych sekretów. Nie mówiło się całej prawdy, jak widać, nie tylko przyjaćiom, ale i czasami rodzinie.

Podam przykład – kontynuuje pan Alojzy. – Mój ojciec organizował regularnie pielgrzymki do Barda Śląskiego i do Wambierzyc. Są to tradycyjne pielgrzymki, mające długą historię i wyruszające z Gliwic od 1897 roku. Jest to ważna data. Wcześniej zresztą te pielgrzymki organizował mój dziadek, Ignacy. Problem był taki, że niemożliwością było zorganizowanie kilku choćby muzyków do orkiestry. Mój ojciec miał z tym wiele przebojów na kopalni. Ale kopalnia nie puszczała muzyków, nie dawała urlopów, jeżeli ktoś potrafił grać na instrumencie.

Ojciec organizował też pielgrzymki na Górę świętej Anny. Wymagano od niego zezwoleń. Różnych. Na wszystko. W jednym roku (1956 lub 1957) wymagano nawet od wszystkich uczestników szczepienia przeciw ospie. Była gdzieś tutaj jakaś epidemia czy coś takiego. Ogólne zarządzenie było takie, że wszyscy, którzy się przemieszczają, muszą przedłożyć zaświadczenie, że zostali zaszczepieni. Oczywiście tych szczepionek brakowało. Nie istniały odpowiednie punkty szczepień. W efekcie pielgrzymka została totalnie przetrzebiona, zdziesiątkowana. Ale szła. Jakieś może piętnaście osób. To była najmniejsza liczba w historii. Po drodze byli jeszcze zatrzymywani, kontrolowani. Niemniej, dali radę i ta pielgrzymka z naszej miejscowości do dzisiaj jest, utrzymuje się. Dzisiaj organizacja pielgrzymki wygląda zupełnie inaczej. Wynajmuje się autokar czy noclegi. Kiedyś szliśmy pieszo, ewentualnie dla starszych osób wynajmowało się furmanki.

Władze dokuczały nam czasami drobnostkami. Ale to się kumulowało. Raz, przy pielgrzymce do Piekar Śląskich, milicjanci kazali nam zawracać. Po prostu. My nie znaliśmy dobrze okolicy. Dopiero musieliśmy trafić na jakichś ludzi, którzy zaprowadzili nas przez las,

jakimiś polnymi drózkami, na miejsce. Z ominięciem ulic. Albo już podczas samego nabożeństwa, co chwilę latały nisko jakieś samoloty i zagłuszały, zakłócały swoim hukiem nabożeństwo. Władza szukała haczyków. Trąbiono w gazetach, że ktoś tam się upił, a gdzieś tu był jakiś wypadek, przejechano kogoś, samochody się zderzyły. Żeby udowodnić, że te zgromadzenia, pielgrzymki są szkodliwe.

Lista zarzutów wobec ateistycznych nieprzyjaciół to swoista litania. Prosto, po ludzku myśląc, niekiedy aż dziw bierze, że aparatowi władzy chciało się. Chciało się wymyślać dziesiątki niestworzonych utrudnień i stosować je w praktyce. Pomysł, by przelatujące nisko nad ziemią samoloty zakłócały nabożeństwa uznaje wręcz jako szczyt nonsensu. Pielgrzymki wspominają także Joanna Langer i Jadwiga Koloczek:

Kiedy szliśmy na pielgrzymkę, przykładowo do Zabrza na odpust, to szliśmy luźno, jak zwykła grupa ludzi. Bez żadnego krzyża, bez transparentów, sztandarów. Szło się chodnikiem, a nie ulicą. Dopiero przed samym celem podróży rozwijało się te wszystkie chorągwie, pokazywało się krzyż. To była konieczność. Tak było zawsze, nawet jak szliśmy w tych pielgrzymkach jeszcze jako dzieci. Podobnie było przy okazji pielgrzymek długodystansowych, w terenie. W lesie rozwijało się to, co mamy, a każdorazowo przy zbliżaniu się do jakiejś większej miejscowości następowała transformacja i kamuflaż. Żeby pokazać, że to nie pielgrzymka, tylko, że ludzie tak sobie po prostu idą.

Jadwiga Koloczek pamięta, że jako nastoletnia dziewczyna doświadczyła na Górze świętej Anny potężnej trwogi:

Jako dziecko uczestniczyłam na Górze świętej Anny w nabożeństwie pod gołym niebem. Był rok pięćdziesiąty ósmy lub pięćdziesiąty dziewiąty. Podczas kazania czy podczas czuwania, gdy było bardzo cicho i wszyscy w spokoju modlili się, nagle usłyszałam ogromny huk. Prawdopodobnie władza ukryła w drzewach jakieś głośniki i w pewnym momencie dał się z nich słyszeć potężny ryk. Ludzie się przestraszyli. Uciekali w panice. Starsze kobiety [Omy] leżały na ziemi. Wytworzyła się straszna panika. Huk przypominał jakiś samolot albo ciężki samochód, nie wiem, do czego to było podobne. Pamiętam to do dziś. Jako dziecko jeszcze, nastolatka byłam bardzo wystraszona. Opowiadałam później o tym wydarzeniu koleżankom.

Zaradni harcerze

Bernard Dybek jest również członkiem Wspólnoty świętego Marcina. Nasza rozmowa była bardzo dynamiczna. Pan Bernard jest człowiekiem energicznym, mówi głośno i wyraźnie. Ma swoje zdanie. Ponadto, posiada przebogatą kolekcję pamiątek związanych z miejscami kultu w Sośnicy. Przeniósł się tu w 1955 roku, wcześniej mieszkał w Wielkopolsce. Znaczną część swojego życia poświęcił harcerstwu. Uczestniczył w dziesiątkach różnorodnych obozów, zarówno jako harcerz, jak i instruktor. Oddaję mu głos, by opowiedział o praktykach religijnych w harcerstwie.

Na obozach nie wolno było organizować mszy, prowadzić dzieci do kościoła. Tylko indywidualnie. I po cywilnemu, a nie na przykład w mundurku harcerskim. Nie do pomyslenia. Pojedynczo, po dwóch szły dzieci do kościoła. Ale takiego jawnego życia religijnego nie było wolno robić. Na obozach nie można było angażować kapłana. Ja jeździłem na obozy bardzo często. Do kościoła chodziliśmy. Nielegalnie. Bez zbiórki w dwuszeregu i komendy „idziemy”.

Ale! W Łączy, tutaj niedaleko, bo w powiecie gliwickim, już jakiś czas temu został wybudowany ośrodek harcerski. Wiem, bo byłem w to bardzo zaangażowany. Przez sześć i pół roku pełniłem funkcję kwatermistrza. Tam w okolicy mieliśmy mały, drewniany kościółek. On spłonął, bo go jakieś dranie podpaliły. Teraz stoi tam jakiś nowy. W każdym razie do tego kościółka żeśmy chodzili, znaliśmy się osobiście z proboszczem. Ale... zawsze po cywilu. Żeby nikomu nie podpaść. I kto chciał to do kościoła szedł, nikt nikomu nie zabraniał. Jak przyszedł jakiś harcerz czy harcerka, którzy mówili, że chcą iść na mszę, to się mówiło „przebieraj się i leć”. A jeżeli pytasz o to, czy w dniach świątecznych, kościelnych, specjalnie organizowano wycieczki, to tak, to była codzienność. W harcerstwie, pozostającym pod kontrolą państwa, też.

Wieczorem w harcerstwie mieliśmy ognisko. Na jego końcu, na apelu, śpiewaliśmy wspólnie tradycyjną, harcerską pieśń:

*Idzie noc, Słońce już
Zeszło z gór, zeszło z chmur, zeszło z mórz,*

*W cichym śnie, spocznij już
Bóg jest tuż*

Jeżeli nie było na ognisku nikogo „obcego”, to tak śpiewaliśmy. Jeżeli do kogoś nie mieliśmy zaufania, kończyło się słowami „Noc jest tuż”. Tu wszyscy byli wierzący.

Niezwykły Kowalski

Starsi parafianie uczęszczający do kościoła Najświętszej Maryi Panny Wspomożenie Wiernych w Gliwicach-Sośnicy, mają sympatyczne wspomnienia na temat dość barwnej postaci, która przez kilka zwracała się do nich z kościelnej ambony.

Pamiętam, mieliśmy kiedyś w Sośnicy takiego księdza, wikarego – ksiądz Zbigniew Kowalski. Po jego mszy wszyscy byli roześmiani od ucha do ucha. Potrafił tak świetnie politykować na kazaniu. – mówi pani Jadwiga Koloczek. – Kazania jego były przesycane polityką i krytyką rzeczywistości PRL. Dzisiaj już ten ksiądz nie żyje. On był u nas jeszcze w latach sześćdziesiątych.

Ksiądz Zbigniew Kowalski był wikarym w Sośnicy w latach 1963-1965. Mimo dwuznaczności, jaką mogło budzić polityczne zaangażowanie kleru, moi rozmówcy z upodobaniem i uśmiechem wspominają jego kazania. Bernard Dybek na dźwięk nazwiska księdza też wybucha euforią:

O tak! Ten to był! Księża generalnie nie wtykali nosa w politykę. Generalnie. A ksiądz Kowalski... Był taki! Ten to był! Nie zapomnę go! Był bardzo aktywny. Każdy go słuchał, przyklaskiwał, nastawiał się przed jego kazaniem na coś ekstra. Głośno piętnował z ambony ustrój komunistyczny. Miał poklask. Ale był dyplomatą. Bo nie naraził się za bardzo. Niektórzy kiwali głowami, bo wiadomo było, o co chodzi. Ale starał się być dyplomatą, żeby go nie zwinęli. Mówił czasami w zawołanej formie. Tak musiał.

Ale z zasady było spokojnie, a z ambony padały słowa nawołujące do pojednania i spokoju. W stanie wojennym było w Gliwicach bardzo spokojnie. O tym fakcie dowiedziałem się zresztą dopiero w kościele. Ksiądz nawoływał, żeby zachować spokój. Żeby nie robić żadnych manifestacji. Było wszystko w porządku. W pracy też. W pracy sztygar odczytał jakieś rozporządzenie, to, to, to i rozeszliśmy się – przypomina sobie Bernard Dybek.

Bolesne drobnostki

Alojzy Gwóźdź o swoim zaangażowaniu przy kościele i kłopotach minionej epoki:

Krótko po wojnie powstała orkiestra kościelna i także chór kościelny. Tam mogliśmy się udzielać, znaleźliśmy ujście dla naszej aktywności. Myśmy z braćmi podążyli za ojcem, jemu asystowali. Potem pomagaliśmy mu przy pielgrzymkach i na tym polegała nasza działalność. Później przejęliśmy większość obowiązków ojca, gdy ten już nie był w stanie sam się wszystkim zajmować. Wtedy on nam doradzał, a myśmy działali.

Najtrudniej było od roku pięćdziesiątego do śmierci Stalina. Jak zniesiono w szkołach naukę religii. Jeszcze rok po śmierci Stalina nie było luzu. On był właściwie od pięćdziesiątego szóstego dopiero. Po wydarzeniach poznańskich. Gomułka poluzował, ale potem znowu przykręcił. Był to trudny okres w Kościele. Były nawet konflikty wewnątrz Kościoła, czy to na przykład na tle kardynała Wyszyńskiego, różni duchowni mieli różne zapatrywania. Te wewnętrzne spory zresztą istnieją cały czas, do dziś. Może to jest jakaś siła napędowa Kościoła. Ojciec mój zawsze mówił, że najważniejsze to nie dać się zwariować. Znam jednego zaufanego kapłana. On zawsze powiada: dał ci Pan Bóg własny rozum? Sam musisz przemyśleć, sam zdecydować! A nie bez przerwy słuchać kapłana czy biskupa. Papieża musisz słuchać, ale wobec kapłana czy biskupa musisz mieć własny rozum. To sobie zapamiętałem. Że w wielu sprawach trzeba się kierować własnym rozsądkiem.

Zapewne to samo przykazanie tyczyło się władzy ludowej.

Wiem, że do księdza prałata Jonienca przychodziły kontrole z zapytaniem, skąd on ma choinki do kościoła na Boże Narodzenie. Niby nic takiego, ale musiał się wykazać rachunkiem. Że to kupił przez legalny punkt sprzedaży, a nie przez jakiegoś leśnika. To nie to, co dzisiaj. Wtedy pieniądze były, ale towaru nie można było zdobyć. I między innymi przez to sporo księży

uwikłało się w różne nieciekawe historie. Czy ktoś na budowę kościoła kupił na lewo cement czy inne materiały, czy coś innego, to musiał się nasłuchać. Wiem, że ksiądz proboszcz ostrzegał mnie i mojego ojca przed takim dwuznacznym działaniem. Że lepiej z czegoś zrezygnować niż kupić na lewo, poza kontrolą. Bo zdarzało się, że przyszedł ktoś do jakiegoś proboszcza, nawet jakaś podstawiona osoba i mówiła: ja tu mam dwie tony cementu, niepotrzebne, mogę odsprzedać po normalnej cenie rynkowej. I niejedną się skusił na to. A później takiego księdza szantażowano.

Każdy szczegół, każda drobnostka, w której dostrzeżono nieścisłość była dla władzy odpowiednim pretekstem do wszczęcia odpowiedniej procedury. W wielu szpitalach nie było kaplic. Ja w okresie postsolidarnościowym leżałem w szpitalu w Biskupicach, który był budowany w okresie gierkowskim. I dopiero po 1989 roku zdobyli się na to, żeby utworzyć tam kaplicę. Tak było w przeważającej większości szpitali. Przecież to też była jedna z form walki z Kościołem. Ja nie powiem, że nie dopuścili tam kapłana. Dopuszcili, jeżeli chory wyraźnie sobie tego zażyczył. Ale też nie robili tego z uśmiechem na ustach. A że nie było kaplicy, to jak tu uczestniczyć we mszy świętej niedzielnej? To były tego typu drobne utrudnienia. Przed 1989 rokiem tego nie było, a ludzie się do Kościoła garnęli. Dzisiaj, można powiedzieć, jest odwrotnie – kończy z udzielającym się także mi smutkiem Alojzy Gwóźdź.

„Zagrajcie, co umiecie”

Kawał historii sośnickiej parafii pod wezwaniem Najświętszej Maryi Panny Wspomożenie Wiernych związany jest z działalnością przyparafialnej trupy muzycznej. Dzięki niezwykle zamiłowaniu do muzyki ówczesnego księdza proboszcza, Jerzego Jonienca, w pierwszych latach po wojnie roku udało się stworzyć załążek orkiestry dętej, jednej z pierwszych na Śląsku. Alojzy Gwóźdź wprowadził mnie do tego tematu:

Ta orkiestra uczestniczyła w pierwszych powojennych pochodach pierwszomajowych. [Ona] szła jako tak zwana orkiestra terenowa. Nie jako kościelna, ale jako terenowa. Taki pseudonim. Grano zawsze w czarnych spodniach i białych koszulach, był to swoisty „mundur” orkiestry. Oni nie musieli tego robić, ale proboszcz z nimi doszedł do porozumienia. On powiedział: „nic to nie jest grzesznego. Idźcie na ten pochód, zagrajcie, co umiecie i już”. A te pochody wtedy trwały w samych Gliwicach od pięciu do sześciu godzin. Wszystkie zakłady pracy, szkoły, wszystko, co umiało chodzić musiało [w nich] brać udział. Władzy zależało na orkiestrze, bo tych orkiestr nie było znowu w Gliwicach tak dużo, bo znaleźć kogoś z instrumentem, kto umie grać, to też duża sztuka. Była oprócz tego orkiestra ze straży pożarnej, z huty. A tu u nas było też trzydzieści chłopów z instrumentami. A partyjnym zależało na muzyce. Orkiestra funkcjonowała w ten sposób przez kilka ładnych lat. To jeszcze było w tym okresie, gdy władza obchodziła się z Kościołem dość łagodnie. A potem gazety się rozpisywały o tych pochodach i wymieniały wszystkie orkiestry, które grały. A myśmy się śmiali, że oni o nas piszą jako o terenowej orkiestrze z Sośnicy, skoro wiedzieliśmy doskonale, że to orkiestra kościelna.



Fotografia 3.

Zdjęcie-unikat. Orkiestra kościelna, występująca pod nazwą orkiestry terenowej z Sośnicy, bierze udział w pochodzie pierwszomajowym w 1954 roku. Orkiestra kościelna na pochodach zawsze cieszyła się największą popularnością. W innych orkiestrach grały prawie same staruchy, a tu młodzi, piękni chłopcy – wspominają Joanna Langer i Jadwiga Koloczek. Obie mają mężów-muzyków.

Muzyczne pochody

Bardzo wiele o orkiestrze parafialnej, działającej przy parafii Najświętszej Maryi Panny Wspomożenie Wiernych w Gliwicach może powiedzieć pan Augustyn Langer, który był jej wieloletnim członkiem. Podczas naszego spotkania obecna była także żona pana Augustyna – Joanna, oraz ich przyjaciółka – Jadwiga Koloczek, zaproszona przez panią Joannę specjalnie na okoliczność rozmowy ze mną. W twarzach moich rozmówców widać entuzjazm. Pragną podzielić się swoją wiedzą i cieszą się, że dorobek ich pamięci ma szansę przetrwać na piśmie.

W orkiestrze parafialnej grałem od 1951 roku. Zapisalem się jako 17-letni chłopiec. Od 1962 roku grałem też w orkiestrze kopalnianej. Trzeba powiedzieć, że to prawie jedno i to samo. Większość członków naszej grupy parafialnej, może nawet dziewięćdziesiąt procent, pracowała na kopalni i w tamtejszej orkiestrze także siłą rzeczy grali. I aż do 2000 roku grałem w tej orkiestrze na tenorze – pan Augustyn wskazuje na dyplom, który otrzymał niedawno od księdza proboszcza w podzięcie za wieloletnią służbę w orkiestrze.

Nasza orkiestra kościelna była ewenementem. Byliśmy wręcz rozchwytywani w innych parafiach. Graliśmy w Opolu, Oświęcimiu, w Zabrze-Biskupicach. Nigdzie coś takiego nie istniało. Słyszałem, że w Piekarach Śląskich podobno też była taka orkiestra, ale nie mieliśmy z nią kontaktu. To, że u nas taka grupa powstała to zasługa ówczesnego proboszcza – Jerzego Jonienca, który przejawiał zamiłowania muzyczne. Przez pewien czas nawet osobiście dyrygował orkiestrą, podczas gdy etatowy dyrygent [u nas i] w orkiestrze kopalnianej, Eryk Kośmicki, musiał udać się na naukę. Nie miał wykształcenia muzycznego. Kopalnia kazała mu iść do szkoły muzycznej, mimo że był genialnym, bardzo zdolnym samoukiem.

Możliwe, że władze orkiestry kopalnianej chciały w ten sposób uprzykrzyć życie człowiekowi, grającemu jednocześnie w kościele. Talent Eryka Kośmickiego, również w zakresie kompozytorskim, był bowiem powszechnie znany.

W czasie Bożego Ciała kopalnia zarządziła koncert wyjazdowy na kąpielisku w Rudach Raciborskich. Tam nas wywieźli. Członkowie orkiestry kąpali się razem z ruskimi żołnierzami. Oczywiście, większość członków orkiestry kopalnianej, która należała też do orkiestry kościelnej, z wyjazdu nie skorzystała. Jakoś odmówiła. Urządzano takie koncerty często i natrętnie, między innymi także nad Jeziorem Dzierżno. Bardzo dużo płacono tym, którzy zdecydowali się na wyjazd. Czasem niektórzy przez miesiąc nie zarobiliłoby tyle, co przez granie na takim wyjazdowym koncercie, odbywającym się w czasie jakiegoś święta kościelnego.

A takie warunki finansowe przyciągały niektórych muzyków. Bo za „walutę watykańską” nie wszyscy chcieli grać – mówi pani Joanna, nazywając „walutą watykańską” słowa „Bóg zapłać”.

Jeżeli dzieci należały do różnych kółek zainteresowań czy do harcerstwa, to w czasie świąt także organizowano im bardzo atrakcyjne wycieczki, żeby odzwyczaić ich od praktykowania wiary – pamięta pani Jadwiga. – Były to wyjazdy często darmowe i naprawdę bardzo atrakcyjne.

Joanna Langer przypomina sobie jeszcze jedną niemiłą historię:

A gdy ktoś z orkiestry kościelnej przyszedł grać na kopalnię, to często musiał się pogodzić ze złośliwymi komentarzami w swoim kierunku, w stylu: „O, przyszły szczury kościelne grać do orkiestry”.

Byli tacy – skwitował krótko pan Augustyn.

Podobnie z mundurami – kontynuuje pani Joanna. – Orkiestra kościelna nie miała swoich służbowych strojów, ale kopalniana – owszem. Gdy ktoś raz zagrał na pogrzebie w stroju kopalnianym, został porządnie zbesztany przez przełożonego w pracy. Tego nie wolno było robić. Zasada ogólna: mundury tylko do uroczystości kopalnianych.

Inwentaryzacja przed Bożym Ciałem

Przed Bożym Ciałem zdarzyła się taka historia, że po próbie orkiestry kopalnianej kazano nam zostawić w zakładzie swoje instrumenty celem przeprowadzenia inwentaryzacji – wspomina Augustyn Langer. – Inwentaryzacji i chyba kontroli technicznej. Problem w tym, że ociągano się później z ich oddaniem. Leżały zamknięte na kopalni w ten sposób, by uniemożliwić nam korzystanie z nich podczas procesji Bożego Ciała.

- Jak wybrnąćście z tej sytuacji? Orkiestra nie istnieje bez instrumentów, a na Bożym Ciele zagrać musieliście.

To nie był problem nie do pokonania. Mieliliśmy swoje prywatne instrumenty. Na nich zagraliśmy. Tamte były kopalniane. Większość z nas miała więc po dwa instrumenty.

- Czy tego typu działanie to tylko epizod czy „internowanie” instrumentów przed ważną uroczystością kościelną to standardowa sztuczka urzędników kopalnianych?

To się zdarzało. Może z cztery-pięć razy.

Wobec mnie osobiście nigdy żadnych poważnych konsekwencji nie wyciągano. Pan Augustyn miał kłopoty, „jak każdy”. Gdy chciałem jechać na pielgrzymkę, musiałem się nieźle nagimnastykować, żeby dostać urlop. Czasem moje starania paliły na panewce, bo urlop był po prostu nieosiągalny. Za karę omijały mnie premie. Oczywiście nie mogę być tego pewien, ale domyślam się – gdyż innych nie omijały w tym stopniu, co mnie. Narażaliśmy się, nie da się ukryć. Po którymś z koncertów kościelnych nasze zdjęcia wywieszono w komitecie partii w Gliwicach. Oczywiście sami ich nie widzieliśmy, jako orkiestra, ale doniesiono nam, że one tam wiszą. Było to działanie zarówno dla przykładu, jak i ku przestrodze dla naśladowców.

- W jaki jeszcze sposób odciągano was od obowiązków w orkiestrze?

Organizowano orkiestrze kopalnianej koncerty wyjazdowe. Albo jeździliśmy po Polsce promować górnictwo. Żeby ludzie ze wsi, z małych miasteczek, przyjeżdżali na Śląsk i zapisywali się do szkół górniczych. To była bardzo atrakcyjna wówczas perspektywa. Nieźle zarobki, przydział na mieszkanie. Z tymi koncertami propagandowymi zajechaliśmy nawet do Rzeszowa czy na Białostoczną. W każdym razie cyrklowali tak, żeby te wyjazdy wypadły w czasie jakichś świąt kościelnych. Wtedy dla nich było idealnie.

Ludzie się bali – wspomina Jadwiga Koloczek – pamiętam, jak koleżanka poprosiła mnie, żebym została chrzestną jej córki. Wzięli mnie na chrzestną, bo jako jedyna miałam ślub kościelny i mogłam nią być. Uroczystość odbyła się w parafii świętego Kamila w Zabrze. Wtedy zauważyłam, że ojca tego dziecka nie ma na mszy. Pani Jadwiga spytała o powody takiego postępowania, a odpowiedź musiała ją nieco zaskoczyć i przerazić. Powiedział, że nie poszedł, bo pod kościołem stoją agenci i zaraz by go namierzyli. Miałby podobno poważne kłopoty.

Ale były i inne postawy – mówi Joanna Langer. – Pan Lasek, dyrygent w orkiestrze kopalnianej, podchodził do przełożonych z uśmiechem. On się nie dawał w niczym, nie bał się. Był człowiekiem wesołym i to mu pomagało. Pokonywał władze uśmiechem i umiał rozmawiać z tymi ludźmi.

Modły w mundurze

Wracamy do rozmowy z Alojzym Gwoździem.

Służyłem w wojsku w latach 1955-1957 w Gubinie, przy granicy z NRD. Proszę sobie wyobrazić, że przez cały pierwszy rok służby nie wolno było ani razu wyjść do kościoła na mszę. Ani razu. Przez cały rok. Nie było problemu z kontrolowaniem tego, bo wyjść z koszar można było tylko z pisemną przepustką, która określała dokładny przedział czasowy, podczas którego można przebywać poza jednostką. Kościół odpadał. W Wigilię natomiast jako dodatek świąteczny otrzymaliśmy jedną starą, czerstwą bułkę i dziesięć dekagramów marmolady. To mi bardzo utkwilo w pamięci. Takie rzeczy człowiek pamięta do dzisiaj.

Uśmiechnąłem się, ale panu Alojzemu wcale nie było do śmiechu. Nawet po pięćdziesięciu latach taka symboliczna zniewaga święta kościelnego daje o sobie znać.

A w samą Wigilię czyściliśmy trocinami podłogi w koszarach. Na wilgotno. To zrobiono po to, żeby jak najbardziej odciągnąć nas od myśli, od wspomnień o naszych domowych Wigiliach. To był w każdym razie mocny punkt do ubijania tych naleciałości religijnych, które chłopaki przywieźli ze sobą do wojska. Dzisiaj to niewyobrażalne, prawda? Nie wiem, jak chłopaki by dzisiaj zareagowali na takie decyzje.

„Ubijanie” to jedno z ulubionych słów Alojzego Gwoźdźcia. Zwykł tak określać czynności, których celem było tłumienie religijnych uczuć i obyczajów.

Do kościoła mogliśmy pójść dopiero w roku pięćdziesiątym szóstym na Wigilię. Był to efekt wydarzeń poznańskich z czerwca tego roku. Nasza jednostka przebywała zresztą na poligonie w okolicach Poznania. Ja bezpośrednio nie uczestniczyłem w tych wydarzeniach, nie brałem udziału w ich tłumieniu. Porozstawiano nas jedynie po lasach, żebyśmy wylapywali więźniów, którzy uciekli, bądź zostali uwolnieni z poznańskich zakładów. Można jednak z

dużym prawdopodobieństwem stwierdzić, że gdyby nie te wydarzenia w Poznaniu, to kościoła nie zobaczylibyśmy w wojsku przez całe dwa lata. Trochę nam ulżyło.

Pan Alojzy zaczerpnął powietrza i kontynuował. *Nigdy nie zapomnę tej pasterki w 1956 roku. W Gubinie było mnóstwo żołnierzy, mnóstwo koszar. Ja byłem już wtedy kapralem i dostałem polecenie kierowania grupą. Zaprowadziłem przydzieloną mi grupę żołnierzy do kościoła. Wokół kościoła było tyle wojska! Tyle wojska! Po prostu ogrom. Słysząc było śląskie śpiewy, bo dużo było tam osób ze Śląska. Nie wiem, do czego można przyrównać panującą wówczas atmosferę. Może nawet do tej panującej podczas papieskich pielgrzymek. To było niesamowite przeżycie, które jest żywe w mojej pamięci, mimo że minęło już pięćdziesiąt lat. Pamiętam, że sceneria była bardzo bajkowa – padał śnieg.*

- Czy przy okazji tej legalnej pasterki władze mimo wszystko nie wywierały jakichś zakulisowych nacisków?

Nie, bo nie wypuszczano nas indywidualnie. Szliśmy na mszę gromadnie, w szeregu.

- Czy dowództwo też się skusiło na uczestnictwo w nabożeństwie?

Pewnie nie. Jeżeli nawet szli, to nie szli z nami, ale indywidualnie, według uznania. Oficerowie mogli tak postąpić. Mogli też zdjąć oficerski mundur i przyjść do kościoła po cywilnemu. Nam, szeregowym żołnierzom, wówczas pod żadnym pozorem nie było wolno ściągać munduru.

Te nadzwyczajne złagodzenia wynikały z popaździernikowej odwilży. Nie trwały długo, ale przynosiły radość i nadzieję choć na chwilę. Istniejąca patologia była jednak zbyt wyraźna, by jej nie dostrzegać. „Krok w tył, dwa kroki do przodu” – cel władzy był klarowny.

W 1957 roku załoga pana Alojzego przeniosła się na poligon w Biedrusku koło Poznania. Tam już nie było mowy o żadnej mszy. W ogóle. Ciekawie wspominam kontakt z żołnierzami bratniej armii NRD, która przebywała wówczas na tym samym poligonie. Powiedziano nam, że kto umie niemiecki, może porozmawiać, w ramach zacieśniania kontaktów między bratnimi państwami. Ci żołnierze z NRD byli do tych rozmów specjalnie przeszkoleni. Gdy rozmowa schodziła na sprawy religijne, natychmiast zmieniali temat.

Pewne złagodzenie w drugim roku służby polegało na tym, że gdy w jakąś niedzielę nie miało się konkretnych zajęć, służby wartowniczej czy tym podobnych obowiązków, a miało się w jednostce dobrą opinię, można było w nagrodę otrzymać przepustkę i nawet iść do kościoła. Chodziło się tam indywidualnie. I trzeba zaznaczyć, że praktyka ta pojawiła się dopiero w drugim roku służby.

- Jak ludzie wierzący odczuwali tak drastyczne pozbawienie ich możliwości chodzenia do kościoła?

Oczywiście kilka razy, jeżeli była możliwość, to indywidualnie żeśmy się pomodlili. Już na drugi rok na Wigilię był jakiś kawałeczek kielbasy czy coś, ale o takiej atmosferze świątecznej czy religijnej to raczej nie było co marzyć. Ta służba zasadnicza nie miała takiej siły przebicia, żeby wymóc jakieś większe przywileje, jeżeli chodzi o praktykowanie wiary. Wszystko sprowadzało się do indywidualnej modlitwy. Gdy ktoś był w trudnej sytuacji, miał jakąś potrzebę, modlił się. Zwracał się o pomoc do Boga czy Matki Bożej, zależy. To zależało od indywidualnych charakterów. W ten sposób uwidaczniają się potrzeby duchowe poborowych, ludzi jeszcze młodych, ale bardzo świadomych swojej wiary i korzeni. Pan Alojzy zwraca jednak uwagę także na inną sprawę: trzeba pamiętać o tym, że my byliśmy już pokoleniem wychowanym w czasach wojny. Byliśmy zahartowani. Byliśmy. Ale to jeszcze nie chroniło przed wszystkim. Od czasu do czasu docierały do nas wiadomości, że ten czy inny chłopak popełnił samobójstwo. Nie można było o tym głośno mówić, ale takie rzeczy się wiedziało.

Polowanie na liderów

Moja rozmowa z panem Alojzym przenosi się nieuchronnie w przyszłość. Dziwne i dwuznacznie oceniane przez historię lata siedemdziesiąte. Jakie były dla katolików?

W czasach Gierka byłem trzy razy na pielgrzymce z Warszawy do Częstochowy. To jest ta sławna warszawska pielgrzymka. Siostra mnie w nią wciągnęła. One były teoretycznie studenckie, ale wiadomo, że sami studenci tam nie szli. I podczas wędrówki zostało zdekonspirowanych, wykrytych kilku ludzi, którzy zostali nadesłani przez władze. Ich zadaniem było dokładne rozeznanie się w tym, co kto reprezentuje. W ciągu dziesięciu dni drogi, bycia razem na drodze, na noclegu, przy posiłkach, dokładnie można wyczuć, co w kim

siedzi. Czy ktoś jest aktywny, czy ktoś jest do religii przekonany. Im zawsze chodziło o wyłapanie tych najbardziej aktywnych. Tych liderów posiadających zdolności. Żeby ich mieć na początek pod kontrolą, a później wyeliminować. Ta pielgrzymka warszawska była doskonałym polem do takich działań, bo w niej uczestniczyli z reguły katolicy bardzo już gorliwi, przekonani. To były te lata gierkowskie. Aczkolwiek, z tych czasów można nadmienić o jednej charakterystycznej sprawie. Władza pozwalała przyjeżdżać na pielgrzymki grupom zagranicznym. Pamiętam studentów z Włoch, była duża grupa niemieckojęzyczna (zdarzali się pielgrzymi z NRD), była grupa węgierska. Oni trzymali się razem, organizowali sobie wspólne wieczory, ogniska, śpiewy. Nieraz chodziłem ich posłuchać.

- Skąd pan wiedział o tych szpiclach?

Nas duszpasterze na noclegach czy w jakichś mniejszych grupach poufnie informowali o tym, że tacy ludzie są nadesłani. Że takich wykryto. Często zabierano tym szpiclom legitymacje pielgrzymkowe i wypraszano z grupy. Żeby już więcej nie przeszkadzali.

I tu chyba po raz pierwszy można dostrzec logikę w systemie walki z katolicyzmem. Program polowania na liderów, gdyby został zrealizowany skutecznie, mógłby poważnie zachwiać podstawami Kościoła, pozbawić go czołowych świeckich aktywistów. Choć tak naprawdę czy w ówczesnej jakiegokolwiek antykościelny plan miał szanse powodzenia?

Ewolucje

Zdarzały się też „nieczyste zagrywki” w pracy, co musiało być dla pana Alojzego, jak i każdego szeregowego pracownika, kwestią szczególnie przykrą:

Miałem w pracy takiego wrednego sztygara. Nie miał może jakichś specjalnych umiejętności w zawodzie. W jego bliskim otoczeniu szerzyło się pijaństwo, na wycieczkach pracowniczych z jego udziałem także. Ale skończył te szkoły, które trzeba było skończyć, te idące po linii partyjnej. Nie będę wymieniał jego nazwiska, bo może jeszcze żyje, może się zmienił. W każdym razie wtedy jemu wszystko było wolno, miał duże wpływy, a trzeba pamiętać, że na naszej kopalni pracowało wtedy jakieś dwanaście tysięcy ludzi. I był rzeczywiście bardzo wredny. On wiedział, że działam w kościele. Dawał mi to odczuć zawsze, każdym możliwym sposobem. Trudno jest to wszystko określić. On nie był kierownikiem oddziału. Gdy mógł, zawsze starał się ludziom wierzącym dokuczyć. Nigdy nie zapomnę jego wyrazu twarzy, gdy nastał stan wojenny. Musieliśmy wtedy chodzić do pracy na specjalnych przepustkach. Były też specjalne przepustki na nocne zmiany. Gdy przeszedłem raz na nocną zmianę, zastałem go w mundurze ORMO. Powiedział mi: „no, wreszcie ci się skończyło twoje działanie. Teraz będziesz robić, co ja każę.” Przedstawił tę sprawę w sposób bardziej ordynarny, ja nie chcę dokładnie cytować. Poniżał mnie przed moimi kolegami z pracy z powodu mojego zaangażowania w sprawy kościelne. Wytykał mi to.

- Może to naiwne pytanie, ale skąd on posiadał takie informacje na pana temat?

Właściwie to wiedział cały oddział. Między swoimi mówiło się o takich rzeczach. Każdy wiedział, kto chodzi ze sztandarem na procesjach, kto ma syna w seminarium, kogo dzieci służą podczas mszy. Funkcjonariusze byli też o tym doskonale poinformowani. A już tym bardziej w moim wypadku, gdzie ja organizowałem pielgrzymki, a więc nie było jakie przedsięwzięcie.

Nie był lubianym człowiekiem. Ale pan Alojzy jest przekonany, że nie wszyscy to okazywali i nie starano się robić mu na przekór. Ja też muszę powiedzieć, że moja postawa nie była zawsze idealna. Miałem żonę, byłem ojcem, mieliśmy czwórkę dzieci. Byłem jedynym żywicielem rodziny. Nie mogłem być radykałem. Nie mogłem w imię religii, Pana Boga czy wolnej Polski postawić wszystkiego, wszystkiego zaryzykować. Byli tacy bohaterowie, jak najbardziej. Taki nie byłem. Ale też nikt nigdy nie postawił mnie pod ścianą, między młotem a kowadłem. Albo rodzina albo praca. Albo praca, albo Bóg, Kościół. Nie, w takiej sytuacji się nie znalazłem. Ale wiem, że inni musieli się z nią zmagać.

A z kolei kierownik oddziału był nam bardziej przychylny. I myśmy mu się odwzięczali, gdy była możliwość. Na przykład ja przyznaję, że chodziłem na pochody pierwszomajowe. Co prawda był obowiązek, oni sprawdzali obecność i tak dalej. Myśmy chodzili, żeby kierownik nie miał przez nas problemów. Kierownik był ludzki. Nie chcieliśmy mu robić na złość, stawiać go w złym świetle w stosunku do jego przełożonych z powodu, że jego oddział źle wypadł na pochodzie. Czy kierownik chodził do kościoła? Tak, wydaje mi się że tak, ale chyba do innej

parafii. Tego zresztą wymagano od kierownictwa. Kolejna sztuczność, która zmusza jednostkę do udawania, do – w pewnym sensie – kłamstwa.

Chwile słabości

Celem tej pracy nie jest idealizacja jej bohaterów. Byłoby nieuczciwym pomijać zdarzenia niewygodne dla katolików. I wśród nich zdarzyły się osoby, które uległy, bądź to w konsekwencji przemyślanego działania, z premedytacją, bądź w chwili słabości. I właśnie taką krótką historię opowiedział mi ksiądz infułat Paweł Pyrchała.

Na początku lat sześćdziesiątych byłem duszpasterzem ministrantów. Dlatego też znana jest mi sprawa, która wydarzyła się w 1961 roku w Niższym Seminarium Duchownym w Opolu. Był tam młody chłopak, który po prostu przez głupotę, lekkomyślność, wpłatał się w nieciekawą historię. Dał się prawie że zwerbować tajnym funkcjonariuszom. Przyszedł z nimi do swojego domu i rozmawiał. Oni mu mówili, w jaki sposób mógłby się przysłużyć. Potem, ponieważ czuli się skrepowani obecnością w domu siostry alumna, wyszli z domu do jakiejś kawiarenki. Tam kontynuowali rozmowę. Dopiero po jakimś czasie ten chłopak zorientował się, co w ogóle robi.

- Co się z nim stało?

On się naraził. Z seminarium został wydalony, ale później próbował wrócić do seminarium, bo zrozumiał swój błąd. I ja się za nim wstawiłem u biskupa Franciszka Jopa. Bo jak mogłem postąpić inaczej? Bronilem go jako duszpasterz i to było naturalne. Ale biskup podjął inną decyzję i napisał mi w piśmie, że owszem, zapoznał się z całą sytuacją, ale nie może pozwolić na powrót tego chłopaka do seminarium. Napisał, że nie przekreśla jego wartości, ale decyzji nie zmienia.

Za błędy trzeba było płacić. I choć to smutna historia, to może dobrze, iż tak się stało. Kościół potwierdzał tym samym swoją pozycję bycia ostoją moralną narodu. W realiach Kościoła czarne usiłowało być czarnym, a białe za wszelką cenę – nadal białym. Mimo przewrotności systemu, w którym osadzone było duchowieństwo, tę wiarygodność i prawdziwość udało się zachować. Sądy państwowe niejednokrotnie stawiały krzyżyk na ludziach niewinnych, a pobrażały bądź w ogóle nie rozpatrywały spraw zbrodniarzy i społecznych analfabetów. Kościelny „wymiar sprawiedliwości” był tym, czym sądy podziemne na terenach polskich w czasie II wojny światowej. Czymś, co utwierdzało ludzi, że jeszcze nie wszyscy przewartościowali wartości, że jeszcze ktoś robi z mądrości użytek.

Dyrektor klerykał

Florian Brom jest dyrektorem mojej szkoły, V Liceum Ogólnokształcącego imienia Andrzeja Struga w Gliwicach. Piastuje tę funkcję od 2002 roku. Kiedyś, w luźnej rozmowie, wspomniał mimochodem, że już pod koniec lat osiemdziesiątych był brany pod uwagę przy obsadzaniu stanowiska dyrektorskiego w tej szkole. Po kilku tygodniach wróciłem do tej rozmowy i poprosiłem, by opowiedział mi szczegółowo o tym wydarzeniu i o powodach, dla których nie udało mu się wówczas uzyskać dyrektorskiej nominacji.

Byłem młody i właściwie może dobrze się stało, że wtedy tym dyrektorem nie zostałem. Nie jestem w stanie przewidzieć, czy w ówczesnych warunkach poradziłbym sobie na tym stanowisku. Byłem nauczycielem dopiero od siedmiu lat, ale miałem pewne doświadczenie teoretyczne. Ukończyłem kurs dla menedżerów oświaty i studia podyplomowe. Poza tym, osiągnąłem dobre wyniki w pracy, miałem dobry kontakt z młodzieżą i gronem pedagogicznym. Udziałem się też społecznie w zespołach sportowych.

Skupmy się jednak na motywach takiej, a nie innej decyzji władz oświatowych. Był 1987 rok, schyłek PRL. W tamtym okresie nie przeprowadzano, zgodnie z dzisiejszym zwyczajem, konkursu na stanowisko dyrektora. O wszystkim decydował Inspektorat Oświaty. Szkoła, a właściwie szkolna komórka Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej, miała możliwość rekomendowania Inspektoratowi jednego kandydata. Oddaję w tym momencie głos dyrektorowi:

Zaproponowano mnie. Ówczesna pani dyrektor, która odchodziła na emeryturę, zapytała mnie tylko, czy gdyby zaszła taka możliwość, podjąłbym się tej funkcji. Powiedziałem, że tak. Potem stała się rzecz następująca. Na spotkaniu miejskiego koła PZPR odniesiono się do

mojej kandydatury. I obecny na zebraniu przedstawiciel naszej szkoły dostał ostrą reprymendę. Za wystawienie kandydata-kleryka! Ja uważam, że rzeczywiście – było, czy mogło być wówczas mnóstwo argumentów, dla których nie powinienem zostać dyrektorem. Inspektorat Oświaty przedstawił jednak tylko dwa najbardziej absurdalne. Posłuchaj, jakie.

Po pierwsze, wraz z żoną (co podkreślono) wziąłem manifestacyjny udział we mszy świętej odprawionej w kościele pod wezwaniem świętych apostołów Piotra i Pawła. Msza odbyła się za pomyślność dla maturzystów naszej szkoły. Zostałem na nią zaproszony przez młodzież. Nie miałem swojego udziału w organizacji tej mszy, ale młodzież mnie zaprosiła i czułem się przez to wyróżniony i zaszczycony. Uczestniczyłem w tej mszy świętej, było to w maju o godzinie osiemnastej, była piękna pogoda. Byłem ładnie ubrany. I to wszystko. A oni mnie posądzili o manifestację.

Po drugie, ludzie, którzy mnie śledzili, donieśli, że codziennie rano, przed pójściem do szkoły, przed rozpoczęciem zajęć zachodzę do kościoła Podwyższenia Krzyża Świętego. Była to prawda. Mieszkalem w Brzezince, zupełnie na peryferiach Gliwic i codziennie dojeżdżałem autobusem linii 57, który zatrzymywał się obok wspomnianego kościoła. Codziennym zwyczajem zawsze wstępowałem, by się pomodlić.

To były te argumenty. Nic więcej. I od tego momentu nikt nie miał nic do gadania. Nikt nie mógł mnie bronić, bo decyzja, jaka zapadła była wyrocznią. Ówczesna dyrektorka dowiedziała się o decyzji partii za sprawą naszego przedstawiciela. Ten nasz przewodniczący szkolnego koła był dobrym, uczciwym człowiekiem. Pamiętam, że po tym spotkaniu z władzami przyszedł bardzo roztrzęsiony i był głęboko poruszony sposobem, w jaki nas potraktowano. Nazwanie mnie klerykałem? Nie należałem do rady parafialnej, nie udzielałem się przy kościele. Owszem, w młodości byłem ministrantem i w czasie studiów pomagałem czasem księdzu w Bojszowie w prowadzeniu spotkań z młodzieżą. Ale klerykałem się nie czuję. Inspektorat nominował wtedy inną osobę, dotychczasową wicedyrektorkę. Ja podszedłem do tego na luzie. Właściwie jesteś pierwszą osobą, której o tym opowiadam, która o to pyta.

Fakt ten pozostał bez wpływu na moje życie religijne. Nadal jestem człowiekiem głęboko wierzącym. I nawet dziś zamawiam czasami (jeżeli uczniowie o tym zapomną) msze w intencji powodzenia dla maturzystów. Teraz to trochę inaczej wygląda, od kiedy księża wrócili do szkół. Dawniej chodziło się na plebanie, teraz dają księdzu polecenie służbowe zorganizowania mszy – śmieje się dyrektor.

Budownictwo na zakręcie

Okres PRL upłynął przede wszystkim pod znakiem ogromnego zastoju w dziedzinie budownictwa sakralnego. Wydawane od święta pozwolenia na budowę kościołów sprawiły, że dziś świątynie wzniesione w latach 1945-1982 należą do rzadko spotykanych „perełek”.

Ksiądz Brunon Ploch przez większość moich rozmówców kojarzony jest jednoznacznie, jako wielki budowniczy diecezji. Rzeczywiście, ksiądz miał szereg doświadczeń związanych z nielegalnym, a później już legalnym wznoszeniem domów Bożych. Oddaję mu głos. Ksiądz Brunon o budowach opowiada ze szczególnym zapalem:

Zezwolenia – mój rozmówca bierze głęboki oddech. – Wówczas, jako diecezja, otrzymaliśmy jedno zezwolenie na budowę kościoła. Ale oni znowu byli sprytni. Gdyśmy wysłali na przykład trzydzieści podań o wydanie pozwolenia, to oni wybrali jakieś jedno najmniej istotne, najmniejsze. Na przykład z jakiejś wioski. To, na którym nam najmniej zależało. A resztę odrzucali. I wówczas Kościół wpadł na pomysł, że będziemy wysyłać tylko jedno podanie. Jedno podanie i to takie, na którym nam najbardziej zależy, które jest nam najbardziej potrzebne. I wówczas biskupi obierali miasta. I takim sposobem powstał tutaj w Gliwicach kościół na Sikorniku. Ale jak mówię – takich pozwoleń wydawano w czasach najgłębszego komunizmu jedno na rok na diecezję. A zapotrzebowanie na kościoły było masowe, było o wiele większe. A jak przyszedł ten przewrót, te lata osiemdziesiąte, wtedy zaczęto już wydawać dużo pozwoleń.

Próbuję szybko przetworzyć uzyskaną informację. Jedno pozwolenie na rok. W całej diecezji Kościół otrzymywał jedno pozwolenie na rok! Szybko liczę, ile świątyń mogło zostać w tym czasie zbudowanych... Ksiądz Brunon kontynuuje:

Wyrok za cztery metry kwadratowe

Gdybym miał powiedzieć, jak władza utrudniała budownictwo, to też mam kilka ciekawych przykładów. Pierwszą kapliczkę, którą wybudowałem w diecezji, a właściwie przerobiłem a nie wybudowałem, to było w sześćdziesiątym ósmym roku. To była kapliczka w Górażdżu pod wezwaniem świętej Katarzyny ze Sieny. I za to byłem sądzony, za nielegalną budowę. Nielegalna budowa, bo pozwolenia na legalną nie można było dostać. A co to była za budowa? Praca duszpasterska w takich warunkach, jakie wtedy miałem, była nie do zniesienia. Ludzie w zimie stali na dwudziestostopniowym mrozie, a kapliczka, w której odprawiałem msze, była dwa na dwa metry! Drzwi wszystkie pootwierane, więc nabożeństwa właściwie były na powietrzu. Więc ja chciałem coś z tym zrobić. A ponieważ byłem wikarym, wikary nie mógł mieć żadnej własności. Więc na proboszcza kupiłem taki stary budynek nieopodal wraz z zabudowaniami gospodarczymi. I z wnętrza wszystko wywaliliśmy. Tam były tylko ściany, okna, drzwi, poddasze. Wszystko ocieplone. To wszystko. I w tym sześćdziesiątym ósmym roku, gdy to robiliśmy, ma się rozumieć, już podczas przeróbki kościół

był obserwowany ze wszystkich stron. Przeróbka trwała tydzień. Pomagało nam mnóstwo [ludzi], cała masa wiernych. Więc to wszystko było zrobione w mgnieniu oka. I wówczas nas zatrzymano. Budowę wstrzymano, bo była nielegalna, bez pozwolenia. Wtedy też było moje pierwsze spotkanie z sądem.

Nadgorliwość gorsza od faszyzmu. Potężny aparat władzy był zazdrosny o rozpadające się pomieszczenie gospodarcze na wsi. Tak mogło się wydawać, choć w rzeczywistości chodziło przecież o wiarę. Dobrze, że cała historia z sądem skończyła się nie tak źle, jak mogła.

Żeby wszystko było jasne, ja jestem księdzem po wyroku. Wyroku skazującym. Co prawda nie za jakieś tam rozboje, ale za nielegalne budownictwo w okresie PRL. Ale był to sąd pierwszej instancji, ma się rozumieć. No w takich warunkach nie było innej możliwości. W uzasadnieniu tam napisano listownie do Krapkowic, że musi być wyrok skazujący. Wówczas na drugiej rozprawie zostaliśmy obciążeni grzywunami. Nie aresztem, ale grzywunami. Trzeba powiedzieć, że wszyscy prokuratorzy, sędziowie, to byli ludzie wierzący. Oni byli partyjnymi, ale byli wierzący. Oni mieli więcej wspólnego z Kościołem niż z tą całą partią. Dlatego tam wówczas szło załatwić dla Kościoła wszystko, bo oni wiedzieli, że ta sytuacja jest nienormalna. Także ten człowiek z prokuratury powiedział, że my musimy dostać wyrok skazujący, bo nie ma innej możliwości, bo taki jest nakaz z góry. Ale, że dadzą nam wyrok najniższy, jaki tylko będzie możliwy. Poradzono jednak księdzu, by zasądzoną wyrokiem karę grzywny wpłacił natychmiast. Uniemożliwiłoby to wniesienie apelacji. Także jak dostaliśmy wyrok, zaraz na drugi dzień z proboszczem żeśmy to wszystko wpłacili. Tą całą grzywnę. I już nie mogli dać odwołania, bo wyrok został wykonany. Ale budowa była zatrzymana...

I potem w jedną noc...

Co sami duchowni mogliby zrobić, gdyby nie rzesze uczynnych wiernych...

I znowu musieliśmy czekać. I potem, w jedną noc przykryliśmy dach, dosłownie w jedną noc! Postawiliśmy na nogi [taką] masę ludzi, że w nocy zrobiliśmy wszystko. Rano już [oni] przyjechali, powiedzieli, że coś znowu nielegalnie robimy. I rano ksiądz proboszcz do mnie mówi, żebym natychmiast pojechał do miasta, wziął i zameldował, zarejestrował to jako punkt katechetyczny. Żebym to zgłosił. I ja to zgłosiłem. I gdy o dziesiątej rano przyjechali, chcieli zaplombować ten punkt, to ja mówię: „panowie, ja mam tu zgłoszony punkt katechetyczny”. Podyskutowali chwilę, ja pokazałem papier, a im nie było wolno zamknąć punktu katechetycznego. I pojechali. I ta sprawa się potem jakiś czas ciągnęła. A ta kaplica była zapisana proboszcza – to była jego własność tak naprawdę. Ale służąca dla parafii.

Ksiądz Ploch długo tłumaczył mi specyfikę tego wydarzenia, podobnie jak wszystkich innych zawiłości prawnych tamtego okresu. Władza nie mogła zamknąć punktu katechetycznego, tym bardziej, że został on w mistrzowski sposób szybko zgłoszony i zatwierdzony. Mogła tak postąpić jedynie w wypadku świątyni, miejsca kultu.

Ale przyszły lata siedemdziesiąte i w roku siedemdziesiątym umiera proboszcz. I kwestia testamentu. Na kogo ma przepaść ten majątek? Ja nigdy nie przypuszczałem, że zostanę w tej parafii proboszczem. A pod testamentem podpisani byli katechetka, pomoc domowa i ja. Testament brzmiał, że jego własność przechodzi na następnego proboszcza parafii. I potem się okazało, że nowym proboszczem zostałem ja. Testament otworzyliśmy – jest nieważny. Nieważny dlatego, bo byłem tam pod nim podpisany. Unieważnili go, bo był tam mój podpis jako świadka, a ja nie wiedziałem, że zostanę spadkobiercą, skąd mogłem przypuszczać, że zostanę nowym proboszczem? I ten testament nie nabrał mocy prawnej. A ja wcale nie musiałem się tam przecież podpisywać. Bo dwóch świadków by wystarczyło. Ale wtenczas nawet o tym nie myślałem. Ja byłem młody, miałem dopiero siedem lat kapłaństwa. Kto by pomyślał, że mianują mnie proboszczem? Byli dużo starsi ode mnie księża, którzy czekali na placówki.

Zawiły język księdza proboszcza znów wymaga wyjaśnień. Testament stwierdzał, że własność księdza proboszcza przechodzi na kolejnego proboszcza parafii, nie było w nim odniesienia konkretnie do księdza Plocha. Tymczasem, jak się okazało bezpośrednio zainteresowany testamentem ksiądz Brunon podpisał go wcześniej jako świadek. Na tym polegała przyczyna komplikacji.

Potem, po unieważnieniu, okazało się, że ten spadek przejdzie na rodzinę. Na siostrę, na rodzinę Bittnerów. I po załatwieniu tych wszystkich formalności, Bittnerowie mi to sprzedali. Oni to otrzymali w spadku, za co musieli zapłacić podatek od wzbogacenia się, a Bittnerowa mi to sprzedała, jako następnemu proboszczowi. I ja byłem właścicielem tego kościoła. Kapliczki właściwie.

Najbogatszy w rankingu proboszczów

W siedemdziesiątym ósmym roku podjąłem następną próbę. Kupiłem gospodę i spróbowałem przerobić ją na kościół. Ale kościół, który znów był w świetle prawa moją prywatną własnością. Ja chyba wówczas byłem najbogatszym proboszczem w Polsce. Miałem na własność dwa kościoły. Ten drugi kościół powstał z nagięciem przepisów, ale już się tego tak nie czepiano. Dali nam spokój. Ta przeróbka trwała jakiś miesiąc-dwa. I po dzień dzisiejszy oba te kościoły nadal funkcjonują, z tym, że kiedy tylko przyszła taka możliwość, a było to w latach dziewięćdziesiątych, natychmiast przepisałem ten majątek na własność Kościoła. Z tym, że w Górażdzu rozpocząłem także w 1984 roku budowę normalnego kościoła, kościoła z prawdziwego zdarzenia. I ten właśnie kościół ma teraz status kościoła parafialnego, a z tej kapliczki, którą zrobiłem, utworzono dom katechetyczny. W każdym razie, obydwie te obiekty służą Kościołowi. Te świątynie były poświęcone. Jeden – błogosławionej Bronisławie, dlatego że w Kamieniu czci się trzech świętych: Czesława, Jacka i Bronisławę. Ten nowy kościół jest pod wezwaniem błogosławionego Czesława. A teraz jest jeszcze budowany kolejny kościół świętego Jacka. A kaplica była pod wezwaniem świętego Krzyża.

Wniosek jest jasny. Odwilż ogarnęła również sferę budownictwa sakralnego.

I gdy budowano ten Kościół na Sikorniku, gdy rozpoczynano budowę [w latach 1980-81] to ja byłem proboszczem na parafii, która obejmowała Górażdże. A w Górażdżu jak wiadomo jest ta cementownia. I wtedy ksiądz, który prowadził tą budowę, ksiądz Konrad Kołodziej, brał ode mnie cement, ja mu to dostarczałem, bo nie można było inaczej go dostać, takie były czasy. Wszystkie zresztą materiały na budowę załatwiał się... różnie.

Troszkę mnie to zdziwiło. Wszyscy inni moi rozmówcy bardzo przestrzegali przed załatwianiem materiałów „na lewo” – z reguły rodziło to poważne kłopoty. Ksiądz Ploch nie bał się jednak takich praktyk. A może w latach osiemdziesiątych napięcie i strach na tyle osłabło, że wielu uważało posiadanie podobnych obaw i obiekcji za bezpodstawne. Perypetie w Kamieniu Śląskim i okolicach to nie jedyne doświadczenia księdza Brunona, jeżeli chodzi o budownictwo sakralne.

Gdy w 1986 roku zostałem przeniesiony do Sośnicy, już jako proboszcz tamtejszej parafii, biskup powiedział od razu i bez owijania w bawełnę: „Idziesz tam z zamiarem budowy nowego kościoła”. Na razie było to niemożliwe, ale kiedy tylko by się nadarzyła okazja, miałem podjąć starania. Już poprzedni proboszcz, ksiądz prałat Jerzy Jonienc podejmował takie zabiegi, ale wiadomo było, że wszelkie jego próby muszą spełznąć na niczym. One były z góry skazane na niepowodzenie. Władza nie siła się zresztą nawet na wyszukane wytłumaczenie. Wytłumaczenie było bardzo proste: „nie ma miejsca”. To było uzasadnione tym, że oni od 1970 roku wydawali tylko jedno pozwolenie na diecezję. Gdy przyszedłem w 1986 roku musiałem czekać. I czekałem dużo dłużej niż trzy lata...

Miało się okazać, że warunki dla budownictwa w Polsce demokratycznej są niewiele łatwiejsze. Bynajmniej, już nie z powodu autorytatywnych decyzji urzędniczych. Historia budowy kościoła w Gliwicach-Sośnicy stanowi już jednak odrębny kawałek historii.

Przestraszony murarz

Na hasło „budownictwo” ksiądz dziekan Józef Dyllus reaguje zdecydowanie: W ogóle nie było budownictwa wtedy! Ksiądz miał oczywiście na myśli budownictwo legalne. O nielegalnym, kwitującym głównie do lat siedemdziesiątych włącznie, ma z kolei wiele do powiedzenia.

Jeżeli chodzi o budownictwo, raz władza załatwiła mi porządnie za skórę. Było to po liście do biskupów niemieckich w 1965 roku. Po wystosowaniu tego listu, Episkopat wystosował drugi list, adresowany do wiernych w Polsce. W liście tym Episkopat tłumaczył motywy, jakie kierowały nim przy pisaniu listu do biskupów w Niemczech. Przed odczytaniem tego listu

funkcjonariusze państwowi jeździli po parafiach i ostrzegali by nie czytać tego. Do mnie też zajechali. Ale ja im oznajmiłem jedno: „jeżeli biskup każe mi ten list przeczytać, to ja go będę czytał”. No to będzie ksiądz miał kłopoty – tak mi powiedzieli. O ile dobrze pamiętam to byli ludzie z Urzędu Spraw Wewnętrznych.

Ksiądz przeczytał list. „Goście” przyjechali w przeciągu następnego tygodnia.

Ja w okolicy, w szczerym polu, ale na terenie mojej parafii miałem taki kościółek, który przez komunistów był skazany na rozbiórkę, był strasznie zaniedbany. Nie był niezbędny dla funkcjonowania parafii, bo mieliśmy normalny kościół parafialny, ale poczułem się w obowiązku, by zaopiekować się tym starym kościółkiem. Ja go zacząłem remontować. Gdy oni przyjechali na parafię, mnie akurat nie było, bo nadzorowałem właśnie prace przy nim. Oni mi oczywiście wcześniej oświadczyli, że ponieważ ja nie zostałem zatwierdzony jako proboszcz, oni mi nie dadzą żadnego pozwolenia na remont czegokolwiek, ani mojego kościoła parafialnego, ani tego małego kościółka w polu. I wtedy robiłem to nielegalnie. Choć ta sytuacja wpłynęła na tempo prac. Prace wykonywał taki miejscowy murarz, remontował, tynkował. No i gdy ci funkcjonariusze dowiedzieli się o sprawie tego listu, już w następnym tygodniu znaleźli nas przy tamtym kościółku w polu. Od razu pogrozili z zadowoleniem paluszkami. Zatrzymali budowę. A żeby było śmieszniej ci ludzie w ogóle się na budowie nie znali. I jak przyjechali, nie bardzo wiedzieli, czego się uczyć. Nie mogli się doczepić do rusztowania, bo pozwolenie od wydziału budowlanego trzeba było uzyskać tylko na postawienie rusztowania wyższego niż dziewięć metrów. A to było niższe. Próbowali za to stwierdzić, że rusztowanie jest nieprawidłowo ustawione. Coś tam w końcu sobie wymyślili. Budowę wstrzymano. Murarz się wystraszył dalej pracować. Musieliśmy wstrzymać prace. To był pierwszy taki sygnał, po którym wiedziałem, że mam na pieńku z władzą.

Wcześniejsze doświadczenia księdza Dyllusa, wyświęconego w 1957 roku, polegały głównie na zabronieniu mu nauki w szkole. Teraz, w połowie lat sześćdziesiątych, przyszło mu borykać się ze znacznie bardziej karkołomnymi problemami. Gdy władza likwidowała możliwość nauczania religii w szkole, księża nie mieli realnych możliwości przeciwstawienia się temu procederowi. Gdy chodziło chociażby o budownictwo kościelne, kwestia przybierała charakter bardziej złożony. Alternatywa nielegalnej budowy pojawiała się zawsze. Trzeba było wybierać.

Tłok w salkach

Ksiądz prałat Konrad Kołodziej ma również wiele do powiedzenia o swoich potyczkach z władzą, u źródeł których leżały kwestie budowlane:

Pierwsze takie dosyć poważne moje spięcie z władzą, z władzą miejską, czyli prezydentem, miało miejsce, kiedy w 1977 roku przyszedłem tutaj do Gliwic jako proboszcz. Moja parafia miała wówczas około trzydziestu tysięcy wiernych, włączając w to osiedle Sikornik i część Trynku. Była to olbrzymia ilość. Lekcje religii odbywały się już w tym czasie tylko w salkach przy kościele. Z natury rzeczy było nam bardzo ciasno. Dlatego pierwszym moim zadaniem jako nowego proboszcza było rozwiązanie tego problemu. Gdzieś te tłumy dzieci trzeba było nauczać. Chciałem więc rozbudować budynki probostwa, żeby wygospodarować kilka metrów kwadratowych więcej na naukę religii. Co warto dodać, w tym czasie co roku do Komunii Świętej przystępowało czterysta-pięćset dzieci. Oczywiście zajęcia odbywały się popołudniu, więc frekwencja nie była może stuprocentowa, ale i tak na jednej grupie było czasem po sześćdziesiąt-siedemdziesiąt dzieci. Były to więc warunki bardzo utrudnione. Ale co można było zrobić? Nie było innych możliwości. To obrazuje skalę problemu.

Imponuje mi spokój, z jakim dzisiaj ksiądz prałat mówi o tych problemach. Pięćset drugoklasistów przystępujących każdego roku do Pierwszej Komunii Świętej, pięć setek dzieci, dla których trzeba zorganizować zajęcia przygotowawcze. To liczba budząca podziw i grozę, jak się z tym uporać?

Zdecydowałem się wówczas na rozbudowę istniejącej Kaplicy Świętej Rodziny⁶. Oczywiście wszelkie zezwolenia na budowy kościelne były niemożliwe do osiągnięcia. To pozostawało ciągle w sferze marzeń. Ale mus to mus. Poszerzyłem tę kaplicę na własną rękę,

⁶ Obecnie Kaplica Świętej Rodziny już nie istnieje, a na jej miejscu wzniesione zostało Centrum Edukacyjne im. Jana Pawła II.

oczywiście po konsultacji z inżynierami. To powiększenie kaplicy, rzecz jasna, odbyło się ostatecznie bez zgody władz miejskich i wydziału budownictwa. I gdy już właściwie byliśmy przy końcu budowy tej przybudówki – zamykaliśmy dach, ktoś musiał donieść czy po prostu w jakiś inny sposób miasto się o wszystkim dowiedziało. Zrobiła się od razu wielka draka. Prezydent wydał nakaz natychmiastowego przerwania prac, rozbiórki obiektu i polecił ewentualne postaranie się o legalne pozwolenie. Jak przyznaje ksiądz prałat, wszelkie takie twierdzenia były czystą ironią, bo Kościół nic żadnego takiego pozwolenia nie miał szans dostać. Ja tej decyzji nie mogłem przyjąć do wiadomości. Zlekceważyłem to ostrzeżenie i budowę kontynuowałem. Dostałem wezwanie do Urzędu Miejskiego. Rozpoczęły się lamenty: „Dlaczego? Dlaczego? My byśmy przecież pozwolenie dali”. Oczywiście wszyscy pracujący wówczas księża mieli świadomość, że były to tylko puste słowa, bo żadnego pozwolenia by nie było. Ale skończyło się wszystko szczęśliwie, mimo gróźb. Żadna z tych gróźb nie została w praktyce zrealizowana.

Oficjalnie miasto rozumowało w ten sposób, że zezwoliło nam na zaniechanie rozbiórki z powodu zaawansowania prac (przybudówka była skończona w 80-90%). Natomiast nakazało parafii przesłanie wszystkich planów, projektów budowy do Urzędu Miasta celem ich zatwierdzenia. Wszystkie te dokumenty wysłałem, ale na zatwierdzenie czekam do dzisiaj...

To jeden z wielu przypadków pustosłowania używanego przez władzę. Niezrealizowane groźby i zapewnienia – ale szczególnie chodzi tu o groźby – wpisały się na stałe do kanonu rządzenia. I w pewnym sensie to dobrze, że szumne zapowiedzi nie były realizowane.

Bój o kościół

Chyba w całej diecezji opolskiej nie było miejsca, gdzie kościół przydałby się bardziej niż na osiedlu Sikornik. Mieszkańcy dużego, jednego z najpiękniejszych zakątków Gliwic, przez długie lata pokonywali kilometry, by dotrzeć do najbliższego domu modlitwy, kościoła pod wezwaniem świętych apostołów Piotra i Pawła, obecnie katedry.

Do mojej parafii przychodzili na mszę ludzie z ogromnego, piętnastotysięcznego osiedla Sikornik. Osiedle to nie posiadało swojej świątyni. Już mój poprzednik na stanowisku proboszcza czynił usilne zabiegi, by uzyskać pozwolenie na budowę. Oczywiście bez rezultatu. Ja kontynuowałem te wysiłki. Co roku dostawaliśmy jednak odpowiedź negatywną. Zezwolenie wydano dopiero w 1979 roku, na fali entuzjazmu po wyborze polskiego papieża. Zostało to uroczystie ogłoszone podczas pielgrzymki mężczyzn do Piekar Śląskich. Ze wreszcie, wreszcie, po wielu trudach wojewoda śląski wydał tę zgodę. Natomiast to było jedynie zezwolenie. Następnie trzeba było zatwierdzić projekt i załatwić wszelkie formalności związane z faktycznym rozpoczęciem budowy. Budowa rozpoczęła się dopiero w 1981 roku. Przez cały czas jakieś kłody pod nogi były nam jednak rzucane. Sposób budowania był trochę inny niż dziś. Wiadomo, że były to czasy ustroju gospodarczego, gdy bardzo trudno było cokolwiek dostać. Bardzo wiele kłopotów mieliśmy ze sprowadzaniem materiałów budowlanych, bo na wszystko musieliśmy mieć zezwolenie. To był dopiero początek lat osiemdziesiątych, więc te wszystkie struktury charakterystyczne dla komunizmu jeszcze jak najbardziej działały i miały się dobrze. Więc zdobywanie materiałów na budowę kościoła było bardzo utrudnione. A więc i sama budowa trwała stosunkowo długo, ale i obiekt nie należy do małych.

- Jak bardzo trudna była praca duszpasterska wśród takiej rzeszy wiernych?

W niedzielę co godzinę odbywało się nabożeństwo. Od szóstej do dwunastej co godzinę plus dwie msze wieczorem. Żeby rozładować jakoś ten tłum parafian. Kościół za każdym razem był pełny. Dziesięć minut trzeba było zostawić, żeby dać ludziom wyjść po mszy i umożliwić wejście kolejnym, więc de facto na przeprowadzenie mszy pozostawało pięćdziesiąt minut. To niedużo.

- Czy władze siły się na jakieś uzasadnienia przy wydawaniu odpowiedzi odmownych?

Przychodziły pisemne odpowiedzi w stylu: „Nie ma potrzeby”, „Brak zgody”. Specjalnych tłumaczeń nie było.

Ksiądz infułat wolnomularzem

Księdzu infułatowi Pawłowi Pyrchale również nie obce były problemy budowlane. Jego aktywność na tym polu była tak wielka, że często żartował ze znajomymi, iż realizuje zadania wolnomularskie. Budowlanka księdza Pyrchale to przede wszystkim „taktyka małych kroczków”. Stosował dla niepoznaki technikę dyskretnego poszerzania i uzupełniania istniejących salek parafialnych poprzez dobudowywanie kolejnych kapliczek, bocznej nawy, chóru, prezbiterium. Budynek rozrósł się w efekcie do takich rozmiarów, że później stanowił już kościół. *Cieszyliśmy się każdym sukcesem, zawsze, gdy coś się udało zrobić, coś dobudować* – mówi ksiądz. Tak właśnie było z kościołem Ducha Świętego w Zabrze.



Fotografia 4.

Gdyby nie podpis przy fotografii po lewej, trudno byłoby się domyślić, że przedstawione na niej budynki to... kościół. Z braku pozwoleń na remonty, wychodzenie z ruin trwało latami.

A więc tak sobie radziliśmy. Gdy już pracowałem w parafii świętego Józefa, to w po 1976 roku budowano w Zabrzu jakąś nową drogę i rozbierano starą. Była to droga z Zabrze do Biskupic. Ogłoszono wtedy, że osoby prywatne mogą składać wnioski o otrzymanie kostki brukowej, która pochodziła ze starej drogi i nikomu już nie była potrzebna. I ja wtedy, ksiądz, zgłosiłem się po tę kostkę jako osoba prywatna. Nikt się chyba nie zorientował. Dostałem więcej materiału niż przypuszczałem, tak, że mogłem wybudować dookoła świątyni szerokie alejki.

Ilość pozwoleń na budowę nowych świątyń w poszczególnych diecezjach była reglamentowana. My należeliśmy do diecezji opolskiej i jeżeli było jakieś zezwolenie na budowę kościoła, dajmy na to, w Kędzierzynie, to nie mogło być ujęte Zabrze. Jeżeli ruszyła budowa w Gliwicach, to odpadł Kluczbork i tak dalej.

Jeżeli zaś dla diecezji katowickiej był na przykład Knurów, to musieli poczekać wodzisławianie i inni. To wszystko było uzależnione od przychylności sekretarzy partyjnych. A jeżeli zaistniała jakaś zawierucha polityczna, czy na przykład miała miejsce jakaś manifestacja mężczyzn skandujących na pielgrzymce w Piekarach Śląskich hasło: „my chcemy kościołów”, wtedy zawsze z obawy przed rozruchami, czy z laski coś kapnęło.

W takiej atmosferze dojrzywała także sprawa budowy kościoła na osiedlu Janek. Najpierw mówiono o braku miejsca na kościół i to było wytłumaczenie. Potem miejsce się znalazło, ale było dla nas niezadowolające. Oni proponowali mi w środku Janka miejsce i fundamenty po dawnym niedokończonym przedszkolu, następnie parcelę za ulicą Cisową, w końcu miejsce w trójkącie między ulicą 3 Maja i Makoszowską, naprzeciw miejsca, gdzie dziś stoi stacja benzynowa. Jednak te wszystkie proponowane nam lokalizacje nie mogły nas zadowalać, gdyż byłyby tylko jakimś uzupełnieniem istniejącego kościoła świętego Antoniego, a przecież chodziło o zupełnie nową parafię, nowy kościół dla mieszkańców obydwu osiedli – Janek i Dzierżona – i o ich scalenie!

Kościół zamiast kawiarenki

Zabrzańskie osiedla: Janek i Dzierżona, powstały w latach siedemdziesiątych. Ich liczebność rosła bardzo szybko, tak, że wybudowanie nowego kościoła stało się koniecznością. Proponowane początkowo przez władze lokalizacje były, co już wspomniano, nie do zaakceptowania, co przedłużało sprawę. Ale w końcu znalazło się wyjście! *Naprzeciw boiska, na skraju lasu zaczęto kiedyś budować kolejkę dla dzieci, a dla młodzieży, członków Związku Młodzieży Socjalistycznej, kawiarenkę, która powstawała na gruzach niewykończonej sztolni górniczej. Plany były imponujące, ale dzieło zostało zrealizowane tylko w niewielkim procencie, a potem w ogóle porzucono ten pomysł. Wtedy sprytnie wystąpiłem z modną w tamtych czasach inicjatywą czynu społecznego, aby ratować niszczące dobro społeczne. Zaoferowałem, że „zaopiekuję” się tym obiektem, aby to mienie społeczne nie niszczało. Po rozmowie z dyrekcją kopalni „Makoszowy” usłyszałem pocieszające słowa: „nie chcemy nic wiedzieć, ale dowiedziawszy się, na pewno nie będziemy przeszkadzać”. Poniekąd typowe w tym czasie stanowisko władz wobec Kościoła. Architekt miejski zgodził się dać mi zaświadczenie, że na to miejsce mogę zwozić materiał budowlany. I zaczęło się wszystko w 1982 roku, w Wigilię. Rano. Wtedy dotarł pierwszy transport. Był to piasek oraz żwir. Od tego zaczęliśmy.*

Potem sprawy potoczyły się szybko. Okazało się nawet, że aż za szybko, jak dla władzy. Rozwój sytuacji zupełnie ich zaskoczył. Wszyscy wokół spodziewali się tylko remontu ZMS-owskiej kawiarenki, a tu, ku zadowoleniu kilkunastu tysięcy mieszkańców dwóch zabrzańskich osiedli, na ich oczach powstawała upragniona kaplica. Wobec powszechnej euforii, władze musiały zmienić swoją politykę, swoje nastawienie. Niebawem zlikwidowały tory kolejki wąskotorowej, które uniemożliwiłyby rozpoczęcie budowy. Księża mogli już odprawiać msze w niedziele i święta. Potem postawiono przed kaplicą figurę Najświętszej Maryi Panny. W latach 1984-1987 trwały dalsze prace przy adaptacji górniczej sztolni na kaplicę. Przygotowano też dwie salki katechetyczne i zaplecze gospodarcze. Parafia usamodzielniała się 17 sierpnia 1987 roku.

Budujemy dom katechetyczny

W latach 1984-1985 ksiądz Paweł Pyrchała zbudował przy swojej parafii duży, obszerny dom katechetyczny. Legalnie. Pozwolenie udało się wyprosić. System był skostniały. W latach osiemdziesiątych dom katechetyczny wzniesiono także przy parafii Chrystusa Króla w Gliwicach. Wiąże się z tym dość osobliwa historia, którą przytoczył mi ksiądz Józef Dyllus. Ukazuje ona w wymowny sposób zmęczenie i zagubienie ówczesnej władzy, złagodzenie działań antykościelnych.

Naturalnie, te remonty, które były niezbędne, robiło się na bieżąco nawet bez zezwolenia. Ale na coś większego nie było szans. Tym bardziej, że zezwolenie chcieli na wszystko, a już w szczególności na wystawienie rusztowania. W latach osiemdziesiątych było już jednak lepiej. Zaczęli czasami dawać pozwolenia i wtedy wybudowałem dom katechetyczny. To był początek lat osiemdziesiątych. Niektórzy mi radzili, żeby się jeszcze wstrzymać, bo co z tego, że mam pozwolenie, jeśli napotkam kłopoty z dostaniem przydziału na materiały budowlane?

Ciekawie było z materiałami. Było kilka cegielni prywatnych, jedna koło Rybnika, tam zamówiliśmy część cegieł. Ale cegłę klinkierową brało się z państwowych, na przykład z Bolesławca, i to był kłopot. Raz, że daleko, dwa, że to, co oni zgodzili się dać to kropla w morzu potrzeb. Ja potrzebowałem trzydzieści tysięcy cegieł, oni z reguły wydawali po tysiąc. W końcu zdarzyło się tak, że była do kupienia jakaś cegła gorszego gatunku, to znaczy o tyle gorszego, że miała ona niejednolity kolor. Jej nikt nie chciał. Ale to mi nie przeszkadzało. Taka mozaika ładnie wygląda. Zgodziłem się na tę partię, bo inne ciężko było dostać. Wiadomo, że oprócz parafii na materiały czekały instytucje państwowe i inne mające powstać obiekty. Mogliśmy czekać w nieskończoność. Najśmieszniejsze było jednak to, że za namową kolegów, którzy znali się na tym i mieli doświadczenie, ksiądz Dyllus zamówił w cegielni dziewięćdziesiąt tysięcy cegieł zamiast trzydziestu. Oni mi naopowiadali: „słuchaj, jak potrzebujesz trzydziestu, to złóż zamówienie na dziewięćdziesiąt, bo nie dadzą ci nigdy tyle, ile byś chciał”. A tu w którąś niedzielę dostaję informację: „proszę księdza, na stacji stoją wagony z cegłą do odebrania. Dziewięćdziesiąt tysięcy sztuk.” Zaniemówilem. Dali dziewięćdziesiąt tysięcy. I co ja teraz z tym zrobię? Pomyślałem, że oddam część na Sikornik, tam się budowała parafia. Sprawa wyglądała tak, że do dwóch tygodni trzeba było zapłacić za ten transport. Ale na szczęście uporałem się ze wszystkim. Rozprowadziłem tę cegłę u innych proboszczów. Tak więc władza

już była łaskawa. Któż o zdrowych zmysłach mógł wówczas marzyć o dziewięćdziesięciu tysiącach cegieł na cel budowy domu katechetycznego?!

W 1988 roku system był już na tyle zmęczony walką z religią, że pozwolenia na budowę posypały się masowo. Jeżeli nie na kościoły, to chociaż na wspomniane domy katechetyczne. Zabiegi nowego proboszcza w Sośnicy, księdza Brunona Plocha także przyniosły szybki efekt. Jakby zazdroszcząc księdzu Pyrchale, w 1988 rozpoczęto budowę.

Starania o dom katechetyczny na pewno były już czynione wcześniej. Ale dopiero ksiądz proboszcz Ploch rozruszał tę sprawę. Ksiądz Jonienc był już w podeszłym wieku, nie miał tyle sił, by się w to zaangażować – twierdzi Bernard Dybek.



Fotografia 5. Pomocnicy murarzy, Bernard Dybek i Jan Zub pracują bez wytchnienia. To chyba pierwsza legalna budowa, w jakiej dane im było brać udział w czasach PRL.

Konflikt

Przy braku rzeczywistej dobrej woli ze strony władz państwowych i partyjnych w stosunkach z Kościołem, trudno o inny scenariusz, jak rodzenie się i narastanie coraz to nowych konfliktów na linii państwo-Kościół, przy czym Kościół, co zrozumiałe, przejawiał ambicję bycia instytucją niezależną.

Z księdzem infułatem Pawłem Pyrchałą spotykałem się kilka razy. Do niedawna proboszcz zabrzańskiej parafii pod wezwaniem świętego Józefa, teraz, ze względu na podeszły już wiek, tylko jeden z księży. Z księdzem Pyrchałą nigdy wcześniej nie miałem przyjemności rozmawiać. Należał jednak do najstarszych duchownych w regionie. Sądziłem, że z racji wieku i doświadczenia będzie mógł mi sporo powiedzieć. Nie przypuszczałem, że aż tyle.

Opowieści z innej epoki

Przy pierwszym naszym spotkaniu ksiądz infułat potraktował mnie bardzo życzliwie, aczkolwiek protekcyjnie. Obarczył mnie dość sporą dawką literatury na temat Kościoła w PRL, podsunął kilka tekstów ze swojej prywatnej biblioteki i... wyszedł zostawiając mnie z nimi sam na sam. Zachowanie na wskroś nietypowe. Z drugiej strony, trudno się dziwić takiemu podejściu, zważywszy, jakie wspomnienia ma ksiądz Pyrchała. W naszych rozmowach ksiądz infułat często machinalnie powtarzał sformułowania: *ty tego nie rozumiesz, tudzież ty tego nie możesz wiedzieć*. Bo nasze pokolenie rzeczywiście żyje w innej epoce.

Czy ty zdajesz sobie sprawę, że generał Wojciech Jaruzelski kończył liceum Marianów w Warszawie na Bielanach i w młodości pisał prace o teologii? Że Bolesław Bierut, tak długo, jak długo mu to było potrzebne, brał udział w procesjach Bożego Ciała? Że rodzona siostra największego prześladowcy ziem śląskich, generała Aleksandra Zawadzkiego, była zakonnicą w Zgromadzeniu Sióstr Szkolnych de Notre Dame w Opolu i do końca życia modliła się tam o nawrócenie brata? To były czasy przesyczone fałszem. To wszystko było oparte na fałszu i kłamstwie – mówił ksiądz infułat. – Ludzie kłamali. Za słowami księdza idą przytaczane przez niego przykłady. Mówi o spotkaniu absolwentów swojego liceum, w którąś z okrągłych rocznic matury. Ja miałem w swojej klasie i późniejszego sekretarza partii, i wiceministra spraw wewnętrznych i komendanta milicji. Miałem ich w klasie w moim liceum w Wodzisławiu Śląskim. I zawsze, gdy na tych spotkaniach ja wysuwałem propozycje, że może byśmy się wspólnie pomodlili, może byśmy poszli na mszę, to oni odpowiadali: „słuchaj, nie myśl o mnie źle, naprawdę, ja myślę tak samo jak ty, ale...” No właśnie. Wtedy zawsze padało jakieś „ale”.

⁷ Problem siostry generała Zawadzkiego do końca objaśnił mi w późniejszym czasie ksiądz Józef Dyllus. Dzięki siostrze generał Zawadzki nawrócił się jeszcze tuż przed śmiercią. W przebraniu lekarza przedostał się do jego pokoju ksiądz. Jakimś cudem się przedarł przez tę całą obstawę. Zawadzki zdążył się więc jeszcze wypowiadać. Siostra jego bardzo cierpiała. Właściwie ofiarowała za niego, w jego intencji swoje życie – mówił mój interlokutor.

Kłamstwo. Kłamstwo było narzędziem panowania nad człowiekiem — twierdzi ksiądz. — Popatrz na mój przykład. Ja na ustnej maturze z języka polskiego byłem pytany przez komisję o zasługi, jakie położył Józef Stalin w dziedzinie językoznawstwa.

- I co ksiądz dostał?

Piątkę. W ogóle z marksizmu-leninizmu miałem zawsze bardzo dobry.

Życie księdza Pyrchały związane jest z Zabrzem poczynając od 1963 roku, kiedy to po sześciu latach posługi wikariusza w parafii świętej Barbary w Bytomiu został mianowany przez biskupa proboszczem w zabrzańskim dzielnicy Na Piasku. Objął tam parafię pod wezwaniem Ducha Świętego, zastępując zmarłego księdza prałata Antoniego Tomeczka. Tam świeżo upieczony ksiądz proboszcz, nie zatwierdzony jednak przez władze, poznał ludzi różnych, często bardzo zranionych i zawiedzionych życiem, rozczarowanych komunizmem i skrzywdzonych. Ludzi, dla których ciągle żywe były wydarzenia 1945 roku, kiedy to w odwecie za zranienie jednego z oficerów czerwonoarmieści spalili ich dom modlitwy, kościół Ducha Świętego wraz z probostwem.

Walka o inwestyturę

Mimo sprzeciwu biskupów, 9 lutego 1953 roku Rada Państwa wydała dekret o obsadzaniu duchownych stanowisk kościelnych (Dz.U. Nr 10, poz. 32). Odtąd rząd każdorazowo wyrażał zgodę na mianowanie biskupa, a prezydium Wojewódzkiej Rady Narodowej zatwierdzało proboszczów, wikariuszy parafialnych, kapelanów. Ponadto mgliste sformułowanie o „uprawianiu (...) działalności sprzecznej z prawem i porządkiem publicznym bądź popieranie lub osłanianie takiej działalności” mogło być pretekstem do odwołania duchownego z pełnionego stanowiska. Teoretycznie, dekret został uchylony z końcem 1956 roku, kiedy to ogłoszono, że nominacje kościelne będą „uzgadniane” między Kościołem i państwem.

Dekret z 9 lutego 1953 roku mówił wyraźnie, że każdą nominację na stanowisko kościelne musi zatwierdzić właściwy organ władzy. W praktyce biskupi mieli często związane ręce.

WOJEWÓDZKIEJ RADY NARODOWEJ
w Stalinogrodzie
Wydział do Spraw Wyznań
Nr. Wz-18/17/55

Ordynariat
Śląsko Opolskiego
Ordynariat Śląsko Opolskiego
w O p o l u L. G. XII - 48/55
s.l.s.

Prezydium Wojewódzkiej Rady Narodowej w Stalinogrodzie
zawiadamia, że 2.X.1954 r. przybył do parafii najśw. M. Panny
w Gliwicach - Sośnicy ks. Trafas Bronisław bez uzgodnienia z tut.
prezydium.

Powyższe nie jest zgodne z dekretem z dnia 9.II.1953 r.
o obsadzaniu duchownych stanowisk kościelnych, Dz.U.R.P. Nr. 10, poz.
w związku z czym prosimy o odwołanie ks. Trafasa Bronisława z para-
najśw. M. Panny w Gliwicach - sośnicy.-

Dokument 3.

Ksiądz
Bronisław
Trafas nie miał
innego wyjścia,
musiał zostać
usunięty. Co
widać z
przedstawio-
nego obok
dokumentu,
władze nie
tolerowały
zakonników
pełniących
funkcję
wikariuszy.
Każdy pretekst
był dobry, by
zamieszać w
życiu Kościoła.

Oczywiście władze były najbardziej uprzedzone do tych duchownych, którzy w największym stopniu, za sprawą swej charyzmy, zdolności i siły wiary, umacniali w

społeczeństwie katolickiego ducha. Był to problem zasadniczy, gdyż zdarzało się, że najbardziej wybitni księża znajdowali się poza nawiasem, nie mogąc uzyskać przydziału na żadnej parafii. Przykładem takiego właśnie księdza jest profesor doktor habilitowany Wacław Schenk. Gdy przedstawiłem panu Józefowi Bonczolowi temat pisanej przeze mnie pracy, osoba księdza profesora Schenka, który przez długie lata nie mógł się doczekać zatwierdzenia siebie na stanowisku proboszcza w jakiegokolwiek parafii, wspomniana była w pierwszej kolejności, z dużym patosem i szacunkiem. Władze dyskryminowały też ojców zakonnych, czego przykładem jest powyższy dokument, żądający odwołania z parafii ojca Bronisława Trafasa.

Nie chcecie, to nie

24 sierpnia 1963 roku ksiądz Józef Dyllus objął parafię pod wezwaniem świętych Piotra i Pawła w Sidzinie w powiecie nyskim. Nie zyskał jednak zaufania w oczach władz i nie został zatwierdzony na urzędzie proboszcza, choć teoretycznie... mógł to zatwierdzenie uzyskać. Pozostał jednak niewzruszony na propozycję załatwienia tej sprawy „pod stołem”.

Władzom niższego szczebla chyba zależało, żebym został zatwierdzony. Ich przedstawiciel po prostu przychodził do mnie i proponował mi jakąś ugodę. Mówił, że ja mam tu duży wpływ na ludzi, że podobno parafianie mnie polubili, zaakceptowali. Chcieli mi ułatwić uprawomocnienie tej nominacji biskupiej. Wtedy się pojawił też pan Góralczyk i on mówił w tym samym duchu. Ja mu mówię, proszę pana, ja przecież dostałem odpowiedź z Warszawy. Sprawa jest na drodze urzędowej definitywnie załatwiona. Pan chce zmieniać decyzję Warszawy? Ja poza legalną drogą niczego nie załatwiam! No i dał mi spokój.

Potem przyszedł jeszcze przedstawiciel PAX-u. Oni także oferowali pomoc. Że by mnie zatwierdzili, że wstawiliby się i tak dalej. Gdybym chciał, gdyby mi zależało, oni by pomogli. Ale to były sidła. Ja odpowiedziałem, że nie akceptuję absolutnie żadnego pośrednictwa. Nie ta droga. W końcu powiedziałem im, że idę na zakonnika i też dali mi spokój. Ksiądz Dyllus wołał poczekać na czasy, kiedy nie będzie musiał uciekać się do żadnych podejrzanych działań.

Batalia o probostwo

Już na samym początku swojego pobytu w Zabrzcu, księdzu Pyrchale przyszło zmierzyć się z masą problemów. Jednym z nich była kwestia formalnego objęcia funkcji proboszcza w przydzielonej mu parafii.

Od początku. W Wojewódzkiej Radzie Narodowej, bo do jej kompetencji należało zatwierdzanie każdego duchownego, nie zaaprobowano mojej nominacji na proboszcza. Odwołanie się biskupa od decyzji Wojewódzkiej Rady Narodowej do wyższej instancji, do Ministerstwa do spraw Wyznań w Warszawie, nie odniosło skutku. Negatywna decyzja Wojewódzkiej Rady Narodowej została podtrzymana, a uzasadnienie brzmiało: „bo nie daje gwarancji przestrzegania praw PRL” i „decyzji powyższej nie uzasadnia się ze względu na porządek publiczny”. W tej parafii wikarym był mój kolega z seminarium, mój najlepszy kursowy kolega, ksiądz Marian Żagan, obecnie infułat. Ja mu asystowałem na prymicach, on mnie. I ja dostałem się do tej parafii na proboszcza. Tymczasem, zanim tam przybyłem, mieszkanie po zmarłym poprzednim proboszczu zajął... lekarz.

- Jak to... lekarz?

Bo plebania to był państwowy dom. Na Ziemiach Odzyskanych mienie kościelne zostało upaństwowione. Lekarz otrzymał tam mieszkanie i tam przyjmował. Lekarz, pan doktor Joneczko, miał klucz od plebanii. Teraz popatrz na absurd tej sytuacji, ja jestem proboszczem – lekarz ma klucze od plebanii i mieszka w moim pokoju. Tak w ogóle, to w 17 czerwca 1959 roku nasze budynki plebanijne, a także ogród przy plebanii przeszły pod administrację Miejskiego Zakładu Budynków Mieszkalnych. A co do lekarza, on się potem wycofał, wyprowadził stamtąd. Biskup zagroził mu ekskomuniką.

- Jak sobie ksiądz radził przez te wszystkie lata w obliczu faktu, że nie został ksiądz zatwierdzony na stanowisku proboszcza?

Piszę do władz państwowych o zatwierdzenie mnie. Władze państwowe: nie. Ksiądz Żagan mówi do mnie: „Paweł, ty tu wytrzymasz najwyżej pół roku i cię wykończą”. Co zrobić?

Wysłaliśmy zapytanie do biskupa. A biskup mówi: „spokojnie, robić swoje, przeczekać, zobaczymy, co z tego wyjdzie”.

**PREZYDIUM
WOJEWÓDZKIEJ RADY NARODOWEJ
w Katowicach
Wydział do Spraw Wyznań
Nr Ws. 4/6/ks/66**

Katowice, dnia 15 listopada 1966 r.

Kuria Biskupia

w O p o l u
ul. Księżąt Opelskich

D E C Y Z J A

Na podstawie art. 5 ust. 1 dekretu z dnia 31 grudnia 1956 r. o organizowaniu i obsadzaniu stanowisk kościelnych /Dz.U. Nr 1 poz. 6 z 1957 r./ Prezydium Wojewódzkiej Rady Narodowej Wydział do Spraw Wyznań w Katowicach po rozpatrzeniu pisma Kurii Biskupiej w Opolu z dnia 19.X.1966 r. Nr PPL XXVIII-13/66 zgłasza zastrzeżenia przeciw mianowaniu Ks. Pawła Pyrchala na stanowisko administratora parafii św. Ducha w Zabrze.

U Z A S A D N I E N I E

Ks. Paweł Pyrchala nie daje władzom państwowym gwarancji przestrzegania przepisów państwowych w sprawie obowiązku prowadzenia ksiąg inwentarza, przewidzianego w rozporządzeniu Ministra Finansów z dnia 21 lutego 1962 r. W związku z tym nie jest on odpowiednim kandydatem na stanowisko administratora parafii.

Od decyzji niniejszej służy Kurii odwołanie do Urzędu do Spraw Wyznań za pośrednictwem Prezydium Wojewódzkiej Rady Narodowej w Katowicach w ciągu czternastu dni od dnia jej doręczenia.

Do wiadomości:

- 1/ Ks. Paweł Pyrchala
parafia p.w. św. Ducha w Zabrze
- 2/ Urząd do Spraw Wyznań Warszawa
- 3/ Przewodniczący Prezydium
Miejskiej Rady Narodowej
w Zabrze
- 4/ a/a

2-za kierownika
Wydziału do Spraw Wyznań
Sikora Czesław

Dokument 4.

Ksiądz Paweł Pyrchala „nie daje [...] gwarancji przestrzegania przepisów państwowych”. Pierwsza próba zatwierdzenia biskupiej nominacji na proboszcza spełza na niczym. Kolejne podejścia kończyły się tym samym.

I teraz przychodzą pisma do parafii, do księdza proboszcza. Chodzi o różne urzędowe pisma, wiadomo, jak to jest. Ksiądz proboszcz ma dać sprawozdanie, ksiądz proboszcz to, ksiądz proboszcz tamto. A ja na te pisma: „nie ma proboszcza”. Przecież kto tu jest proboszczem? Bawimy się w ciuciubabkę.

Ksiądz Pyrchala ma głowę nie od parady. W rozmowach z władzami raz po raz zaginał funkcjonariuszy państwowych.

Zaraz po księdzu Tomeczku był proboszczem bardzo krótko ksiądz Adam Polechoński. On został szybko odesłany do Brynicy koło Opola. Ale jego władze wcześniej zatwierdziły, on nie miał takich kłopotów, jak ja. I co ja robię? Jak byli natrętni z tym proboszczem, to im mówię, że proboszcz parafii Ducha Świętego w Zabrze mieszka w Brynicy koło Opola. I tam do Brynicy idzie pismo. Są zawirowania. I po kilku miesiącach pismo przychodzi z powrotem do mnie ze stwierdzeniem, że ksiądz Polechoński już dawno nie jest tu proboszczem. Jakbym nie wiedział – śmieje się ksiądz infulat.

Ja wydałem na plebanii zakaz przyjmowania korespondencji zaadresowanej do proboszcza. Bo tu nie ma proboszcza. I co? Przychodzi list polecony na adres Rzymsko-katolickiej parafii Ducha Świętego. Potwierdzić. A w środku – moje nazwisko. I kara.

Tymczasem, z księdzem Żaganem uzgodniliśmy między sobą, że wszystkie dokumenty w korespondencji z władzami podpisujemy wspólnie jako wikariusze, najpierw on, a pod nim ja. Okazało się jednak, że wszelkie żądania, ostrzeżenia i kary przychodziły dziwnym trafem tylko na mój adres.

Cudowne rozmnożenie podatków

Ksiądz Brunon Ploch tymczasem przytacza mi zawiłą historię dotyczącą podatków, jakimi obłożono Kościół Katolicki.

Poza tym, nasze rachunki... One były bez przerwy, doba na dobę, pod ścisłą kontrolą. My mogliśmy wykazać tylko ściśle określony dochód, który był adekwatny do naszych potrzeb. Jeżeli zbieraliśmy cokolwiek ponad ten limit, cokolwiek! Musieliśmy płacić 60 procent podatku! Lub gdy wydaliśmy na coś, co zdaniem władzy było nam zbędne. Też 60 procent.. Parafia więc miała pozwolenie na posiadanie opału, świec, wina, czyli tego, co jest nieodzowne do funkcjonowania kościoła. Reszta – 60 procent podatku. Oczywiście wszystkie te dochody trzeba było wykazać przez pokwitowania. Myśmy to wszystko skrupulatnie zbierali. Ale gdy chcieliśmy przeprowadzić jakąś budowę, czy remont – bo remont był bardziej realny – musieliśmy od tej kwoty zapłacić 60 procent podatku. Podam pewien przykład. Teraz są inne przeliczniki, ale dajmy na to – na funkcjonowanie standardowe parafii trzeba było wydać jakieś 10 tysięcy złotych. A gdyby parafia zarobiła drugie 10 tysięcy, to de facto pozostawałoby mi z tego tylko 4 tysiące na wydatki dodatkowe.

Musieliśmy prowadzić księgi rachunkowe. Te księgi rachunkowe zostały wycofane dopiero po 1989 roku, wszystko jest teraz zryczałtowane. Kościół nie musi prowadzić ksiąg. Płaci podatek ryczałtowy. A wówczas cała rachunkowość polegała na fałszerstwach i jednym wielkim kłamstwie. I kiedy trzeba było jechać do urzędu złożyć sprawozdanie, to oni nas dokładnie pokierowali. Mówili: tu zróbcie to, tu tamto. I zanim się jechało do tego wydziału finansowego, to najpierw jechało się do urzędnika prywatnie. On, jeśli był Kościołowi życzliwy, to powiedział, w jaki sposób można coś pozmienić i potem się jechało z tymi rachunkami już oficjalnie do urzędu, do podbicia. Także to właśnie były te różne sposoby omijania tych sankcji, jakie państwo na nas nakładało. Z drugiej strony, muszę absolutnie powiedzieć, że takie machinacje były możliwe tylko i wyłącznie z tego powodu, że te osoby partyjne, które pracowały w tych urzędach nie były jakieś z przekonania związane z partią, na takich stanowiskach były osoby sprzyjające Kościołowi. Przecież każdy robotnik, gdy tylko zaczął pracować w jakimś zakładzie, zaraz zapisywał się do partii (jeżeli nie był jeszcze zapisany). Tylko, żeby otrzymać książeczkę partyjną, podnieść ilość członków. I takich ludzi była w partii większość. Z nimi dało się normalnie rozmawiać i dużo załatwić. Z tym nie było żadnych problemów. Ja w całym moim życiu kapłańskim, w całym, spotkałem jednego tylko milicjanta, który dlatego, że jestem księdzem, gdy się dowiedział, że jestem księdzem, to z tego powodu

chciał mi dać większy mandat. A tak, na ogół wszyscy, jak nawet zasłużyłem na mandat, to mówili: „a ksiądz, niech ksiądz jedzie”. I w taki sposób oni tę naszą posługę umieli docenić.

Wówczas przychodzą lata siedemdziesiąte... Zmiana na tych szczytach władzy. Po tym całym zamieszaniu Gierek przychodzi jako I sekretarz. Chce zyskać ludzi. I dlatego obiera znowu inny kurs. Daje trochę większą swobodę Kościołowi. Oddaje wówczas, oddaje wówczas Ziemię Odzyskaną, kościoły na Ziemiach Odzyskanych, tu na Zachodzie, oddaje na własność Kościoła. Bo to był powojenny paradoks. Bo wszystkie kościoły tu, na Ziemiach Zachodnich, począwszy od Szczecina aż dotąd były w zarządzaniu niemieckim. A kiedy przyszła wojna, wszystko stało się własnością skarbu państwa, a Kościół te obiekty miał wypożyczone. Na to nie zgodził się Episkopat, księża. Księża tak samo. Bo skoro te ziemie były zwane odzyskanymi, to były polskie, to ci ludzie tutaj, oni budowali te kościoły. Dlaczego teraz nagle to ma być państwowe. Sytuacja przedstawiała się zupełnie inaczej na terenach przed wojną polskich – to tylko na terenach odzyskanych mieliśmy tego rodzaju kwestie. I my żeśmy płacili wówczas, jak żeśmy wynajmowali, myśmy musieli płacić podwójny podatek. Jako właściciele i jako wynajemcy. I to również była jedna z form nacisków na Kościół. I tośmy z jednego kościoła płacili dwa podatki. I tutaj Episkopat powiedział: tylko i wyłącznie jeden [podatek] – jako, że jesteśmy właścicielami. Ale to ich nie satysfakcjonowało, oni twierdzili, że to jest skarbu państwa, że to jest ich i my to wynajmujemy. No, ale skoro przyjął taki tok rozumowania i skoro wynajmujemy, dlaczego płacimy podatek od własności? Ale to była właśnie jedna z form nacisku, żeby księża, którzy zarządzali, którzy administrowali danymi parafiami, żeby oni po prostu z nimi, z gminą, z tą milicją, konkretnie z komisariatem, podpisali umowy!

Gminom zależało na tym, żeby taką umowę podpisać. Wtedy płacilibyśmy tylko symboliczną złotówkę. Biskupi byli przeciwni temu, by podpisywać tę umowę, bo ona zawierała sprzeczności. Przecież skoro istniało na tych ziemiach państwo polskie, to nie była to żadna własność ponemiecka. Bo skoro państwo uważało, że te ziemie są już polskie, to i polskie są kościoły, i polska jest ludność, która te kościoły budowała. Tak słusznie uważał Episkopat. Chcieli po prostu rozdzielić księży od biskupów, chcieli nas poróżnić. Bo gdybyśmy podpisali tę umowę, oni by zanieśli ją do Episkopatu i powiedzieli: „Proszę, przecież księża podpisali, o co chodzi?” I trzeba powiedzieć, że ta forma nacisku działała. W powiecie krapkowickim tylko cztery parafie wybroniły się przed podpisaniem tej umowy. Ciężko było stawiać opór, bo władza wręcz molestowała duchownych. Później te cztery parafie były bardzo prześladowane przez komorników, a reszta płaciła tę symboliczną złotówkę na rok, czy na miesiąc, bo to była nagroda od państwa za sygnowanie tego pisma. Podsumowując, sprawa była prosta: jeżeli władza uważa, że ziemie są polskie, to dlaczego, gdy chodzi o Kościół, uznaje, że jest to ponemieckie? Więc inny stosunek do spraw prywatnych, a inny do kościelnych. Bo skoro Niemcy wyjechali stąd przed nadejściem frontu, bądź zostali wysiedleni po wojnie, bądź w jeszcze jakichś innych okolicznościach przedostali się z tych terenów do Niemiec, to znaczy, że z tego majątku zrezygnowali. A państwo zdawało się uważać, że wcale nie. Dlatego my w Kamieniu [Śląskim] płaciliśmy taki podwójny podatek. A gdy się go nie płaciło, po prostu przychodził komornik i zabierał, co się dało. Z tego czasu, niemal wszystkie parafie w powiecie krapkowickim, w którym urzędowałem, były zajmowane, rozkradane przez komornika. Zostawiali księżom tylko łóżko, stół, krzesło. Cała reszta była zabierana, konfiskowana. Tak było w większości parafii.

Jak poinformował mnie później ksiądz Paweł Pyrchała, podwójny podatek został zniesiony dopiero w 1972 roku.

Władza chce księgi inwentarzowej

Temat księgi inwentarzowej porusza bardzo szczegółowo także ksiądz Pyrchała:

Z tym się łączy sprawa księgi inwentarzowej i najmu. Byłem do sześćdziesiątego trzeciego roku wikarym w parafii świętej Barbary w Bytomiu. Następnie zostałem przez biskupa mianowany w Zabrze, w parafii Ducha Świętego. Zostałem mianowany proboszczem. Ale... nie zostałem zatwierdzony. W uzasadnieniu napisano, że Prezydium w Katowicach zgłasza zastrzeżenia. I praktycznie się nie uzasadnia. Odwołanie nie przyniosło rezultatu.

Mamy pretensje, ale nie powiemy. Nie dawałem władzy gwarancji przestrzegania takich a takich przepisów, w sprawie księgi inwentarzowej. O co im konkretnie chodzi, nie chcę

napisać. Mnie nie wolno założyć księgi inwentarzowej. Słucham uważnie, bo na razie jeszcze nie zdaję sobie sprawy, dlaczego tak się przed tym broniono. To jest tajemnica, ile parafia ma kielichów. Już nie mówiąc o ujawnianiu księgi małżeństw i tego typu dokumentów, do których władza pragnęła mieć wgląd. Bo potem byłoby: „aha, pan Kowalski tu zawarł ślub, a tam ochrzcił dziecko”. Nie, nie wolno. Ale ja byłem z tego powodu przestępcą. I miałem wyroki. Przestępcą, bo nie podałem, że Jan, syn milicjanta, chodzi na religię. Nie podałem, że przeznaczyłem sto złotych na cele charytatywne.

Dotknęliśmy więc sprawy ksiąg inwentarzowych. Otóż, każdy zarządca parafii był zobowiązany taką księgę prowadzić. Ile jest kielichów? Ile pieniędzy dostajemy z niedzielnej kolekty? Jak wysokie są nasze wydatki? Jaki jest nasz inwentarz? A z inwentarzem problemy mogły być olbrzymie. Przykładowo, Kościół nie mógł prowadzić działalności oświatowej. Jeżeli na przykład w księdze inwentarzowej, w rubryce zatytułowanej „sumy wydane na działalność oświatową” widniały jakieś sumy, bo kupiłem kredę (sic!), książki, mapę, to były problemy. Albo działalność charytatywna. Kościołowi nie wolno było prowadzić działalności charytatywnej. Caritas był już wcześniej nam zabrany i upaństwowiony. Jeżeli księga inwentarzowa pod koniec roku nie zgadzała się, była prowadzona nieprawidłowo, to wszystkie dochody parafii były karnie opodatkowane podatkiem 60%!

Przykład. Pewnego razu nasz ksiądz biskup opolski dał ofiarom wypadku w Opolu 15 tysięcy złotych zapomogi z kasy kurii. Tam pociąg najechał na samochód. Była potrzeba. Pod koniec roku to się zemściło. Założmy, że kuria miała 100 tysięcy dochodów. Za karę, z powodu tej pomocy charytatywnej, kurii chciano zabrać 60 tysięcy tytułem 60% podatku. I wszystkie kolekty z mszy też zostały opodatkowane. Za karę! A oficjalnie – za prowadzenie działalności pozastatutowej. A podatki trzeba było płacić, bo kto nie płacił – był wrogiem. Nie zachowywał „porządku publicznego”.

Albo inna sprawa. Chciałbym na przykład wspomóc biednego ucznia. Bo wiem, że jest biedny. I dam mu z kasy parafialnej parę złotych. Jeżeli to wyjdzie, bo jest to działalność charytatywna, zapłacimy ten krwiożerczy podatek z całości naszych dochodów. Cały dochód zostanie opodatkowany. Bo ja zrobiłem coś „grzesznego”. Użyłem pieniędzy na coś innego niż cele statutowe. A do celów statutowych należał kult religijnych. Mogłem kupić świeczki, hostię, mogłem zapłacić za prąd w kościele, za węgiel. Ale broń Boże, żebym kupił coś i nie miał na to kwitu. Nie mogłem kupić na przykład dziesięciu ton węgla na ogrzewanie parafii i nie mieć na to kwitu. Bo jeżeli chciałem kupić ten węgiel czy dwa worki cementu, to musiałem to zrobić przez legalny punkt, a nie od jakiegoś pośrednika czy kolegi, czy innego sprzedawcy, który mówił: „proszę księdza, ja księdzu dam i dziesięć worków cementu, ale nie mogę dać na to rachunku”. Można było się tłumaczyć inaczej. Na przykład, że obywatel taki a taki kupił dziesięć worków cementu, a ja od niego pożyczyłem. Biada mi więc, gdybym w tych rubrykach gdzieś się pomylił. A było to trudne, bo władza otwarcie nie mówiła, co wolno zaliczać do wydatków, a czego nie. Trzeba było się domyślić. Niektórzy księża o tym nie wiedzieli i upakowali się w poważne kłopoty. Bo wystarczyło, że ktoś dał temu przysłowiowemu chłopakowi dziesięć złotych. To były głupstwa.

Każdy ksiądz płaci podatek od ilości parafian. I oni sobie wymyślili, że ja jako proboszcz mam zapłacić 2400 złotych podatku, a wikarzy, na przykład kolega Zagan płaci 1800 złotych. Tego już było za wiele. Przeprali miarkę. Przecież ja nie jestem proboszczem!

Epopeja o punktach katechetycznych

Oczkiem w głowie księdza infułata Pawła Pyrchały jest sprawa edukacji religijnej. O utrudnieniach wprowadzonych w tym zakresie mógłby opowiadać godzinami, przez co przypomina, że obowiązki księdza to nie tylko duszpasterstwo, ale i nauka w szkole. Dopóki była możliwa...

Po przemianach październikowych, po raz kolejny zezwolono na naukę religii w szkole. Nas zatrudniono jako nauczycieli kontraktowych religii. Ja w roku pięćdziesiątym siódmym byłem wyświęcany i od razu zostałem zatwierdzony jako nauczyciel. Ale, zauważ, tylko nauczyciel kontraktowy. Czyli jestem zatrudniony tylko na jakiś określony czas i tę umowę o pracę trzeba każdorazowo, dość często, przedłużać. Bo kontrakty podpisywano ze mną raptem na parę miesięcy. Oczywiście, pół biedy, jeżeli władze chciały jeszcze tę umowę przedłużyć.

W myśl ustawy z dnia 15 lipca 1961 roku nauka religii możliwa było tylko i wyłącznie w przykościelnych punktach katechetycznych. W praktyce, już wcześniej usunięto ją za pomocą różnych metod z większości szkół państwowych.

Zabrze, 29.VII.64.

DO
Prezydium Miejskiej Rady Narodowej
Inspektorat Oświaty
w Zabrzu.

W odpowiedzi na pismo z dnia 26.VI.1964.r. Nr. O. II. 9b/7/64,
skierowane na mój adres jako rzekomego administratora parafii
Św. Ducha, wyjaśniam co następuje:

Jestem tylko wikarym, spełniającym obowiązki duszpasterskie na terenie
parafii Św. Ducha, a nie administruję parafią, gdyż byłoby to sprzeczne
z wyraźną decyzją Prezydium Wojewódzkiej Rady Narodowej w Katowicach
Wydział Do Spraw Wyznań, które — cytuję: "zgłasza zastrzeżenia przeciw
mianowaniu ks. Pawła Pyrchały na stanowisko administratora parafii
Ducha Św. w Zabrzu" / P. W. R. N. Katowice nrn Wz 4/P/4/63/1 decyzji
Urzędu Do Spraw Wyznań, który "utrzymuje zaskarżoną decyzję w mocy".
/Nr. II. - 1B/445/63./

Jak z powyższego wynika, jestem niekompetentny w sprawie poruszonej
przez tutejszy Inspektorat Oświaty.

Z należnym szacunkiem

X. Piotr Pyrchala
wikary parafii Św. Ducha w Zabrzu.

Dokument 5.

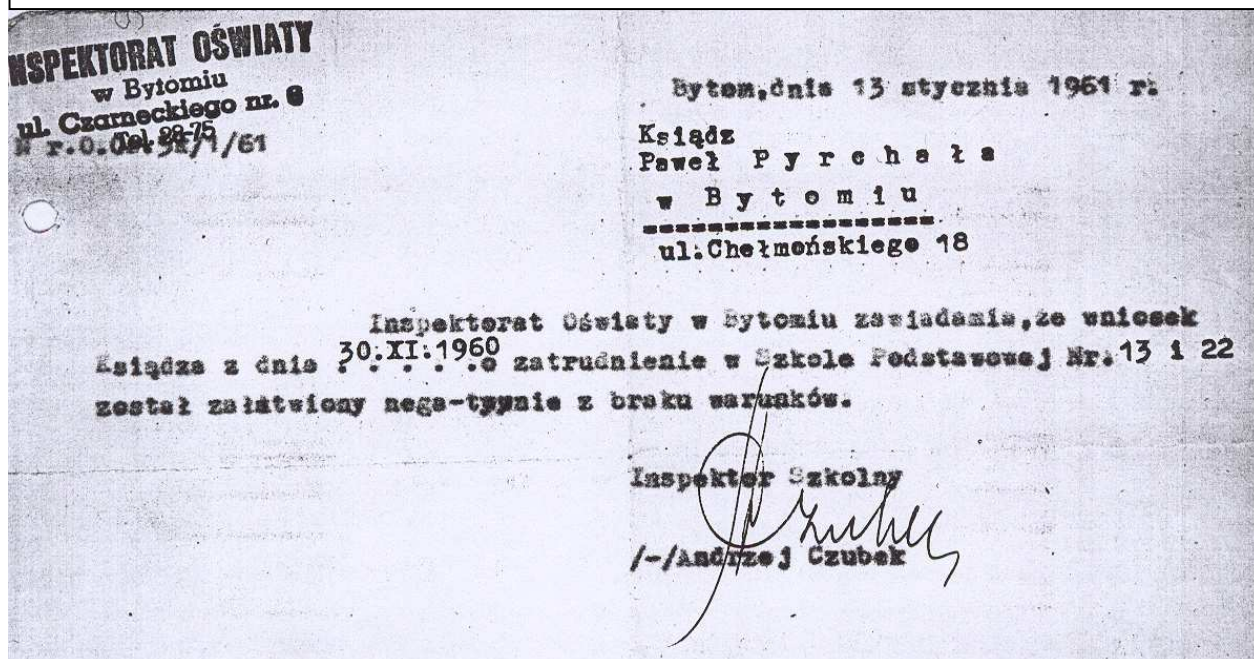
Na wszelkie pisma zaadresowane do proboszcza, ksiądz Paweł Pyrchała z uporem odpowiadał, że proboszcza nie ma, a on jest tylko wikarym. Z właściwym sobie humorem wprawiał w zakłopotanie miejskich urzędników.

Dlaczego władze nie przedłużyły kontraktu z księdzem Pyrchałą? Bo „nie dawał gwarancji nauczania według zasad światopoglądu naukowego”. No i co można poradzić? Uczę w szkole,

młodzież domaga się nauki religii, a mnie odmówiono przedłużenia umowy. I wtedy pojawiła się ustawa o punktach katechetycznych. W 1960 roku wyszło rozporządzenie o punktach katechetycznych, na podstawie którego pod koniec każdego roku kalendarzowego należało przekazać sprawozdanie do Wydziału Oświaty, podając dane zarówno uczniów, jak i osób uczących oraz miejsca gdzie odbywała się katecheza. To był rok sześćdziesiąty. Czyli, że nie możemy już uczyć w szkole, a jedynie w punktach katechetycznych. Postanowienie jest takie: państwo nie jest przeciwko nauczaniu religii. Jest za tym. Ale nie w szkole. Tylko przy kościele. Daje zezwolenie na nauczanie religii wszystkim kapłanom. Warunki są następujące: po pierwsze musi być odpowiednie pomieszczenie. Decyzja, co do tego, czy to pomieszczenie jest czy nie jest odpowiednie, czy można je dopuścić, należy do miasta, do władz oświatowych. Po drugie, nauczanie może być prowadzone tylko przez księdza, a nie przez zakonnikę czy zakonnicę. Oni byli z tej możliwości wyłączeni. Po trzecie, punkt musiał być zgłoszony. Trzeba było go zarejestrować, podać ilość uczniów, nazwiska uczących i nauczanych. Jeżeli spełniło się te warunki, to można nauczać religii. Czyli państwo tak jakby po zakwestionowaniu nauki religii poza kościołem, zezwala na tę naukę w kościele, ale... pod kontrolą. I teraz inspektorzy oświaty zadecydują, czy ja uczę dobrze czy nie i czy w ogóle mogę uczyć. I taka właśnie spotkała mnie odmowa, z enigmatycznym uzasadnieniem, jakobym nie spełniał warunków. A jakie były warunki już powiedziałem.

Dokument 6.

W taki sposób skończyła się przygoda księdza Pyrchały z PRL-owską szkołą. Na zawiadomieniu uzasadnienia brak, ale w szkole ksiądz dowiedział się od przełożonych, że jest osobą nie dającą gwarancji nauczania młodzieży w duchu marksistowsko-leninowskim.



A jak ja mogłem podać imienną listę uczniów? Nie mogłem tego zrobić. Żeby potem z pracy zwolnili pana milicjanta. Żeby z jakiegoś zakładu zwolnili kierownika. Bo ich synowie chodzą na naukę religii. Już jest taka osoba podejrzana. A więc to jest jeden z pretekstów, gdy władze oświatowe mogą stwierdzić, że punkt katechetyczny nie spełnia warunków. Inny. Na przykład krzesła. Krzesła w sali są nieodpowiednie dla dzieci z pierwszej klasy. Powinny być mniejsze. A my nie mamy. A skąd my mamy mieć w warunkach kościelnych, w zakrystii takie krzesła? Po co nam one były, skoro nauka religii odbywała się w szkołach? To samo, jeżeli chodzi o ubikacje czy odpowiednie oświetlenie. Obiektywnie rzecz biorąc, nie byliśmy w stanie tych warunków spełnić.

Rzeczywiście, spełnienie tych wszystkich warunków było raczej nierealne. Wobec powyższego, śmiesznie brzmią argumenty tych (także wierzących), którzy popierali pomysł wyprowadzenia religii ze szkół twierdząc, że tak będzie dla księży wygodniej.

I teraz, jeżeli ten punkt katechetyczny jakimś cudem spełniałby te wszystkie wymogi, to zostanie zatwierdzony. Ksiądz będzie opłacany przez państwo. I co oni chcieli zrobić? Kupić księdza, który będzie ubezwłasnowolniony, bo będzie na pasku państwa. A ja spotykałem wtedy różne, poważne osoby, które mówiły, że wszystko jest pięknie i ładnie. Że będzie lepiej niż było kiedyś. Ksiądz nie będzie chodził do szkoły. Będzie ksiądz przy parafii, opłacany przez państwo. Czysty zysk. A co za tym szło nikt tak naprawdę nie zdawał sobie sprawy. Że jeżeli te wymienione warunki nie zostaną spełnione, to punkt będzie nielegalny. I taki punkt katechetyczny mógł być z całą surowością karany, bo uczy bez pozwolenia.

A jeszcze, gdy mogliśmy legalnie uczyć religii w szkołach, jak spod ziemi wyrastały inne problemy. Bo na przykład sekretarzowi partyjnemu nie podobał się ten ksiądz. I ja się też nie podobałem. Uczyłem w szkole do roku sześćdziesiątego. I wtedy dyrektor Szkoły Podstawowej nr 15 w Bytomiu stwierdził, że już dalej uczyć nie mogę. Nie zostaję przyjęty. Sytuacja była taka, że pozostali dwaj wikariusze też nie zostali zatwierdzeni. I jak wygląda sytuacja? W parafii jest trzech wikariuszy, z czego żaden nie zyskał uznania w oczach władz. Kompletny paraliż. Wszystko zależało od państwa.

I wtedy cofnięto nas do defensywy, do kościoła. Do drzwi kościoła można było uczyć. Na zewnątrz już nie. Do drzwi kościoła, nie dalej! I ja chciałem chociaż to zachować. Żeby tej mojej nauki przykościelnej nikt nie mógł zakłócać, od tego wara. A tymczasem, co? Oni nawet te punkty katechetyczne chcą mieć pod swoją kontrolą.

W roku sześćdziesiątym drugim zrobili mi łaskę i zatwierdzili mnie przy punkcie katechetycznym. Ale muszę ci opowiedzieć historię tego zatwierdzenia. Co myśmy robili? Myśmy, aby uniknąć zgłaszania tego punktu, żeby nie brać od państwa pieniędzy, żeby pozbyć się kontroli państwowej, myśmy mówili, że robimy nabożeństwa. Nauka religii polegała na odprawianiu nabożeństw. W salce w zakrystii był krzyż, kapłan ubierał się w komżę, bierze stulę i odprawia nabożeństwo. Gdy przychodzi facet z inspektoratu kontrolować naukę religii, to nie ma czego kontrolować, bo tam się odbywa nabożeństwo. Te kontrole były często. I gdy przychodziły, przerywaliśmy naukę i dla niepoznaki mówiłem: no, a teraz odmówimy litanię. Albo zaśpiewamy jakieś pieśni. I kontroler był zupełnie skołowany, bo nie było żadnej nauki religii.

A więc władza przyjmuje nową metodę. Wtedy ja dostaję pozwolenie na naukę religii. Ale to śmieszne. Przecież, żebym ja uczył religii w zakrystii, to nie potrzebuję żadnego zezwolenia. Ale metoda polegała na czym innym. Wymyślili sprawozdanie. Co roku trzeba było zdać sprawozdanie z działalności punktu katechetycznego. A więc chcą wiedzieć, kto uczy, kto chodzi. I ja mam na to odpowiadać. Moja odpowiedź była taka, że nie ma nauki religii, tylko są nabożeństwa. Rozumiesz? A poza tym, nie wiem, kto chodzi. Setki dzieci. Nie prowadzę żadnego spisu.

Często wspominam wezwanie do Urzędu Miejskiego w Zabrzu. Wzywano więc każdego z zarządców parafii osobno. Zostałem zaproszony na godzinę 10:30. W sprawie punktu katechetycznego. Tego sprawozdania, którego nie chciałem złożyć. Referent Wydziału do spraw Wyznań, pieszczotliwie zwany biskupem świeckim, już czekał. Na parterze Prezydium przy windzie już ktoś oczekiwał, aby mnie zaprowadzić przed oblicze ówczesnych ważnych. Uprzejmie zaprosił mnie do windy i pojechaliśmy na górę. Od początku chciano mnie kupić.

- Proszę księdza proboszcza...

- Ja nie jestem proboszczem!

Ksiądz uparcie zaprzeczał, że jest proboszczem, chociaż wszyscy wierni wiedzieli, że jest i tak go tytułowali. Ja w całym swoim życiu kapłańskim nigdy nie miałem żadnej uroczystości wprowadzenia na urząd proboszcza. Nigdy. Biskup świecki wprowadził mnie do pokoju. Tam wszyscy siedzieli: sekretarz partii, przewodniczący Rady Miejskiej, urzędnicy, członkowie komitetu. Wszyscy bardzo uprzejmi. „Proszę księdza, może pomóc zdjąć płaszcz”.

- Czym możemy służyć? Może kawą?

- Nie, dziękuję, nie pijam kawy.

- To może herbatę?

- Dziękuję, przed chwilą już piłem.

- A może cygaro?

- Nie, nie, dziękuję, nie palę.

Zaczyna się rozmowa. Mówią bardzo pięknie o współpracy między państwem a Kościołem. Mamy bardzo wiele problemów nękających nasze społeczeństwo. Alkoholizm, pijaństwo, możemy przeciw temu wspólnie współdziałać. Proboszcz może nawoływać do uczciwej pracy, do wykonywania norm, do posłuszeństwa. Czyli ksiądz ma być taki stróżem prawa, który pomaga władzy w utrzymaniu porządku. I mamy taki problem: ksiądz jest z biednej parafii. To mi próbowano wmówić. Bo to jest mała parafia, biedna taka. Oni mogą pomóc. Mają do dyspozycji tysiąc złotych, które mogą przeznaczyć na utrzymanie punktu katechetycznego. Nie przelewa się księdzu, a my możemy dać te pieniądze, dać legitymację nauczycielską, która uprawnia do ulgi na przejazdy komunikacją miejską. Tylko proszę wypełnić ten kwestionariusz, podać ile dzieci chodzi na religię. Wiecie, ja tu jestem wikarym. Mój poprzednik, świętej pamięci ksiądz proboszcz Tomeczek, wiedział. Bo on uczył w szkole, był tu długo, miał rozeznanie. A ja, wikary, nie wiem. No jest dużo tych dzieci.

- No ale ile?

- Nie wiem, nie prowadzę spisu.

- Aha. Rozumiemy, rozumiemy. Czyli ksiądz uczy?

- No uczyć... w kościele.

- A kto jeszcze uczy?

- Drugi ksiądz jeszcze uczy.

- A ile tych dzieci?

- No nie wiem.

- A w przybliżeniu, sto, pięćset?

- Nie wiem. Nie liczymy. Zwołujemy nabożeństwo, a dzieci nikt nie liczy.

- Ale wie ksiądz, proszę podać jakąś liczbę. Można się pomylić. To nie musi być dokładnie. Dwieście, sto pięćdziesiąt, pięćdziesiąt? Przecież potrafi ksiądz odróżnić dwadzieścia osób od stu. Niech ksiądz poda jakąś liczbę. Niech ksiądz poda liczbę.

Nic z tego. W dalszej części rozmowy władze próbowały jeszcze innych środków. Stwierdzono między innymi: „Parafia wasza jest uboga, możemy pomóc, mamy fundusze, trzeba tylko zgłosić punkt katechetyczny i wtedy będzie legitymacja na przejazdy ulgowe, będzie fundusz na utrzymanie salek katechetycznych.”

Potem dodawano, że należy tylko podać wszystkie dane uczniów i podpisać zgłoszenie. Oczywiście dla nich byłoby to wielkie osiągnięcie. A dla naszego ludu? Dostarczony materiał byłby wykorzystany dla inwigilacji naszych parafian przez wszechwładną bezpiekę, a dostarczenie danych powodem szantażu wobec rodziców pracujących na różnych stanowiskach państwowych. Dlatego też wszelkie przekazanie danych zostało przez księdza prymasa i biskupów zakazane.

Jeden z nich zirytował się i zaczął mnie tytułować już nie „księżę”, ale „obywatelu księdzu”. A ja miałem polecenie od biskupa, żeby nie wojować. Żeby starać się załatwiać każdą sprawę ugodowo, żeby łagodzić. Bo jeżeli mnie zamkną, to już koniec księdzowania. Ja więc cały czas odpowiadam: „nie wiem”, „nie zdaję sobie sprawy”, „ktoś inny wie”. Robię z siebie głupka. Moja ostateczna odpowiedź była taka: „ja nie wiem, ale nawet gdybym wiedział, nie podam, bo byłoby to sprzeczne z zarządzeniem księdza Prymasa i biskupa”. Biskup zakazał zgłaszania, nie wolno tego. Kontrola państwowa nie może obejmować Kościoła. Poza tym, byłoby to niezgodne z moim sumieniem kapłańskim. W tym momencie skończyły się uprzejmości świadczone księdzu proboszczowi. Urzędnicy próbowali być mili tak długo, jak mogli. Później objawili swoją prawdziwą naturę.

„Obywatelu księdzu, oznajmiam księdzu, że ksiądz z biskupem ma do czynienia co najwyżej raz na miesiąc. Z władzą ludową na co dzień. Do widzenia”. Chłodne „do widzenia”. Nikt mi nie podawał płaszcza. Nikt nie otwierał drzwi. Obywatel ksiądz został zmyty.

Na konsekwencje swojej oporności ksiądz nie musiał długo czekać. Już następnego dnia miałem gości w parafii. Przyszli z urzędu. Wszystko mi zabrali. W poniedziałek rano przybyli komornicy i zabrali na poczet kary całą niedzielną kolektę, która była przeznaczona na uregulowanie bieżących rachunków funkcjonowania parafii, a więc za energię elektryczną, gaz, ubezpieczenia i tak dalej. Zabrano też stojące w jadalni radio Beethoven podarowane mi kiedyś przez kolegów w dniu prymicji. Na domiar komornicy zamówili jeszcze taksówkę, którą zawieźli radio do prezydium, a rachunkiem za taksówkę obciążono winowajcę. Ksiądz Pyrchala śmieje się, że po dziś dzień przechowuje to pokwitowanie jako pamiątkę tamtych dni.

Choć niektórzy, zdaniem księdza Pyrchały, umieli sobie z tymi konfiskatami poradzić. *Na przykład mój znajomy ksiądz na wszystkich szafach wypisywał jakieś cytaty z Pisma Świętego. Na każdej szafie z osobna. Na przykład: „Zmiłuj się nade mną, Boże” albo „Bój się Boga” i tak dalej. Zawsze używał do tego jakiegoś niezmywalnego pisaka. I co potem władza mogła z tym zrobić? No rzeczywiście – zgodziłem się. Chyba niezręcznie byłoby partii wystawić na aukcji szafę z biblijnymi cytatami. A na plebanii mogła stać spokojnie. I tacy właśnie pomysłowi księża radzili sobie najlepiej. Życie pokazało, że przeciw absurdalnym pomysłom najłatwiej jest się bronić w równie absurdalny sposób.*

Sobór niezgody

Chciałbym teraz zająć się Soborem Watykańskim II i tym, jakie skutki przyniósł dla mieszkańców na Ziemiach Odzyskanych. W relacji księdza Brunona Plocha.

- Władza ludowa w Polsce z entuzjazmem przyjmowała postanowienia Soboru Watykańskiego II. Liberalne i popularne wśród mas założenia soborowe były dla komunistów o wiele łatwiejsze do przełknięcia niż konserwatywny Kościół polski. Poza tym, chodziło chyba jak zwykle o budowanie murów i stymulowanie podziału w Kościele. Jak radzono więc sobie z tymi oskarżeniami o wsteczność czy zacofanie, które padały w związku ze sceptycyzmem Kościoła wobec decyzji soborowych?

Myślę, że jednym z najbardziej rozsądnych poczynań, jakie zrobił Episkopat jest to, że nie buntował się nigdy przeciwko jakimkolwiek zasadom soborowym. Ale nie wyprzedzał też nigdy wprowadzenia ich w życie. Obojętnie, jakie to były uchwały, liturgiczne, moralne czy inne dotyczące życia Kościoła – nigdy nie wyprzedzano postanowień soboru. Problem był w tym, że każdą decyzję soborową obowiązującą dla całego Kościoła na świecie musi podpisać papież. Z tym, że nie można jednocześnie wprowadzić jakiejś uchwały tam, tam i tam. Weźmy na przykład język narodowy, który zgodnie z decyzjami soborowymi został wprowadzony w tym czasie do liturgii. Przecież trudno sobie wyobrazić, że nagle ten język łaciński, który obowiązywał w liturgii we wszystkich krajach chrześcijańskich, zostaje zastąpiony z dnia na dzień francuskim czy niemieckim.

- Jak te zmiany wyglądały u księdza w parafii?

Ja dostosowywałem się zawsze w całości do decyzji Episkopatu. A nasz Episkopat postępował tu bardzo rozsądnie. Bo były wypadki, że nawet sobór coś uchwalił, ale nie podpisał tego jeszcze papież, a już Episkopat: holenderski, czy niemiecki wprowadzały to u siebie. I robiły nowinkarstwo. Dotyczące na przykład spowiedzi. Tymczasem te wszystkie decyzje nie nabrały jeszcze mocy, a oni już je stosowali. I potem musieli się z nich wycofywać. I takie uprzedzanie faktów robiło dużo zamętu. Potem przecież sobór, wraz z papieżem, dał możliwość zmiany tych uchwał, dostosowania ich do danego kraju, bo przecież w różnych krajach są różne tradycje i uwarunkowania. I dopiero po rozważeniu wszystkich wątpliwości, Episkopat wprowadzał te nowości do naszego Kościoła w Polsce. Na przykład, jeśli chodzi o postawy w liturgii: inaczej zadecydował Episkopat niemiecki, inaczej Episkopat polski. To są minimalne różnice, ale one są dostosowane do danego narodu. Te zmiany mogły się dokonywać tylko w tych ramach, jakie zostały nakreślone przez sobór. I stąd ja jestem po dzień dzisiejszy wdzięczny Episkopatowi, że rzeczywiście się nie wygłupili – nie wprowadzili zmian z wyprzedzeniem, i potem nie musieli się z tego wycofywać. Identycznie robiłem to w parafii. Identycznie. Bez decyzji Episkopatu nie robiłem nic.

Opieczętowany i sprzedany

Ksiądz Brunon przeżył swego czasu dość osobliwą historię, której bohaterem okazał się... samochód. Często-gęsto władzę można było łatwo przechytrzyć sprytem, a ksiądz Ploch doskonale czuł się w tego typu rozgrywkach:

Ja opowiem historię o moim pierwszym samochodzie, jaki otrzymałem... Mój proboszcz miał rodzeństwo, bardzo duże rodzeństwo, ośmiu braci i siostr, wszyscy wykształceni na Zachodzie. I oni mu pewnego dnia przysłali tego pierwszego Garbusa, Volkswagena. I on już mi sam powiedział: „jeżeli będziesz u mnie, na parafii, jak będziesz pięć lat u mnie, to dostaniesz tego Garbusa”. I ten Garbus, kiedy tylko został na mnie oficjalnie przepisany, został

zajęty. Zajęty w momencie, kiedy ja byłem na lekcjach, uczyłem akurat religii w kapliczce, w jednej z wiosek. Bo parafia obejmowała dziesięć wiosek. Przyjeżdżam z powrotem, a byłem wówczas na rowerze, bo akurat chyba coś tam miałem z tym samochodem, jakąś awarię... Więc przyjeżdżam z powrotem i proboszcz mówi, że tu samochód już jest zaznaczony, zafantowany, jak my to mówiliśmy. Że ja mogę teraz już jeździć tylko rowerem. Bo proboszcz był zawsze wystraszony, uległy władzy. A ja już byłem wtenczas właścicielem tego samochodu, przepisany już legalnie. Ja do niego [samochodu] podszedłem, pieczętkę zdjąłem, oderwałem. Pojechałem sobie, jeździłem, bo zabrać mi go mieli do miesiąca czasu. A w ciągu tego miesiąca wziąłem go i sprzedałem. Sprzedałem ten samochód. A człowiek, który go kupił nawet nie wiedział, że auto było zafantowane. Wtenczas zresztą zupełnie inny był popyt na samochody. To było zupełnie inaczej niż dzisiaj. No ale w końcu ci komornicy przyszedli do mnie po ten samochód. Ja mówię, że nie mam samochodu. Oni na to, że jak to, że karę muszę zapłacić. Ja na to, że nie było mnie przy fantowaniu, kto mnie o tym powiadomił. Proboszcz? Proboszcz nie miał prawa mnie powiadamiać. Ja sprzedałem po prostu mój samochód. „No a pieczętka?” – pytali dalej. Pieczętka, mówię, no myślałem, że dzieci robiły sobie żarty, coś tam powiesili. Thumaczenie głupie, bo głupie, no ale nic. Trochę pomarudzili, pomarudzili, no ale w końcu mówię, proszę, bierzcie co innego, co mam. Ale nic innego nie miałem. Już przedtem zabrali mi wszystko. Napisali sobie, że nic nie mam i już. To był akurat sześćdziesiąty ósmy rok, to były lata, kiedy nas fantowano. Ale taki okres największego nacisku przypadł ogólnie na lata sześćdziesiąte.

To niezwykła historia. Z jednej strony dowód sprytu i odwagi księdza, z drugiej – bezsilności i nieudolności aparatu władzy.

Niezwykła wędrówka

Nie ulega wątpliwości, że jednym z największych wydarzeń kościelnych lat sześćdziesiątych była niezwykła podróż kopii częstochowskiego cudownego obrazu Matki Boskiej Częstochowskiej. Niemal każdy z moich rozmówców poświęcił temu wydarzeniu choć kilka minut. Ksiądz Brunon Ploch mówi tak:

Gdy w latach sześćdziesiątych po Polsce krążyła kopia najświętszego obrazu Matki Boskiej, władza dała nam się również bardzo mocno we znaki. Samo odwiedzenie kopii obrazu już było nadużyciem. W tym czasie również i naszą parafię odwiedził obraz Matki Boskiej Częstochowskiej. Jako, że nasz kościół był kościołem filialnym, otrzymaliśmy obraz na jakieś trzy-cztery godziny. To już było wykroczeniem. Żeśmy te parę metrów z obrazem przejechali. I dla nich wykroczeniem było już w ogóle to, że ten obraz się poruszał. A może i to, że on istniał. Nie umieli ścierpieć tych ludzi, tych tłumów.

Przyjechali do mnie w sprawie tego obrazu. Przewodniczący Powiatowej Rady Narodowej. Zaczął mi pyskować, jakim prawem ja to robię. U mnie w pokoju, na plebanii, zaczął pyskować! Natychmiast pokazałem drzwi. I nie zawahałem się. Potem przyjechali po mnie drugi raz, już z wezwaniem i z pretensjami, dlaczego wyrzuciłem przewodniczącego. Ale ja byłem świadomy tego, że przyjadą i w międzyczasie się „wytracilem”. Męczyli mnie później nadal w następnych dniach. No, ale jak to? Ja mu nie broniłem załatwiania spraw służbowych. Ale jak on by się zachował, gdybym ja wpadł do jego gabinetu i zaczął pyskować? Też pokazałby mi drzwi. Tak samo zrobiłem ja w stosunku do niego.

Byłem później regularnie, w każdym miejscu kontrolowany, wzywany na milicję. „Ksiądz będzie przyjeżdżał, mówił, co się w kurii dzieje” – mówili mi podczas sześciogodzinnego przesłuchania. Powiedziałem im, że zaraz po przesłuchaniu pójde do biskupa i powiem, co tu się dzieje i że jestem szantażowany. To właśnie powiem! Judaszem na pewno nie będę!

Nawiedzenie Najświętszego Obrazu wspomina także z dużą wyrazistością ksiądz infułat Paweł Pyrchala:

Nawiedzenie Obrazu Matki Boskiej Częstochowskiej podczas tak zwanej peregrynacji należało do chwil radosnych i podniosłych. Parafia skrupulatnie się do tego wydarzenia przygotowywała. Uporządkowaliśmy plac, oczyszczając go z gruzów po zniszczonym kościele. Na placu postaviliśmy cztery ołtarze. Tam, przy nich planowaliśmy odprawić modlitwy dla poszczególnych stanów: dzieci, młodzieży męskiej, młodzieży żeńskiej, mężczyzn i kobiet. Oddelegowani mężczyźni na motocyklach pojechali po obraz do parafii świętej Teresy w

Zabrzu-Mikulczycach, która to parafia adorowała go przed nami. Trasa przejazdu została wcześniej zgłoszona i umówiona z władzami miasta. Była ustrojona okolicznościowymi ozdobami religijnymi. Oczywiście przez tych mieszkańców, którzy się nie bali tego robić.

Dwie godziny przed powitaniem obrazu. Przyszło do mnie dwoje ludzi. Panowie zażądali rozmowy na osobności. Myślałem, że nieświadomie wybrali ten akurat moment na uregulowanie jakichś prywatnych spraw i poszedłem z nimi na plebanie. Tam się ujawnili. Mówili: „nas przysłano z Prezydium i mamy księdzu przekazać, że natychmiast powinien być usunięty z placu kościelnego ołtarz dla mężczyzn z napisem >>wiary nie damy<<, ponieważ jest zbudowany na tle szczytu domu przy ulicy księdza Bończyka 30, który jest własnością państwową”. Odpowiedziałem, że jeżeli mają ochotę, to niech oznajmią tę nowinę zgromadzonym na placu mężczyznom, którzy w pocie czoła ten ołtarz budowali. Najpierw naradzali się między sobą. Potem poprosili o możliwość skorzystania z parafialnego telefonu i porozumieli się z przełożonymi, po czym stwierdzili, że ja mam sam spowodować usunięcie ołtarza i napisu, bo im nie wolno przemawiać do wiernych. Zagrozili mi, że jeżeli tego nie zrobię, to oni wyciągną stosowne konsekwencje. Niech sobie wyciągają, ja się nie ugiąłem.

Ksiądz Pyrczała oczywiście pozostał nieczuły na te prośby i groźby. Dalszy rozwój sytuacji przyprawił jednak wszystkich o szybsze bicie serca. Obiecane konsekwencje zostały wyciągnięte w błyskawicznym tempie. Na szczęście, nie pociągnęły za sobą długotrwałych i bolesnych skutków.

O godzinie 18:00 ksiądz biskup opolski Wacław Wycisk, duchowieństwo, służba liturgiczna i delegacje poszczególnych stanów utworzyły szpaler w celu zrobienia miejsca obrazowi, gdy już przybędzie. Stanęliśmy na chodniku i spoglądaliśmy raz po raz w dół ulicy, z coraz większym zniecierpliwieniem wypatrując kaplicy z obrazem. Zrobiło się nerwowo. Był październikowy wieczór, więc i temperatura trochę spadła. Zadawałem sobie pytanie, co mogło się stać. Ksiądz biskup zapytał mnie w pewnej chwili, czy aby na pewno przyjazd ma nastąpić o godzinie 18:00, a nie na przykład o 19:00. Odpowiedziałem: „z pewnością chodzi o godzinę 18:00, bo taka jest pora podania każdego dnia dla wszystkich parafii”. Wewnętrzny niepokój chyba mimo wszystko w księdzu narastał. Nareszcie, po jakichś trzech kwadransach samochód-kaplica nadjechała, ale z przeciwnej strony! Okazało się, że Milicja Obywatelska nie zezwoliła odbierającym obraz na przejazd wyznaczoną trasą. Mieszkańcy tych ulic byli strasznie zawiedzeni, bo przecież mieli pięknie na tę okoliczność przyozdobione okna.

Pod wpływem tych wydarzeń zmieniłem wymowę kazania, które miałem wygłosić. Powiedziałem wtedy tak: „na naszych ulicach i placach widnieje hasło >>Byliśmy, jesteśmy i będziemy<<. My, współcześni mieszkańcy Zabrze, robotnicy i synowie robotników, możemy obecnie dodać: >>Byliśmy wierzącymi, jesteśmy wierzącymi i będziemy wierzącymi i naszej wiary nie damy<<. Na tej ziemi zabrzańskiej, uświęconej potem, pracą i krwią ludzi pracy, mówimy też: >>Tu modliliśmy się, tu modlimy się i tu modlić się będziemy<<. Takie jest nasze przekonanie i z Bożą pomocą przekazywać je będziemy następnym pokoleniom”.

Kilkakrotnie później przypominano lub wypominano mi te ostre słowa.

Ale demonstracja Milicji Obywatelskiej raczej nie wyszło nikomu na dobre, a już na pewno nie samym władzom, które tylko sprokurowały odruch buntu.

Prezydent de Gaulle w Zabrzu

Po pamiętnym liście biskupów polskich do niemieckim ze słynnym „przebaczamy i prosimy o przebaczenie” było też hasło: „Precz z prymasem!” czy „Wyszyński – zdrajcą narodu!” Takie wydarzenia urozmaicały nam szare życie... Co do tej sprawy z przebaczeniem Niemcom, to niestety większość ludzi to kupiła, uznała racje głoszone przez władze. Nawet ministranci czy duża część wiernych. „Prymas-zbrodniarz” – mówiono. Wysyłano do nas delegacje. Jak to? Kościół miesza się w politykę? Tylko kler stał na twardym gruncie i bronił idei listu.

Szare życie rodem z PRL urozmaicały także nieco przyjemniejsze wydarzenia, jak na przykład przyjazd prezydenta Francji generała Charlesa de Gaulle’a. Miało to miejsce we wrześniu 1967 roku. Trwały wielkie przygotowania. Wszystkie znaki na niebie i Ziemi wskazywały, że prezydent będzie przejeżdżał w pobliżu naszego parafialnego kościoła. I wtedy odwiedzili mnie niespodziewani goście. Nagle zauważyłem, że przed kościołem zjawił się „wyznaniowy”, którego powszechnie nazywano świeckim biskupem, wraz z jakimś innym

przedstawicielem władz miasta i jeszcze kimś. Uprzejmie mnie pozdrowili i generalnie zachowywali się bardzo grzecznie. Pochwalili mnie za stan parafii, że ładnie jest wszystko przygotowane i tak dalej. Następnie oznajmili, że chcieliby jeszcze zamienić ze mną dwa słowa w jakiejś ważnej sprawie.

Prowadzę ich na plebanię, a w myślach przeprowadzam rachunek sumienia i zbieram fakty: kiedy postawiliśmy rusztowanie pod dzwony, skąd wzięliśmy kątownik, gdzie ja położyłem pokwitowanie za złom, ile tego było? Wszystko analizuję, żeby mnie nie zagięli. Równocześnie ich nadśluchuję. Oni mówią ślicznie o ojczyźnie ludowej, o współpracy państwa z Kościołem, o podziwie Francji dla osiągnięć Polski Ludowej i takich tam rzeczach. Ciągłe mnie też tytułują proboszczem, chociaż temu uparcie zaprzeczałem, bo przecież nie zostałem zatwierdzony przez państwo. I wciąż nie mogę opanować zdenerwowania, bo ciągle myślę, co oni knują. Ale ich uprzejmość jest nadzwyczajna i w końcu zdradzają mi swój wielki problem...

„My bardzo prosimy, żeby ksiądz nie wychodził z ministrantami i sztandarami na spotkanie prezydenta Francji, tu na skrzyżowanie ulic Hagera, Bytomskiej i Na Piaskach, żeby nie było przywitania przez parafię i by nie dzwoniono.”

Kamień spadł mi z serca, bo przecież nawet do głowy mi nie przyszedł taki pomysł. I rezolutnie im zaraz odpowiedziałem: „Panowie, prezydent de Gaulle jest takim porządnym katolikiem, że on wie, kiedy ma przyjść na mszę świętą i nawet nie trzeba dzwonów używać”.

Jaki był powód niepokoju władzy? Problem powstał, gdy de Gaulle, prezydent wielkiego państwa okazał się być człowiekiem nie tylko wierzącym, ale i praktykującym. Przedtem wmawiano ludziom, a w szczególności młodzieży, że żaden wykształcony, nowoczesny człowiek nie chodzi do kościoła, bo tak postępują już tylko stare, zacofane jednostki...

Najazdy

W tym jak najbardziej chrześcijańskim, ale i bardzo ludzkim duchu, wyciągamy do Was (...) nasze ręce oraz udzielamy wybaczenia i prosimy o nie. A jeśli Wy, niemieccy biskupi (...) po bratersku wyciągnięte ręce ujmiecie, to wtedy dopiero będziemy mogli ze spokojnym sumieniem obchodzić nasze Millenium w sposób jak najbardziej chrześcijański. – To słowa, które znalazły się w słynnym orędziu trzydziestu czterech biskupów polskich do biskupów niemieckich, ogłoszonym 18 listopada 1965 roku. List ten, stanowiący krok w kierunku polsko-niemieckiego pojednania, podzielił naród polski i stał się pretekstem do nagonki władz na środowiska kościelne.

Ksiądz Pyrchała napomknął już o liście biskupów polskich do biskupów niemieckich. Zdaniem księdza Brunona Płocha to, co nastąpiło potem, to okres największego prześladowania Kościoła. Życie księdza ubarwiła szczególnie jego odwaga, zdecydowanie, a przede wszystkim – umiłowanie prawdy. Niełatwo było w tych czasach o kapłana, który nie bał się rozmawiać z władzą otwarcie, nawet z wyższością wynikającą z przekonania, że stoi za nim prawda i moralność. Ksiądz Brunon wykazywał hart ducha i nie owijał w bawełnę. I te cechy nieprzerwanie ujawniały się w nim, gdy słuchałem z uwagą jego opowieści.

Z perspektywy czasu, chyba najbardziej wściekła była władza po tym liście pasterskim, liście polskich biskupów do biskupów niemieckich. To był rok sześćdziesiąty piąty. Wówczas przeżyliśmy chyba największe nasilenie ataków. Kiedy tylko to ujawniono, nastąpiły niespotykane dotąd rozjazdy po wszystkich kościołach, po wszystkich parafiach. I pamiętam, jakby to było wczoraj, to [funkcjonariusze nękający księży] byli wszystko wojskowi lub ludzie, którzy przeszli szkolenia wojskowe. Te szkolenia oczywiście nie dotyczyły spraw wojskowych, tylko walki z religią – uczono ich, jak walczyć z Kościołem. Ci wojskowi jeździli po każdej parafii, u nas jeden taki był aż trzy razy. Oczywiście w mundurze wojskowym. Do dziś pamiętam te porównania, których używał. On uważał, że Kościół atakuje i przyrównywał tę sytuację do ringu. Uosobieniem Kościoła miał być atakujący bokser. Jeżeli bokser atakuje, drugi musi się bronić. Tak samo państwo – rzekomo atakowane przez Kościół – musi się bronić. Ja mu mówię: „proszę pana, to jest prawda, że jak jeden atakuje, to drugi musi się bronić. Ale kto tu atakuje, a kto się broni?! Ja panu zaraz udowodnię”. Wtedy poszedłem do gabinetu po cały plik dokumentów, odmów. Zakaz, zakaz, zakaz, cała ta dokumentacja. Mówię: „oto mamy dowód ataku i obrony. Więc kto tu atakuje? Proszę spojrzeć na to wszystko

i będziecie wszystko wiedzieć”. Wszystko to, całe te najazdy, wpływały na życie parafialne. Bo ksiądz miał ręce związane. Nie mógł się do końca poświęcić pracy duszpasterskiej.

Ksiądz prałat Kołodziej nie ma aż tak drastycznych wspomnień:

W okresie przed stanem wojennym byłem nachodzony w parafii przez służby. Przez jednego z oficerów. Próbował wyperswadować mi bardzo delikatnie, że sytuacja jest niepewna i żeby Kościół, żebym ja konkretnie starał się uspokajająco oddziaływać na społeczeństwo. Żeby załagodzić sytuację. Były to prośby niejednoznaczne. Ale muszę powiedzieć, że nie „gościłem” u siebie oficerów specjalnie często. Czasami, szczególnie w późniejszym okresie PRL przychodzili, ale bardziej w celach organizacyjnych. Były to czasy, gdy nasz kraj korzystał z zagranicznych transportów pomocy humanitarnej i przy współudziale Kościoła chciano ją rozsądnie podzielić. Przejmowanie tych transportów nie należało zresztą do rzeczy łatwych. Ale państwo musiało się godzić na tą pomoc, bo bez niej sytuacja byłaby jeszcze gorsza.

Zimowy płaszcz dla władzy ludowej

Moja rozmowa z wielokrotnie już wspominanym księdzem dziekanem Józefem Dyllusem toczy się na probostwie parafii Chrystusa Króla w Gliwicach, w zimny lutowy wieczór. Długo zabiegałem o to spotkanie, ale w końcu mogła dojść ona do skutku dzięki pośrednictwu nauczyciela historii w mojej szkole, doktora Andrzeja Zielińskiego, który jest parafianinem księdza Dyllusa. Proboszcz jest osobą zdecydowaną i pewną siebie, na pierwszy rzut oka małomówną, ale w rzeczywistości niezwykle sympatyczną i skora do śmiechu. Nie należy do ludzi dających sobie „w kaszę dmuchać”. O wydarzeniach minionej epoki ksiądz wolałby nie mówić i ich nie wspominać. Nie prowadzi żadnych kolekcji zdjęć czy pamiątek z tamtego okresu. Z początku nie wiedział, jakimi faktami mógłby mnie wesprzeć przy pisaniu tej pracy, ale okazało się, że ksiądz ma przebogaty bagaż doświadczeń i nie będzie z tym żadnego problemu.

Wydarzenia, które nastąpiły bezpośrednio po opublikowaniu listu biskupów polskich do biskupów niemieckich to chyba najbardziej dramatyczne chwile w życiu księdza Józefa Dyllusa. Po raz kolejny powróci także we wspomnieniach moich rozmówców kwestia podwójnego podatku, o którym dużo opowiadał ksiądz Brunon Ploch.

Żądali od nas dwóch podatków. I to sprzecznych. Podatku od nieruchomości i czynszu. Ja im mówię, zdecydujcie się na jeden. Ale w powiecie było tylko dwóch księży, którzy nie płacili. Właściwie to oficjalnie mało kto płacił, ale ci, którzy nie płacili, musieli pogodzić się z konfiskatami. Do mnie też przyjechali. Właśnie po tym liście z 1965 roku tak się szczególnie zawzięli. Zabrali mi wszystko. Dokładnie wszystko. Z osobistych rzeczy została mi tylko sutanna. Zabrali mi nawet płaszcz zimowy, zastawy stołowe, tam jakieś inne rzeczy. Nie miałem tego specjalnie dużo. Zmieściło się w dwóch koszach na bieliznę. Oni mi to chcieli zostawić na plebanii, nie wiem po co. Żądali podpisu, żebym się zobowiązał, że będę tych koszy pilnował. Ale w jakim celu ja mam to trzymać? Zabierajcie sobie! Zostałem w tym, w czym stałem. Płaszcz zimowy mi zabrali, a nie mieli prawa, drugiego nie miałem. Chcieli w ten sposób [mnie jako] księdza upokorzyć. Jeszcze liczyli, że ja zdobędę pieniądze i te rzeczy od nich odkupię, ale nie. Ja nie miałem pieniędzy.

- Jak się ta sprawa potoczyła dalej? Jak sobie ksiądz poradził?

W ciągu dwóch tygodni miałem wszystko z powrotem. W pierwszej chwili nie wiedziałem, co ma na myśli ksiądz Dyllus... Ale to tylko dzięki parafianom. Ja nawet nic nie wiedziałem. Parafian miałem wspaniałych. Na przykład przed kościołem jedni zagadywali mnie, a z tyłu ukradkiem skradała się pani z centymetrem i mierzyła mi szerokość barku i wszystkie inne wymiary potrzebne do uszycia płaszcza. Miałem go w ciągu dwóch tygodni. I to taki lepszy, z owczej wełny. Wszystkie inne ubrania też mi wierni dostarczyli. W skarpetkach, które mi uszyto, chodziłem jeszcze do niedawna. A to była mała parafia, niewiele ponad tysiąc wiernych, byłem tam jedynym księdzem.

A podatku podwójnego nie mogłem płacić, bo Episkopat się na to nie zgadzał. Skoro przez piętnaście lat po wojnie płaciliśmy tutaj na Ziemiach Odzyskanych tylko podatek, od nieruchomości, to dlaczego miałoby się to zmienić. Ten podatek od nieruchomości też był zresztą załatwiony trochę „na gębę”. Ksiądz Dyllus twierdzi, że kiedyś po prostu jeden z wojewodów ogłosił w swoim przemówieniu, być może nieco się zapędzając, że sporne tereny przeznacza Kościołowi na własność. Tak zostało aż do momentu, gdy wymyślono absurdalny,

podwójny podatek. Opis konfiskaty przytoczony przez księdza Dyllusa to tylko suche fakty. Zdecydowanie wymaga on głębszego komentarza, dlatego cofam się jeszcze raz do dnia, w którym na plebanii w Sidzinie pojawili się funkcjonariusze bezpieczeństwa i oddają głos mojemu rozmówcy:

*To wydarzenie to był pierwszy i ostatni raz w okresie PRL, kiedy przeżyłem prawdziwy lęk. Ale to trwało chwilę i uodporniło mnie na następne lata. Z początku byłem zdenerwowany, obleciał mnie dość duży strach, kiedy zaczęli przeszukiwać mi pokoje. Oczywiście wiedziałem, że nic nie znajdą, bo ja nic nie miałem, żadnych pieniędzy. Ale potem... To był moment, czy ja wiem, dziesięciu minut, po którym siadłem sobie w takim starym fotelu. Zupełnie się uspokoiłem. Oni chodzili, szukali się, mówili, że to i to mi zabierają, a ja na to: „proszę bardzo, jeśli ojczyzna ludowa potrzebuje, to proszę brać, bardzo chętnie oddam”. Sam siebie nie poznałem. Ale wytrąciłem tym ich zupełnie z równowagi. Wieczorem dzwonił do mnie kolega-ksiądz z tego samego powiatu. Dowiedział się o tym, co się stało, o tej „pokazowej wywóźce”. Strasznie mi współczuł, prawie płakał. A ja do niego: „ty tu nawet nie wiesz, jaka to jest radość, jak ci wszystko wezmą”. Momentami nie mogłem uwierzyć w opowieść księdza. Dziekan kontynuował: *I on autentycznie pomyślał, że ze mną coś nie tak, że mam źle pod sufitem. Wieczorem przyjechał do mnie z drugim kolegą. Chcieli się upewnić, czy na pewno mi nie odbiło. Ale dla mnie to wydarzenie miało skutki pozytywne, zupełnie od tego czasu zobojętniałem na sprawy materialne. Jak mam pieniądze, to mam, jak nie mam, to nie mam. Potrafię obfitować i biedę cierpieć. Nie wiem, w jaki sposób dokonała się we mnie ta przemiana. Czasami, jak się czyta o świętych, nie może się uwierzyć w to, że przyjmowali swoje męczeństwo z radością. Na przykład święty Wawrzyniec, gdy go przypalali na rożnie, powiedział spokojnie strażnikowi, żeby obrócił go na drugą stronę, bo „ta pieczeń nie będzie smakowała Cezarowi”. Poniekąd mnie też to spotkało. Wiem, że niektórzy księża podczas rewizji biegali, krzyczeli „to nie, tego nie ruszać!”, a ja sobie spokojnie siadłem w tym fotelu.**

Po tej wywóźce miałem rozmowę w Powiatowe Radzie Narodowej, z jej przewodniczącym i w obecności kierownika wydziału finansowego. Zaczęli mi opowiadać różne swoje historie. On mi powiedział: „ja muszę się wywiązywać z instrukcji”. A ja do niego: „tak samo tłumaczą się dzisiaj we Frankfurcie nad Menem⁸”. Oni też wykonywali tylko instrukcje. Strasznie on się wtedy zachnął i powiedział: „ksiądz sobie za dużo pozwala”. A ja do niego spokojnie: „jeśli pan powtórzy to, co pan teraz powiedział, przed sądem, to ja powtórzę dokładnie to samo i też słowa nie cofnę”. Bo zasady mają takie same, tyle że tam chodziło o życie ludzi, a tu o 800 złotych. W każdym razie, to i to jest dręczeniem ludzi. Przewodniczący tak się zdenerwował, że aż wyszedł. Został tylko ten kierownik wydziału finansowego, który przysłuchiwał się naszej rozmowie. I ja do niego: „no i do czego to jest podobne? Jakie mienie poniemieckie? Mój ojciec był Polakiem. Gdyby tata się dowiedział, że ja płacę ten podatek, to chyba by się mnie wyrzekł i wydziedziczył.” On odpowiedział: „no widzi ksiądz, no. Taka sytuacja jest. Ksiądz to musi zrozumieć.” Chyba te słowa oddają w dużym stopniu dramat, ale i śmieszność całej sytuacji. „Ksiądz to musi zrozumieć”? „Taka jest sytuacja”? I urzędnik, i ksiądz byli między młotem a kowadłem. Komu na tym zależało?

To się wiązało też z przyjazdem do Polski „specjalistów” czeskich od likwidacji Kościoła. W Czechosłowacji udało im się podporządkować Kościół. Byli tam bardzo ostrzy. Tutaj u nas chcieli to powtórzyć, ale coś im chyba nie wyszło. Chcieli to zrobić przez pozbawienie Kościoła bazy. Przekonanie marksizmu-leninizmu było takie, że klerycy istnieją, bo mają bazę do swojego działania. A bez bazy nie będą mogli działać. „Specjaliści” uznawali za tę bazę mienie kościelne, ziemię, plebanie, pieniądze. Ich ocena była oczywiście błędna, gdyż bazą dla Kościoła mogli być tylko wierni. Wprowadzenie rygorystycznych podatków to oczywiście główny punkt owego planu likwidacji bazy Kościoła.

Wieś a miasto

⁸ Ksiądz Józef Dyllus ma na myśli proces zbrodniarzy oświęcimskich, który odbywał się we Frankfurcie nad Menem w latach 1963-1965. Ława oskarżonych liczyła 22 osoby. Sześć osób zostało skazanych na dożywocie, a cztery doczekały się uniewinnienia. Wyroki uznano za łagodne.

- W jakim stopniu parafianie księdza byli świadomi prześladować Kościoła?

Na wsi bardzo. Byli bardzo zainteresowani sytuacją i świadomi jej. Zresztą poprzedni proboszcz parafii w Sidzinie też miał nieprzyjemności z władzami. Siedział nawet w więzieniu. W każdym razie, jak ci funkcjonariusze przyjechali do mnie wtedy, żeby zrobić u mnie konfiskatę, to moi parafianie obstawili wioskę. Wszystkie drogi wjazdowe, wyjazdowe, przystanek autobusowy były obstawione. Widzieli wszystko, te radiowozy, które po mnie przyjechały, wszystko. Parafianie nie mogli się nadziwić, dlaczego w ich wiosce jest z takim rozmachem przeprowadzana jakaś obława. Z początku podejrzewali, że chodzi o schwytanie groźnego mordercy. Dopiero po jakimś czasie się zorientowali, że przyszli do mnie, do ich księdza. Wszyscy wylegli z domów i zgromadzili się przed kościołem. Tam przeszukiwano mi plebanię. Przeczesał dokładnie trzy pokoje. Potem kierownik zobaczył, co się dzieje, że ludzie się gromadzą, więc polecił, żeby następne trzy pokoje sprawdzić już tylko tak pobieżnie i jak najszybciej stąd odjechać. Więc oni tylko na te pokoje popatrzyli, wzięli łup i poszli. Musieli szybko uciekać, póki ludzie przed kościołem jeszcze nie wiedzieli dokładnie, co zaszło. Ja zaraz moich parafian wpuściłem na plebanię, pokazałem jak wyglądają teraz pokoje, co oni mi tu zrobili. A o szczegółach wszyscy dowiedzieli się następnej niedzieli, bo już omówiłem to na mszy. I powiedziałem, o co chodzi władzy, opowiedziałem o podwójnym podatku i o tym, dlaczego nie mogę go płacić. Bo jakby to wyglądało? Ojciec mój należał przed wojną do Związku Polaków, a ja mam uznawać te ziemie za poniemieckie? Ziemie, które oni sami uznawali za prastare, piastowskie i co podkreślali? Także ludzie byli bardzo świadomi. Tym bardziej, że księdza Dyllusa nie sposób zaliczyć do ludzi owijających w bawełnę. Co było, to mówiłem. Jawnie. Oni wszystko wiedzieli. Także właśnie podczas mojej posługi na wsi doświadczyłem takiego frontalnego ataku. Takiego największego. Władza zaatakowała bazę Kościoła. I na wsi było najgorzej. A okazuje się, że może i nawet, gdy nie ma bazy, to lepiej się pracuje niż wtedy, gdy ona jest. Mój rozmówca o dziwo jest zdania, że administracja, nadzór nad rzeczami materialnymi pochłania księdzu dużo czasu. Cieszyłby się z możliwości pracy w mniej biurokratyzowanych warunkach. A co z miastem? Już w 1968 roku ksiądz Józef Dyllus przeniósł się z małej, wiejskiej parafii w Sidzinie do dużej dzielnicy Gliwic. Tam nie miał już większych problemów z zatwierdzeniem na stanowisko proboszcza. Pochodził z Zabrza, ale i w Gliwicach miano o nim dobrą opinię.

Biskup wezwał mnie do siebie. W dniu święceń kapłańskich powziąłem postanowienie, że nigdy nie będę sprzeciwiał się woli biskupa. Niezależnie, czy chce mnie przenieść z wioski do miasta, czy z miasta do wioski. A ten zaproponował mi objęcie nowej parafii. Parafii Chrystusa Króla w Gliwicach. Przede mną kilku innych kandydatów odmówiło. Biskup był zaskoczony, bo nie skorzystałem z czasu do zastanowienia się. Od razu powziąłem decyzję, że przyjmuję to zadanie. Takie miałem zasady. Przyszedłem tam w zimie. Zatwierdzenie trwało chyba jakoś do czerwca.

- Czy nominowani księża musieli podpisywać deklarację lojalności.

Tak, tak. Ale to już takie straszne nie było. W końcu lojalny zawsze byłem wobec swojej ojczyzny. Nic przeciw niej nie zamierzałem czynić. Jeszcze przez pierwsze parę miesięcy miałem różnego typu problemy. Na przykład z zakwaterowaniem i lokatorami na plebanii. No ale gdzie ja ich zakwateruję? No pokazuję im, tutaj mam pokój, tu kuchnię, tu kancelaria, jedna, druga, trzecia, gdzie oni chcą mieszkać? W tamtym czasie na plebanii mieszkało czterech księży i gospodyni. Te przydziały na mieszkania na plebanii robiono po to, żeby podrażnić księży. Ksiądz Emanuel Hanysek z parafii Świętej Rodziny miał lokatorów. Już odmawiał różaniec w tej intencji, żeby się pozbyć tych ludzi z plebanii. Cały czas pytał mnie: „no i co ja mam zrobić? Powiedz, co ja mam zrobić?” Ja mu mówię: „W Piśmie Świętym jest napisane, że niektóre szatany wyrzuca się modlitwą i postem”. I rzeczywiście, wziął się porządnie do postu. I co? Kilka dni było cicho w tym pokoju lokatora, ale nie miał odwagi otworzyć drzwi. W końcu sprawdziliśmy. Okazało się, że ten człowiek się wyniósł. To był taki pijaczyna, on się bardzo buntował.

Ale w mieście już i tak było spokojniej. Pamiętam tylko tę niedzielę, pierwszy dzień stanu wojennego. Przyszedł do mnie na probostwo pewien zacny parafianin, niesamowity facet, już świętej pamięci, i po przekroczeniu progu zapytał głośno: „ksiądz proboszcz jest?!”. Jestem – odpowiedziałem. – A to chwała Bogu - stwierdził. Jakiś instynkt mu podpowiadał, żeby sprawdzić. On pochodził z Kresów, a na Kresach wszyscy mieli takie przeświadczenie, że ludzie,

którzy byli gdzieś zaangażowani, nie powinni spać we własnym łóżku w nocy z soboty na niedzielę. Bo wszystkie wywózki i inne nieprzyjemności odbywały się w nocy z soboty na niedzielę. Żeby nie robić szumu, żeby nikt się nie dowiedział. Bo wiadomo, w poniedziałek to ludzie idą do pracy, zauważają, że kogoś brakuje, a w niedzielę? Dzielnicę, która podlegała mojej parafii, wybudowano głównie dla przesiedleńców ze Wschodu. Także ludzie z Kresów, wierzący, oni byli po naszej stronie. No i nie bez znaczenie był fakt, że oni akurat to znali komunizm od podszewki.

- A jak układały się relacje na linii parafia-wydział finansowy?

Raczej nic ciekawego. Pod koniec lat sześćdziesiątych oni już czuli, że są słabi. Po tych wydarzeniach marcowych, a potem za każdym razem utwierdzali się w tym smutnym dla nich przekonaniu. To pozwoliło księdzu, który nigdy nie interesował się zamieszaniem wokół polityki, skupić się na zadaniach ściśle duszpasterskich. Oni wzywali mnie kilka razy do urzędu, ale nigdy nie otrzymałem wezwania pisemnego. Więc na spotkania nie przychodziłem. W ustawie był bowiem zapis, że wezwanie winno być na piśmie i temat spotkania musi być z góry określony. Ja wezwań na piśmie nie otrzymywałem. Po prostu dzwoniono do mnie i informowano, że zapraszają mnie na rozmowę. A ja już im od razu do słuchawki mówiłem, że nie przyjdę, żądam wezwania na piśmie. A oni na to się nie chcieli zgodzić, bo nie życzyli sobie by to widniało później w dokumentach.

Druk w podziemiu

Ksiądz Brunon Ploch jest wyraźnie zaskoczony, słysząc pytanie o prasę katolicką. Jak gdyby po prostu prowadzenie w ówczesnych czasach jakiegokolwiek działalności wydawniczej graniczyło z cudem, a gdy komuś się powiodło – był bohaterem. W czasach PRL Kościół borykał się także z tyloma wielorakimi trudnościami, że być może szczytna myśl o kolportowaniu prasy katolickiej schodziła w cień wobec problemów dnia codziennego. Tonęła w specyficznej codzienności.

Prasa katolicka istniała w szczątkach. Wydawanie małych pisemek było może i legalne, ale i tak bez przerwy stwarzane były jakieś sztuczne przeszkody i problemy. Te pisma, które powstały i przetrzymały cały ten okres komunizmu, mam tu na myśli głównie „Tygodnik Powszechny”, miały poparcie głównie w Krakowie i okolicach. Dzięki temu dużemu poparciu, jakie tam istniało, udało im się przeżyć. Ale wiadomo, że nakłady były znikome, były ograniczane. Kupienie „Tygodnika Powszechnego” było niesamowitym szczęściem, dostawało się go spod lady. Ale jako takiej prasy, z prawdziwego zdarzenia, nie było, bo być nie mogło.

Co myśmy robili? Myśmy mieli powielacze w parafii. Powielacze, które służyły nam do przygotowywania pomocy naukowych dla dzieci szkolnych. To wszystko było nielegalne. Myśmy używali zwykłego powielacza. Dzisiaj każdy by się z tego śmiał, że taki prymityw mógł w ogóle istnieć. Myśmy na pergaminie dziurkowali te obrazki, te postaci biblijne. Zatrudnialiśmy do tego nawet dzieci. I później na tuszu żeśmy to przebijali, podkładali i w taki sposób robiliśmy odbitki. Dzieci mogły tam ewentualnie coś kolorować. Natomiast te powielacze to były kompletne starocie. Ale było przynajmniej bezpiecznie. Bo gdyby ktoś załatwił jakiś lepszy powielacz, gdzie można by było go obracać ręką lub w jakiś inny sposób byłby napędzany, to zaraz by go obserwowano i w końcu wyniuchano. Bo to by oznaczało, że on produkuje już większy materiał, dla trzech czy czterech parafii. Natomiast mogę powiedzieć, że „Solidarność” pracowała później na również bardzo prymitywnym sprzęcie, ale my w stosunku do nich byliśmy jeszcze dodatkowo jakieś dwadzieścia lat wstecz. To bym właśnie nazwał taką działalnością podziemia katolickiego. I potem każda parafia sobie zaangażowała dzieci, zrobiła zwykłą poduszkę z filcu i robili tyle odbitek, ile akurat potrzebowali. O kserach w tym czasie nie było mowy. Ale to wszystko było pod kontrolą, władza nas mogła w każdym momencie zdekonspirować. Druk generalnie należał do rzeczy niebezpiecznych.

Bardzo podobnie opisuje proceder druku ksiądz prałat Konrad Kołodziej:

Konspiracyjnej prasy nie wydawaliśmy. Nie było takich możliwości technicznych. Produkowaliśmy natomiast materiały katechetyczne dla dzieci. To był czas, kiedy nie można było zdobyć religijnych obrazków dla dzieci przedszkolnych czy dla „pierwszaków”. Te obrazki konturowe były oczywiście robione wbrew obowiązującemu prawu, bo posiadanie wszelkich powielaczy było zabronione. Nawet takie proste, ręczne powielacze, które my posiadaliśmy,

były zakazane. My, chcąc coś dla tych dzieci zrobić zdecydowaliśmy się na taką działalność, każdy na własną rękę. Każdy z nas starał się zrobić wszystko, co był w stanie zrobić. Ja, podług swoich umiejętności, także się starałem, nie bacząc na to czy jesteśmy w paraliżu czy nie, czy warunki pracy są łatwe czy trudne. Chcieliśmy służyć wiernym jak najlepiej i myślę, że wierni też to doceniali, zdawali sobie doskonale sprawę z tego, jaka jest sytuacja.

I tu znajduję odzwierciedlenie wcześniejsze słowa księdza Kołodzieja, iż to nie Kościół łamał prawo, ale księża. Nikt z przełożonych duchownych nie mógł wywierać nacisku na to, by postępować wbrew obowiązującemu prawu. Ksiądz mógł jednak w ten sposób „zgrzeszyć”, jeśli działał w dobrym celu i... miał odwagę podjąć pewne ryzyko.

Ksiądz w M-10

My jesteśmy w cięższej sytuacji, bo znajdujemy się na ziemiach zachodnich, na Ziemiach Odzyskanych. Przyszowice były ostatnim skrawkiem przedwojennej ziemi polskiej. Tam na pewne rzeczy można sobie jeszcze było „pozwolić”. W Zabrze już nie. W Przyszowicach ksiądz mieszkał na plebanii, która była własnością parafii. W Gliwicach czy Zabrzu ksiądz mieszkał w państwowej plebanii. Nasza plebania została upaństwowiona dlatego tylko, że znajdowała się na Ziemiach Zachodnich i została uznana za mienie poniemieckie. Ksiądz musiał to opłacać. Widzisz – zwraca się do mnie ksiądz Paweł. – musisz być świadomy tego, że inne prawo panowało tutaj, a inne już kilka kilometrów dalej. Wracając do sprawy tej plebanii, to na dodatek, za nią księża dostawali tak zwane domiary. Przydziały mieszkań w PRL były dość jasne. Jeżeli ktoś był kawalerem, dostawał M-1. Duża rodzina mogła liczyć na M-3 czy M-4. I teraz nagle wchodzi w to wszystko ksiądz. Więc kawaler. Przysługuje mu M-1. A zajmuje ile? Całą plebanię. Jadalnię. Wszystkie pokoje. Władze to wszystko zmierzyły i stwierdziły M-10, czyli nadmetraż. Im więcej nadmetrażu, tym większy czynsz trzeba płacić. I tak na przykład biskup płaci za wszystkie pomieszczenia seminarium duchownego i Kurii Biskupiej! To wszystko jest jego. On jest uważany za wielkiego pana, bo ma tyle i tyle pokoi. Z tego powodu nas karzą. I pod koniec roku przychodzi wezwanie do zapłacenia nadmetrażu. A ja, według prawa kościelnego, nie mogę nikomu oddawać mienia kościelnego, pod groźbą klątwy. Bo jestem jego zarządcą, a nie właścicielem. Plebania nie jest moją własnością. Ja nie mogę się jej wyzbyć. I jeżeli ja zapłacę tę karę, to znaczy, że uzurpuję sobie prawo własności, rozumiesz? A w księgach było wszędzie napisane, że plebania należy do skarbu państwa. A na budynku umieścili szyld: „administrowany przez Miejski Zakład Budynków Mieszkalnych”.

Wszystko to prowadziło do corocznych wizyt komornika. Komornik przychodził i zabierał. Wezmą radio, szafę, fortepian. Szacują wartość i później to licytują. Ale problem mieli taki, że nikt tego następnie nie chciał kupić. Bo ludzie wiedzieli, że to należało do parafii. Albo robiliśmy inaczej. Podstawialiśmy naszych parafian, którzy uczestniczyli w aukcjach i odkupywali nasze ruchomości. Tak było na przykład z szafami.

To wszystko doprowadziło do absurdu. Na przykład te 60 procent karnego podatku. To było niemożliwe do zapłacenia. Był to absurd. Albo braki uzasadnień przy wszelkich decyzjach administracyjnych. Nie napisali mi wprost: „nie zostaje ksiądz zatwierdzony, bo jest ksiądz wrogiem PRL-u”. Nie. Napisali: „nie uzasadnia się”. Cały system był oparty na fałszu i kłamstwie. Państwo jest wszechwładne. Może robić z obywatelem, co chce, zgnoić go, on i tak nie może się przed tym bronić.

W końcu absurd systemu sięgnął takich rozmiarów i takiej skali, że zaczęto się w tym gubić. Tych kar było tak dużo, że było niemożliwością je płacić. I władza też nie dawała już sobie z tym chaosem rady. Zdawała sobie sprawę, że jest śmieszna, skoro nie ma możliwości wyegzekwowania kar, które nakłada. Sterta dokumentów rosła, rosła, rosła. Państwo się ośmieszało. Wszystko już zabrali i co teraz mają jeszcze zabrać? Na plebanii pusto, nic już nie ma. Wobec tego, co się robi? Wobec tego czeka się na 22 lipca, bo to jest idealny dzień na amnestię. Wtedy przysyłano pisma o darowaniu niewykonanych kar. Władza okazywała „wspaniałomyślność”.

W siedemdziesiątym roku jest po prostu następna odwilż. Nikt nie prosi, a oni darują kary. I nie tylko. W 1971 roku zostałem wreszcie zatwierdzony na proboszcza parafii pod wezwaniem Ducha Świętego w Zabrzu. Nikt o to w tym momencie nie prosił. Na tę chwilę ksiądz Paweł Pyrchala czekał dziewięć lat.

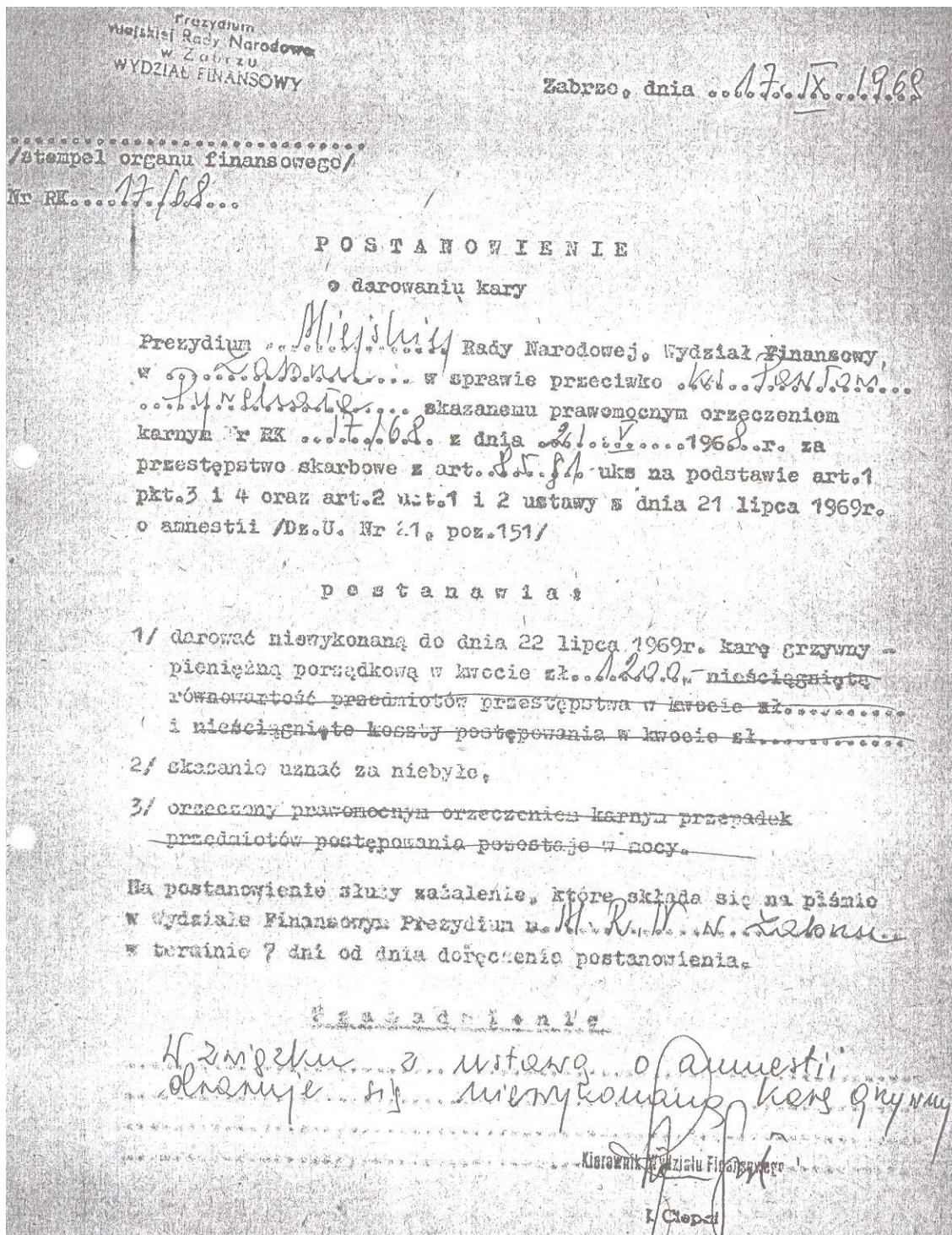
Prawo absurdu

Ksiądz prałat Kołodziej:

Czym można się było narazić władzy? Na pewno jedną z form było popełnienie jakiegoś wykroczenia pospolitego. Na przykład przekroczenie prędkości podczas jazdy samochodem. To momentalnie było wykorzystywane propagandowo przez władzę. Jeżeli to doszło do odpowiedniej komórki, zajmującej się duchownymi, to w odpowiedni sposób nas straszono różnymi następstwami tego wydarzenia. Próbowano też z różnych przesłanek czy poszlak sklecać jakieś zarzuty. Próbowano wmówić niektórym kontakty z kobietami. Lubili mieć po prostu jakiegoś haka na kogoś, jakiś kwit. Ale ja osobiście takich przygód nie miałem.

Nie tyle Kościół łamał prawo, co konkretni księża. Chcieli jak najlepiej pełnić swą służbę, ale jednocześnie nie mogli uniknąć narażenia się na absurdalne zarzuty wynikające z absurdalnych przepisów prawnych.

Ja sam łamałem to prawo wielokrotnie, kiedy już pod koniec lat sześćdziesiątych i w latach siedemdziesiątych byłem duszpasterzem akademickim. Wtedy, w każde wakacje jeździłem ze studentami na obozy czy rajdy. To było zabronione. Gdybyśmy spotkali na trasie służby, groziłoby to poważnymi powikłaniami i kłopotami. Dlatego też uczulałem studentów podczas wędrówek na szlakach górskich czy turystycznych, żeby nie wołali „proszę księdza”. To zwracało uwagę. Dlatego ja miałem zawsze jakiś przydomek, którego używano zwracając się do mnie. Miałem dość dużo takich wypadów, ale miałem też to szczęście, że nikt mnie nigdy nie przyłapał. Obyło się bez konsekwencji.



Dokument 7.

Zgodnie z powyższym dokumentem, pochodzącym co prawda nie z 22 lipca, a – nomen omen – 17 września, nałożona na księdza Pawła Pyrchałę kara grzywny uznaje zostanie za niebyłą.

Wśród młodzieży

Ksiądz infułat Paweł Pyrchała o swojej pracy wśród młodzieży i problemach z tym związanych:

Będąc jeszcze młodym wikarym, właśnie z racji swojego wieku, zostałem w sześćdziesiątym siódmym mianowany duszpasterzem młodzieży żeńskiej w diecezji opolskiej. Organizowałem duszpasterstwo młodzieżowe. Mogłem odprawiać nabożeństwa w całej Polsce, wszędzie. Nawet w lesie. Miałem od Episkopatu specjalne pozwolenia. I właśnie, gdy przebywałem często w terenie, władza próbowała mnie kontrolować. Bez przerwy. Podczas pielgrzymek, wycieczek, co ja z tą młodzieżą robię.

Niemniej, te wycieczki należały bez względu na trudności do bardzo przyjemnych. Jednak trzeba było pamiętać o żelaznej zasadzie, że nie używa się tytułu „ksiądz”, tylko „pan” lub „szef”. Dochodziło przez to niekiedy do całkiem śmiesznych sytuacji. Przypominam sobie jedną z nich. Kiedyś w Istebnej zwiedzaliśmy z młodzieżą pracownię tamtejszego artysty rzeźbiarza. Młodzież zgromadzona wokół artysty słuchała go, gdy objaśniał im swoje prace. Głównie o tematyce religijnej. Ja stałem z tyłu za młodzieżą, a artysta wyraźnie był w swym żywiole i z minuty na minutę się rozkręcał, aż zauważył: „bo teraz w szkole w Zabrzu pan wam o tym nie mówi, bo uczą was, że Pana Boga nie ma”. Młodzież uśmiechała się pod nosem i rzucała w moją stronę wymowne spojrzenia, co pewnie jeszcze bardziej utwierdzało artystę w przekonaniu, że ma rację i odważnie reprezentuje stanowisko Kościoła. Zdarzyło się jednak, że w czasie objaśnienia objawień Matki Boskiej w Fatimie nie mógł on sobie przypomnieć daty objawień i imion dzieci, którym objawiła się Matka Boska. Stojąc z tyłu odpowiedziałem: „1917 rok i Franek, Łucja, Hiacynta”. I wtedy nastąpiło wielkie zdziwienie artysty i skierowane zostało do mnie pytanie: „a pan się też interesuje religią?” Ktoś z młodzieży w końcu wygadał się, że jestem księdzem i wówczas rzeźbiarz ogromnie się speszył i mnie przeproszał, że uważał mnie za jakiegoś ateistę.

Ale nie zawsze było tak przyjemnie.

Wspominam jedną pielgrzymkę młodzieży żeńskiej na Górę świętej Anny. Pielgrzymki w to miejsce odbywałem z młodzieżą bardzo, ale to bardzo często. Ta, o której chcę opowiedzieć, miała miejsce już w latach osiemdziesiątych, może nawet w roku osiemdziesiątym. Były to ostatnie dni maja. Zaczynała się w sobotę popołudniu. Wcześniej kazałem jednemu z franciszkanów wywiesić na drzwiach domu pielgrzyma takie ogłoszenie, przygotowany przeze mnie plakat z planem dnia. O godzinie 17:00 przywitanie w bazylice, o 18:00 msza święta, przejście do Poręby, droga krzyżowa, nabożeństwo, wieczorne nabożeństwo. Na drugi dzień suma, kazanie biskupa, a po południu, o godzinie 14:00 – wykład pani doktor i wyświetlanie filmu. Franciszkanin napisał ten plan na maszynie i powiesił we wskazanym miejscu. Przychodzę tam wieczorem, a ten franciszkanin mówi mi, że było tutaj dwóch panów i pytali się, gdzie jest ta pani doktor. Kto to jest? I jaki film będzie wyświetlany? Franciszkanin powiedział, żeby zapytać się odpowiedzialnego, czyli kierownika Wydziału Duszpasterskiego z Opola. Czyli mnie, bo ja od 1978 roku byłem tym kierownikiem. Ale do mnie później osobiście nikt nie przyszedł. Ja wtedy tylko pomyślałem: „zaczyna być źle”. Szybko zerwałem ten plakat. Starym, wypróbowanym sposobem, zmodyfikowałem plan dnia i zamiast wykładu pani doktor, napisałem „nabożeństwo”.

Plan był taki... Gdy nadeszła godzina 14:00 w niedzielę, powiedziałem tej pani, żeby stanęła za ołtarzem. Ja rozpocząłem odprawiać nabożeństwo. Odmówiliśmy kilka modlitw i zapowiedziałem panią doktor. Bez przedstawiania, nie wymieniałem żadnych nazwisk. Jej wcześniej nie wtajemniczałem, nie chciałem, żeby się przestraszyła. Ona wyszła, rozmawiała z młodzieżą, miała bardzo ładny wykład. Ja w jego trakcie wyszedłem, udałem się do groty. Wykład się w międzyczasie skończył. Wróciłem na miejsce „nabożeństwa” z zamiarem podziękowania pani doktor i odwiezienia jej autem do Zabrze. Co się okazało? Ona godzinę temu już poszła. Zaraz po wykładzie. I wyszło na to, że ja się spóźniłem.

- Co w tym czasie robili ci funkcjonariusze?

No i słuchaj. Później skontaktowałem się z tą panią doktor poprzez księdza Herberta Hlubka, duszpasterza młodzieży akademickiej. Powiedziałem: „Herbert, to takie przykre, bo chciałem podziękować, a nie zdążyłem”. On mnie z nią skontaktował. Pojechałem do Katowic, do Akademii. A ona do mnie od progu: „księżu! Co ja przeżyłam!” I nastąpiła opowieść.

Fotografia 6.

Pielgrzymka młodzieży na Górę świętej Anny. W prawym górnym rogu stoi mój rozmówca, ówczesny duszpasterz młodzieży żeńskiej, ksiądz Paweł Pyrchala.



Ponieważ się spieszyła, zapytała jakichś mężczyzn stojących przy samochodzie, czy jadą na dworzec. Odpowiedzieli, że tak. Wobec tego zabrała się z nimi. Było ich trzech, łącznie z kierowcą. Ten, co siedział obok niej, zaczął sobie trochę „pozawalać”. Zapytali ją, dokąd jedzie. Powiedziała, że do Katowic. Oni jechali do Strzelec Opolskich. Byli lekko pijani. W końcu zaczęła coś podejrzewać. Zapytała, co oni w ogóle robili na pielgrzymce dziewcząt. Gdy nie uzyskała żadnej odpowiedzi, w końcu zirytowała się i chciała wysiąść. I wyskoczyła w końcu z tekstem, że jest z Katowic, ale... służbowo. Wiadomo, co miało to znaczyć. Służbowo?! Oni się śmiertelnie przestraszyli. Okazało się, że oni są... służbowo, ale z Opola, z Wydziału do spraw Wyznań. Pani nie ma samochodu? Jak to? Pani nie jedzie na pociąg! Panie kierowco, my panią odwieziemy do Katowic. Jak to możliwe, że pani nie ma służbowego samochodu? Ona teraz już przestraszyła się nie na żarty, bo zorientowała się, że wpadła w ręce partyjnych. Wymyśliła wyjście. Powiedziała: „muszę jeszcze do babci”. Wypuścili ją na chwilę we wskazanej miejscowości. Ona biegiem uciekła. Już nie wróciła w umówione miejsce. I widzisz? Bezpieka z Opola śledziła tę pielgrzymkę. Polowali pewnie na studentów. Jeżeli jakiś student był na pielgrzymce, musiał się liczyć z konsekwencjami.

To była doktor Krystyna Rożek-Lesiak.

Ksiądz do dzisiaj wspomina tę sytuację i jej trzeźwy umysł, dzięki któremu udało się jej wydostać z opresji. Nigdzie nie mogło być bezpiecznie, skoro nawet na żeńską pielgrzymkę zawitali funkcjonariusze z wydziału wyznaniowego. „Nigdzie nie mogło być bezpiecznie” – to zresztą chyba odpowiednie słowa na podsumowanie tego rozdziału, opisującego jeden z największych konfliktów XX-wiecznej Polski. Konfliktu między Kościołem a ateistyczną władzą świecką, między prawdą a zakłamaniem, między dobrem i pozorowaniem dobra...

- 70 -

Dał pozwolenie. To się skończyło zaraz w roku pięćdziesiątym dziewiątym, sześćdziesiątym. I było jeszcze pozwolenie, że można było chodzić do szkoły, że nauka religii była w szkole! Było to tak jak teraz, no, że księża, proszę uczyć w szkole. Ale do roku sześćdziesiątego. A już poczynszy od roku sześćdziesiątego zaczęto usuwać religię ze szkół. I to znaczy, że gdy ja dopiero w sześćdziesiątym trzecim zostałem wyświęcony, to ja już tylko uczyłem w salkach... W salkach i przy kościele. I tak to trwało aż do czasów bardziej współczesnych. W sześćdziesiątym trzecim roku już prawie w całej Polsce nie było takiej szkoły, gdzie jeszcze nauczano by normalnie religii. Wszystko przy salkach, przy kościołach się uczyło. I stan takiej walki z Kościołem już im dalej w czasy gomułkowskie, tym bardziej zaostrzał się.

1 kwietnia 1949 roku wprowadzono nieformalny zakaz zawierania ślubów kościelnych dla oficerów i podoficerów zawodowych wojska. I nie był to primaaprilisowy żart. Później rozciągnięto go także na innych funkcjonariuszy państwowych. Ksiądz Brunon tak komentuje konsekwencje tego posunięcia:

Przede wszystkim kluczową sprawą jest tutaj zrozumienie faktu, że nam nikt nie zakazał udzielania tych sakramentów funkcjonariuszom partyjnym. Nikt nie miał takiego prawa. Zakazali im, ale my [Kościół] nie musieliśmy się do tego stosować. To były sprawy poufne, wewnątrz partii, tego nigdzie nie ogłaszano, absolutnie nie. Kościół oczywiście tam swoimi kanałami się o tych decyzjach dowiedział, szybciej niż partia mogła przypuszczać. Ale nie były te decyzje, jak mówiłem, głoszone oficjalnie.

Pierwszy sygnał świadczący o gotowości władzy do kompromisu nadszedł 14 kwietnia 1950 roku. Kościół zyskał teoretyczne prawo do nauczania religii w szkołach, duszpasterstwa w wojsku, szpitalach i więzieniach, kontynuacji działalności Katowickiego Uniwersytetu Lubelskiego, prawo do pracy dobroczynnej i katechetycznej, wydawania pism katolickich, nauki w seminariach. W dużej części porozumienie zostało na papierze, a władza łamała przyjęte zobowiązania. 4 czerwca 1953 kardynał Wyszyński podczas uroczystości Bożego Ciała w Warszawie zaprotestował przeciw tym praktykom bardzo wymownymi słowami: „Należy oddać, co jest Cezara Cesarowi, a co Bożego – Bogu. A gdy Cezar siada na ołtarzu, to mówimy krótko: nie wolno!”

Zakazu dla księży, że im nie wolno takiego czegoś udzielać, nie było. Nie było może jakiegoś oficjalnego dokumentu w tej kwestii, na który można się było w razie czego powoływać. Polegało to tylko na tym, że gdy coś było na rzeczy, to wtedy, gdy partia się dowiedziała, ktoś, kto miał jakąś większą fuchę, był na przykład sekretarzem (a tacy sekretarze partyjni to byli na każdej wiosce) to miał z tego powodu kłopoty. Miał kłopoty, żeby na przykład wziąć ślub, ochrzcić dziecko. Zaraz się na nich krzywo patrzono. Jak to? Partyjni, a chrzci? A ślub bierze?!

Muszę przyznać, że z początku o tym nie pomyślałem. Ale ksiądz Brunon Ploch ma rację. Co z tego, że władza zakazała tego czy tamtego służbom mundurowym czy członkom partii. Kościół nie miał obowiązku się do tego stosować. Wręcz nie mógł, jeżeli nadal chciał być punktem scalającym polską opozycję, najjaśniejszym obrońcą polskich tradycji.

Ja miałem raz taki jeden charakterystyczny wypadek, kiedy umarł sekretarz partyjny okolicznego zakładu pracy. Ja miałem odprawiać pogrzeb, ale rodzina była wtedy w szantażu. I szantaż był natury materialnej. Normalnie, wdowa dostalaby po mężu rentę, ale wtedy musiał odbyć się tylko pogrzeb bez księdza. Inaczej, ona tych pieniędzy po nim nie dostanie. Ale wycofanie się z pogrzebu z księdzem było nierealne – przecież tego sekretarza każdej niedzieli widziano w kościele! To był katolik! To zupełnie było niemożliwe. Żona powiedziała, że absolutnie nie wyraża zgody na żądania partii. Jakie sankcje będą, takie będą. I wówczas doszło zgodnie z planem do pogrzebu z udziałem księdza. I mało tego! Rada zakładowa jego zakładu, tego, w którym pracował, postanowiła wypłacać żonie tę rentę! To miał być więc tylko szantaż, tylko próba zastraszania. A żona się nie ugięła.

Nie pierwszy i nie ostatni przypadek gróźb bez pokrycia ze strony partii. Czasami odnoszę wrażenie, że podziały występujące wówczas u Polaków nie mogły być bardziej sztuczne. W obliczu faktu, że czołowi funkcjonariusze partyjni, może nie na szczeblu państwowym, ale regionalnym, szerzyli we własnych szeregach działalność prokatolicką, trudno o rozsądne wytłumaczenie dla

koncepcji „państwowego ateizmu”. Przypomniała mi się także *à propos* pogrzebów inna historia, którą opowiadał mi ksiądz infułat Paweł Pyrchala, a rzecz działa się w latach pięćdziesiątych:

Mieszkał tu w Zabrze taki pan Tombalski. Przed wojną był wielkim działaczem, szanowanym członkiem Polskiej Partii Socjalistycznej, bojownikiem o polskość Śląska. Oczywiście był też człowiekiem wierzącym. Przewodniczył Radzie Parafialnej w kościele świętego Józefa. W sposób automatyczny, po kongresie zjednoczeniowym Polskiej Partii Robotniczej i Polskiej Partii Socjalistycznej, Tombalski stał się w grudniu 1948 roku członkiem PZPR. W latach pięćdziesiątych zmarł. Wystąpił problem pogrzebu. Był partyjny. Partia nie chciała się zgodzić na udział księdza i ostatecznie się rzeczywiście nie zgodziła. Odbyla się uroczystość w wydaniu partyjnym. Żona była tak załamana i zastraszona, że na to wszystko się zgodziła. Zaakceptowała pogrzeb bez księdza. Później miała wyrzuty sumienia... Zachorowała psychicznie...

Nie wszyscy mieli w sobie wystarczająco dużo siły, by przeciwstawić się żądaniom komunistycznych urzędników. Wracam do rozmowy z księdzem Brunonem Plochem, którego słowa potwierdzają moje tezy dotyczące niemożności realizacji gróźb wysuwanych przez partię:

W swoim życiu na pewno kilka razy udzielałem ślubów milicjantom, czy też ochrzciłem wiele dzieci milicjantów. Lub udzielałem sakramentów młodym, którzy oboje byli członkami partii. I oni, jak chcieli wziąć ślub, to raczej nie [robili tego] w swojej parafii. Bo jak brali w swojej parafii [ślub], to było o tym głośno i dużo mówiono. Więc ja miałem ludzi z różnych miejscowości tu w regionie, którzy przyjeżdżali do Kamienia [Śląskiego], a mieszkali w Raciborzu, czy w Krapkowicach. Czy to moi znajomi z lat szkolnych, czy w ogóle nieznani ludzie, którzy formalności załatwiali tutaj, byle dalej od swojej rodzinnej miejscowości. Przyjeżdżali wieczorem, dzień wcześniej zgłaszali chęć zawarcia małżeństwa i potem, oczywiście przy zamkniętych drzwiach udzielałem im potajemnego ślubu. Potem wpisywałem ten fakt do ksiąg i sprawa była załatwiona.

Ostateczny argument na to, jak bardzo bezsilna i skompromitowana mogła być władza wobec wiary pokazuje dalszy ciąg opowieści księdza Plocha:

Inny przypadek, o którym wiem – bo sam ten ślub dawałem, miał miejsce właśnie w Kamieniu Śląskim. Kamień słynie z tego, że jest tam lotnisko wojskowe. Tam, każdego roku przyjeżdżali różni wojskowi na to lotnisko, na jakieś manewry, szkolenia. Także od marca do października przebywali tam lotnicy, którzy musieli oblatać wszystkie lotniska. I to byli przeważnie polscy żołnierze. Dwa razy tylko za mojej bytności tam stacjonowały wojska radzieckie. Przyjeżdżali, wiadomo, piloci już z wyższą rangą, wszyscy oficerowie. A ta obsługa – wiadomo – niższe stopnie. Ale ci oficerowie niektórzy też byli młodzi, no i jeden z nich zakochał się po prostu tutaj w dziewczynie z Kamienia. I wiem, że do dzisiaj tam żyją, dobrze im się wiedzie. No ale wtedy zdecydowali się oczywiście wziąć ślub kościelny. On był katolikiem. Ona oczywiście też, bo dziewczyna miejscowa. No i trzeba było pozatławić te wszystkie sprawy. Jak to będzie? On mówił, że kłopoty będą, ale co tam. Do ślubu doszło... Ale nie dało się zachować tego w tajemnicy.

Po ślubie zebrała się na lotnisku rozwrzeszczana egzekutywa. Jakim prawem?! Jakim prawem on bierze ślub kościelny? Chcieli go tam osądzić. Jakim prawem on zrobił to, i jeszcze tak oficjalnie, tutaj, kiedy cała jednostka wojska przebywa na manewrach w Kamieniu. On tylko powiedział jedno: „Panowie! Co będziemy długo dyskutować? Niech pośród was wstanie taki, który nie ma ślubu kościelnego.” Ani jeden nie wstał. Ani jeden! To o czym my dyskutujemy? I w taki sposób sprawa się zamknęła. I tak jak mówię, on się potem przeniósł do niej, zamieszkał u niej, wybudowali sobie później dom. On, ma się rozumieć, dalej służył w wojsku. Teraz jest już na emeryturze. Mają dwójkę synów, obaj żonaci.

Także tacy byli nasi sekretarze. Przeważnie. Oni mieli zakaz, ale to wszystko robiło się potajemnie. Ci, co prosili, ci, którym zależało, to dostali zawsze ślub. Im grożono, ich zawsze straszono, ale w rzeczywistości, z tego, co mi wiadomo, to nie było żadnego wypadku, żeby ktoś za to został wydalony czy to z partii, czy z sekretarstwa za to, że ochrzcił dziecko na przykład. Za takie coś nie wyrzucano. Przynajmniej nic mi o tym nie wiadomo. Co najwyżej nie dostał może jakiejś nagrody czy innej premii, może został ukarany naganą, ale to było wszystko. Potem nadal funkcjonował, jak dawniej.

Ksiądz Brunon uporczywie zaznacza, że oczywiście nie o wszystkich wypadkach jest w stanie wiedzieć. Niestety, mimo niewykonawalności gróźb wygłaszanych przez partię, wielu ludzi nadal się bało, nadal oddalało od wiary.

Myśmy mieli i mamy ludzi, choćby i byli niepraktykujący, którzy są zawsze przychylni. Byli i są ludzie, którzy walczą z Kościołem. Ale jak się ich pyta o powód, to mówią, że ten czy tamten ksiądz im się nie podoba. No ale to walczą z tym konkretnym księdzem, a nie z Kościołem! Jeżeli jeden ksiądz zrobił coś złe, to tak jak dzisiaj, uważają, że cały Kościół jest zły. Utożsamiają jednego księdza z całym Kościołem. Tak samo jeżeli jeden milicjant był zły, nie znaczy, że wszyscy tacy byli. Tak nie można. Zawsze zdarzają się i ludzie wzorowi, i zakały. Bo pamiętajmy, że stan kapłański nie wynosi nas ponad stan ludzki. To nieprawda. I wśród księży także zdarzały się i zdarzają czarne owce. A wśród partyjnych byli i porządni ludzie.

Odwilż w wydaniu Gierka

Ksiądz Brunon Ploch mówi dalej, tym razem o mniej zamierchłej przeszłości:

Do roku siedemdziesiątego było z nami bardzo krucho. W roku siedemdziesiątym nastąpiła pewna zmiana. Jak przyszedł Gierek, to była ulga. Gierek chciał sobie zyskać Kościół, szczególnie w obliczu strajków, które rozlały się od Trójmiasta i Szczecina po całej Polsce. Po prostu gospodarczo zajechali kraj, co zrodziło bunt. Wszędzie jeździł, pytając „pomożecie?” i wszędzie słyszał odpowiedź „pomożemy”. No więc właśnie on, chcąc zyskać sobie przynajmniej Kościół tutaj, na Zachodzie, dał możliwość teraz przepisania tego, co było kościelne, na własność.

Jak wiadomo i jak już o tym wielokrotnie pisałem, mienie kościelne na Ziemiach Odzyskanych zostało po wojnie upaństwowione. Teraz nadarzyła się szansa zwrotu Kościołowi zagarniętych własności.

Ale nie wszystkiego! I tu już podaję konkretny przykład. Można było przejąć na własność tylko te tereny, które Kościół używał. I na przykład mój kościół w Kamieniu Śląskim miał oprócz kościoła i plebani dość sporą działkę, na których między innymi ten kościół i plebania stały. A oprócz tego jakieś sto morgów pola, to by było około 25 hektarów pola. Ponieważ kościół ich w tym czasie nie używał, nie było możliwości otrzymania ich z powrotem. Tylko była ta klauzula taka, że można przejąć tylko to, co Kościół w danym momencie używał, a Kościół używał tylko tego, co było niezbędne, czyli świątyni i plebani. A pola albo wynajmowaliśmy ludziom, albo, jak na przykład u mnie w Kamieniu Śląskim, gdy poszerzano lotnisko i wysiedlano ludzi, to w ramach rekompensaty oddawano im tę ziemię Kościoła. Więc żadna parafia by tych ludzi przecież z tym ziem nie wysiedliła, nie ma mowy. I w ten sposób te pola parafialne, one wszystkie przeszły na skarb państwa. Bardzo, bardzo rzadko zdarzało się, że władza odstąpiła kilka hektarów na budowę seminarium. Bo w końcu chodziło o „produkcję” kleryków. Ale to wyjątki. Od tego czasu Kościół był właścicielem.

Ale ta wojna państwa z Kościołem trwała nadal. To znaczy wojna... Gdyby państwo, gdyby naród nie był religijny, to by i Kościół niewiele miał szansę zrobić. Tylko mieliśmy, czuliśmy cały czas to poparcie narodu. A oni wiedząc to, chcieli zyskać naród poprzez Kościół. Taka była taktyka.

„Krok w tył, dwa kroki naprzód”. I w tym miejscu raczej upada mit o bezinteresownym charakterze państwowych „odwilży”.

Odprężenie podatkowe

Odzyskanie przez administrację kościelną przedwojennej własności to nie jedyny pożytek płynący z gierkowskiej pierestrojki.

Ważne też, że ta ulga w stosunkach z Kościołem dała nam możliwość płacenia tylko tego jednego podatku, podatku od nieruchomości. I to chodziło o ten obszar: plebanie, kościoły. Z tym, że oni chcieli podpisać z nami umowę. To była specjalna umowa. Im tylko na tym zależało, zależało im na podpisie. Wtedy, zgodnie z tą umową, płacilibyśmy jako księża tylko symboliczną złotówkę. A oni chcieli te umowy przedstawić Episkopatowi, żeby nas poróżnić. Bo Episkopat się tym umowom sprzeciwiał i nie chciał, byśmy je parafowali. A władza chciała te umowy mieć, żeby nas poróżnić, żeby móc powiedzieć biskupom: „księża są za, księża

podpisali”. Ale nie zdążyli tego zrobić, choć naciski były ogromne. No i niektórzy księża nie wytrzymali tej presji, byli tacy, którzy podpisali te umowy. Ale władza tego nie ogłaszała, dopóki nie miała wszystkich umów. Oni ciągle latali po parafiach i naciskali, ale nie ogłaszali, ile mają umów. Może nie codziennie, ale przynajmniej raz czy dwa razy w tygodniu oni byli na parafii po to, żeby psychicznie, moralnie naciskać na danego księdza, żeby to ostatecznie wziął i podpisał. A w tym czasie było to prawie, że niemożliwe, bo już doszłoby do potężnego rozdźwięku między biskupami a księżmi. A trzeba to podkreślić, że większość, no zdecydowana większość księży była za Episkopatem. Można by powiedzieć, że około 95 procent. A były wypadki, że słaby uległ, a było i tak, że sami księża byli przeciwko Kościołowi. Wówczas oni byli faworyzowani przez rząd.

Potem, już w okolicach 1989 roku, gdy była zupełna wolność biskupi dali tym „księżom-patriotom” szansę oczyszczenia się, rehabilitacji. Jeżeli taki ksiądz sam się zgłosił do biskupa, wyraził skruchę, uznał że popełnił błąd, to biskup go przyjął. Pozwalał dalej pracować. Choć nakaz był ostry... Ale biskup wybaczał. Bo nad księdzem jest jednak biskup, oczywiście w drugiej kolejności naród, ale jeżeli chodzi o wymiar religijny to biskup, a nie żaden rząd.

Władza w konfesjonale

- Konfesjonał to chyba najbardziej wiarygodne źródło wiedzy o PRL. Często zdarzało się księdzu spowiadać funkcjonariuszy państwowych? Odpowiada ksiądz Brunon Ploch.

Sprawa przystępowania do sakramentu pokuty przez funkcjonariuszy PRL jest bardzo delikatna. Obowiązuje mnie tajemnica spowiedzi, więc nie mogę zdradzić szczegółów. Natomiast takie osoby były. One często spowiadały się w innych miejscowościach, poza miejscem zamieszkania. Albo przyjeżdżali nieraz, prosili o zorganizowanie indywidualnej spowiedzi, poza terminem. Takie wypadki były. A nieraz, z charakteru spowiedzi wynikało, z kim ma się do czynienia. Ta osoba nie musiała mówić wprost. Pod tym względem, na pewno ci ludzie przystępowali do spowiedzi. A już na pewno, gdy jakieś sakramenty przyjmowali członkowie jego rodziny lub, gdy on sam brał ślub na przykład. Oni, ci ludzie zawsze mogli się cieszyć jakąś opieką Kościoła pod tym względem. A pamiętam też taką sytuację, kiedy jeden z partyjnych jechał na ślub kościelny służbowym samochodem, i to z szoferem! Ale jeżeli chodzi o tą spowiedź, były takie wypadki, i to w różnych, naprawdę różnych okolicznościach. Ale na ten temat więcej nie mogę mówić.

Wierzący ateści

Ksiądz prałat Konrad Kołodziej również doświadczał w różnych wypadkach dobroci od komunistów. Kiedy?

Najczęściej przy załatwianiu różnych spraw związanych z przyjęciem sakramentu świętego, spotykało się w cztery oczy z ludźmi partyjnymi, którzy tak naprawdę byli wierzący i chodzili do kościoła. Także i oni potrzebowali przecież ochrzcić dziecko, posłać je do Komunii Świętej, czy nawet wziąć ślub. Są to sprawy objęte pewną tajemnicą. Mogę powiedzieć, że jak najbardziej takie przypadki były. Te osoby różnie się tłumaczyły. Że są w sercu wierzący, że ich rodzice byli wierzący, a nie mogą uzewnętrzniać swoich przekonań religijnych, bo straciliby pracę.

- Czy rzeczywiście wierzył ksiądz w to, że straciliby pracę?

Myślę, że nie. Nie. Raczej nie było takiej możliwości. Choć trudno mi jednoznacznie to powiedzieć. Dziś przypominam sobie pewną rozmowę z pewnym oficerem, moim parafianinem, który był wojskowym i który pomimo swojego wysokiego stanowiska w wojsku ludowym, nigdy nie zapierał się swojej wiary, nigdy tego nie ukrywał. I nikt go nie zwalniał. Choć przypadki trzeba byłoby rozpatrywać indywidualnie.

Chcę bardzo jasno powiedzieć, że byli i w tamtym czasie ludzie, którzy starali się Kościołowi pomóc. Partyjni. Ja szczególnie zabiegałem o takie poparcie właśnie przy budowie kościoła na Sikorniku (patrz rozdział IV). W spotkaniach z różnymi przedstawicielami władzy próbowałem szukać tego zaplecza, by po prostu ułatwić sobie zdobywanie materiałów potrzebnych do prac. I mogę powiedzieć ogólnie, że nigdy nie spotkałem się z jakimś wyraźnym sprzeciwem w tych rozmowach prywatnych. Ludzie byli przychylni. „A, tu przyszedł ksiądz. No

to będziemy szukać jakichś możliwości, sposobu, żeby księdzu pomóc”. Tak z reguły bywało. Mimo nieprzychylnego systemu, to ludzie w tymże systemie nie zawsze byli źli.

Nawet znam taki przypadek, z własnego podwórka, gdy jeden z moich współpracowników jechał traktorem po materiały budowlane i został zatrzymany na drodze przez milicję. Teraz już nie pamiętam dokładnie, czy nie miał dokumentów czy zapomniał. Chodziło o dowód rejestracyjny traktora. Ale wtedy zdradził, że wiezie materiały na budowę kościoła, i przedstawiciel władzy okazał się bardzo wyrozumiały. Nie wyciągnął z tego powodu żadnych konsekwencji.

Zauważyłem, że mimo wszystko współpracownik księdza Kołodzieja podjął duże ryzyko, wyjawiając cel swojej podróży. Ksiądz uśmiechnął się lekko i powiedział: no tak.

Karabiny w kościele

Niezwykły epizod, jaki przytoczył mi ksiądz infułat Paweł Pyrchała, świadczy w sposób najdobitniejszy z możliwych, jak sztuczne są stereotypy w rodzaju: jak w mundurze, to ateista.

Może w jakiś tydzień po ogłoszeniu stanu wojennego miało miejsce takie oto wydarzenie. Przed świętami Bożego Narodzenia miałem przed konfesjonalem kilometrowe wręcz kolejki osób pragnących się wyspowiadać. Wtedy nagle podszedł do mnie do konfesjonahu ktoś ze służby kościelnej. Wywołał mnie i powiedział, że tam koło zakrystii czekają na mnie jacyś żołnierze i ja mam się do nich zgłosić. Przeprosiłem więc wiernych i pełen najczarniejszych obaw udałem się we wskazane miejsce. Istotnie, w krypcie napotkałem dwóch żołnierzy w bojowym rynsztunku. Ale okazało się na szczęście, że obawiałem się niepotrzebnie. Celem ich wizyty nie było aresztowanie mnie. Gdy do nich podszedłem, powiedzieli: „księżu, my także jesteśmy wierzącymi katolikami, nie zgadzamy się z tym, co robią komuniści i stoimy po stronie prześladowanych. Chcielibyśmy też spędzić święta w domu z rodziną, a nie mogąc chcemy się przynajmniej wyspowiadać i przyjąć komunię świętą. Niech ksiądz nam pomoże i spełni naszą prośbę, ale by inni nas nie widzieli, bo jesteśmy na służbie i kontrolowani, a nasi przełożeni, słuźbiści nam na to nie pozwalają”.

I wówczas w krypcie za filarem odbyła się spowiedź niezwykła. Jak dziwnie musiało to wyglądać, jak cudacznie: klęczący żołnierz opierał się o karabin i z niekłamaną wiarą przyjmował ten sakrament pojednania. A spoza filarów, gdzieś z innych części kościoła zerkali niektórzy ludzie myśląc: „co też oni zamierzają zrobić z naszym księdzem?” Potem jeszcze tylko udzieliłem im w krypcie komunii świętej, bo przy balaskach nie chcieli podpaść. I natychmiast wyczułem w ich sercach tę bożonarodzeniową radość. Radość zmarnowanych żołnierzy, którzy nawet w stanie wojennym pragną przeżywać to wielkie święto.

Miękkie serce komendanta

Wydaje mi się, że warto przytoczyć opowieść księdza Pawła Pyrchały, dotyczącą pośrednio komendanta zabrzańskiego obozu dla internowanych i tego, jak wyglądało życie za murami. Oto, jak mogło wyglądać życie religijne w takim miejscu, jak obóz dla internowanych. Jak mogło...

Jedną z osób, jakie miałem okazję poznać w czasie stanu wojennego była pani Maja Komorowska. Pracowała społecznie w Prymasowskim Komitecie Pomocy Osobom Pozbawionym Wolności i Ich Rodzinom w Warszawie. Któregoś dnia, wraz z pewną przedstawicielką angielskiej organizacji kobiecej przyjechała do Zabrza, żeby odwiedzić obóz dla mężczyzn w Zabrze, gdzie ja byłem kapelanem i obóz dla internowanych kobiet w Bytomiu-Miechowicach. Gdy wiozłem obie panie do obozu i zabrakło paliwa (które było oczywiście na talony), na stacji benzynowej wystarczyło tylko powiedzieć, że jadę z panią Mają Komorowską do obozu dla internowanych. Natychmiast dolano nam płynu.

Wreszcie dojechaliśmy na miejsce i zaparkowaliśmy w Bytomiu-Miechowicach, przed obozem dla kobiet. W samochodzie, z powodu braku wymaganych dokumentów, pozostała obywatelka brytyjska. My wyjawiliśmy strażnikom cel naszej wizyty. Chcieliśmy się spotkać z więźniarkami i komendantem, aby upewnić się, czy są zaspokojone ich potrzeby religijne zagwarantowane przez konstytucję PRL. Po umożliwieniu nam spotkania z internowanymi kobietami przeprowadziłem wspólną modlitwę i odmówiliśmy Anioł Pański. Później wygłosiłem krótką przemowę ku pokrzepieniu serc. O świętej Jadwidze, patronce kobiet.

Następnie oddałem głos pani Mai. Mówiła pięknie: „kobiety, mamy tu dwóch mężczyzn – jest pan komendant i ksiądz, czy naprawdę tego nie widzicie, że można by zorganizować jakąś szklankę herbaty? Przecież taka jest nasza rola: stworzyć rodzinny klimat”. I okazało się, że już też sam komendant temu przytakiwał i zapewnił, że oczywiście szklanki i herbata się znajdują. Potem pani Maja opowiadała o tym, jak ma się sytuacja w innych obozach, które odwiedziła. Zapewniała, że często słyszała legendy o bardzo ludzkim komendancie w Miechowicach i o jego szlachetności. I ciągnęła dalej: „panie komendancie, pan ma z pewnością żonę i matkę, a ja bym chciała zarecytować taki wspaniały wiersz. Niech pan komendant się nie obawia, nie będzie tam nic politycznego, żeby pan nie miał kłopotów ze swymi przełożonymi. Chciałabym tylko zadedykować pańskiej matce i żonie taki wspaniały wiersz księdza Twardowskiego o matce, będzie tam tylko piękna poezja”. No i nastąpiła wspaniała deklamacja wiersza o matce, autorstwa księdza Jana Twardowskiego. Komendant zdawał się być głęboko wzruszony.

Ja poczekam

Ksiądz Józef Dyllus nigdy nie szukał u władz zakulisowego poparcia. Mówi o tym bardzo jasno i zdecydowanie. Nie mógłby pogodzić się z aktem łaski władzy wobec Kościoła. Była to rzadko spotykana postawa, jeżeli chodzi o grono moich rozmówców.

Czy udało się coś załatwić u władzy? Nigdy żadnej rzeczy w ten sposób nie załatwiałem. Nieraz miałem taką możliwość, że mówiono mi „a gdyby ksiądz przyszedł, to byśmy księdzu dali”. Nie, nie, nie. Ja na to zawsze ripostowałem, że ja mam czas, ja poczekam na czasy, kiedy będzie można to czy tamto legalnie załatwić, legalnie kupić. Nigdy z władzą się nie układałem, żadnych machlojek nie robiłem, to z czasem i tak obracało się przeciwko księdzu, który na takie coś się zdecydował. Mój rozmówca twierdzi, że takie działanie i tak nie zdałoby egzaminu, bo każdy z urzędników był podwójnie obstawiony i często kontrolowany. Nie mógł sobie na wiele pozwolić. Także, mówię, sytuacje typu „my tu księdza zatwierdzimy na proboszcza, ale...” odrzucałem słowami: „spokojnie, ja poczekam na czasy, kiedy nie będę miał kłopotów z zatwierdzeniami, zezwoleniami i tak dalej”.

Dla chcącego, nic trudnego

Bernard Dybek, jako zwykły katolik, nie odczuł na swojej skórze antykościelnych ataków państwa. W imieniu ludzi takich jak on, mówi:

Kto chciał, mógł być dobrym katolikiem i spełniać swoje obowiązki jako katolik. I ja tak robiłem. Do Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej próbowano mnie wciągnąć dwukrotnie. Zrezygnowałem. Raz miałem nawet jakiś tam okres kandydacki, ale zrezygnowałem. Ślub kościelny wzięliśmy z żoną w Zabrze w pięćdziesiątym dziewiątym. Dzieci się porodziły, zostały ochrzczone. Na religię uczęszczały. Bierzmowane wszystkie były. Śluby kościelne pobrały. Także ja osobiście jako zwykły człowiek nie miałem problemów w swoim życiu religijnym. Nie miałem problemów z wyznawaniem wiary. W pracy tak samo nie miałem przez to trudności.

Ludzie na stanowiskach mieli problemy. Znam takich ludzi, którzy wyjeżdżali na małą wieś i w zamkniętym na klucz kościele otrzymywali ślub czy chrzest. Takich przypadków, nie da się ukryć, było wiele. Naprawdę. Osobiście tych ludzi nie znam, ale znam przypadki. Ale ja sam nie byłem zmuszony do stosowania żadnych tricków, by uniknąć represji. Obyło się bez przygód.

Walka z Kościołem była. Ale zależy, jak kto do tego podchodził. Jeżeli zdarzył się jakiś nadgorliwiec u władzy, to rzeczywiście robił na przekór. Tylko, że ja mam czyste sumienie. Nigdzie się nie pchałem. Nie angażowałem się. Proponowano mi, też w stanie wojennym, jakąś tajną działalność. Daj spokój, odpowiedziałem, mam rodzinę, dzieci, nigdzie się nie pcham. Ale jak mogłem, to pomagałem, wspierałem sprawę. Finansowo też.

Dyrektorzy, zastępcy, sztygarzy, kierownicy oddziałów musieli trzymać linię. Bo mogli rzeczywiście źle skończyć. Ale władza nie miała przede wszystkim możliwości by szykanować zwykłego obywatela za wiarę.

Czy miała chęci? Nawet jeśli tak, to nigdy chyba nie byłaby w stanie sprawować „rządu dusz” nad wiernymi, cel taki wydawałby się nierealny do osiągnięcia.

Sekretarz ze sztandarem

Dwulicowość systemu nierzadko prowadziła do sytuacji wręcz absurdalnych. Chyba najbardziej jaskrawym tego przykładem jest wspomnienie Augustyna Langerera:

Jednego z sekretarzy partii na mojej kopalni w Gliwicach-Sośnicy widziano raz w Bytomiu-Bobruku na procesji Bożego Ciała. Szedł ze sztandarem. A w pracy prześladował katolików. Później i śmiano się z niego, i robiono mu wyrzuty, bo niektórzy byli naprawdę wściekli, gdy się dowiedzieli o takiej dwulicowości. Z działaczami było w ogóle różnie. Jedni przymykali oczy, inni szkalowali za wiarę, jeszcze inni byli przychylni... po cichu. Strasznym szowinistą był mój dyrektor administracyjny na kopalni. Wyzywał kościół bez przerwy. Jeżeli wiedział, że ktoś chodzi do kościoła, był bardzo nieprzyjemny. Ale później i tak miał pogrzeb z księdzem.

I wszystko się pomieszało. Teraz sytuacja jest na tyle skomplikowana, że w sposób najszybszy rozwiązać ją mogą tylko radosno-dramatyczne wydarzenia, które nastąpiły po 1978 roku.

Światelko w tunelu

*„Pośród niesnasek Pan Bóg uderza w ogromny dzwon,
Dla słowiańskiego oto papieża otworzył tron”
(Juliusz Słowacki)*

Po wyborze arcybiskupa krakowskiego, kardynała Karola Wojtyły na papieża, stało się jasne, że imperium radzieckie otrzymało straszliwy cios w samo serce. Ostateczny upadek ateistycznego systemu, choć ciągle rysował się mgliście, w rzeczywistości był już o wiele bliższy niż jeszcze przed 16 października 1978 roku.

Na Śląsku kardynał Karol Wojtyła mógłby być postrzegany jako osoba ani szczególnie znana, ani popularna. Temu pogładowi z zapalem przeczy jednak pan Alojzy Gwóźdź, który przypomina, że arcybiskup z Krakowa aż dwanaście razy gościł na pielgrzymce mężczyzn do Piekar Śląskich. To zjednało mu sympatię wszystkich uczestniczących w tej tradycyjnej, mającej wieloletnią historię pielgrzymce. *Nie był u nas na pewno osobą obcą* – przekonuje pan Alojzy.

Tytuł, jaki nadałem temu rozdziałowi, może nieco mylić. Światelko w tunelu, a nawet nie światelko, ale olbrzymia pochodnia, rzeczywiście się pojawiło. Niemniej, dzieje opisane w tej części pracy wiodą nie tylko przez raj, ale i przede wszystkim „czyściec” – bo tak przez wielu moich rozmówców nazywamy jest stan wojenny.

Spiker widziany ostatni raz

Pierwsze wrażenia Alojzego Gwoździa? Fakt, jaki przytacza, będzie dobrym wprowadzeniem do tematu:

Wybór Karola Wojtyły na papieża pamiętam do dzisiaj. Pamiętam szczególnie jedną charakterystyczną rzecz. Pamiętam spikera „Dziennika Telewizyjnego”. Nie pamiętam, jak się nazywał, ale był to jego ostatni program. Gdy informował o wybraniu kardynała Wojtyły na papieża był bardzo wzruszony, mówił z przejęciem, nie była to sucha wzmianka. Po czymś takim musiał wylecieć. Nigdy więcej go nie widziałem. Potem po jakimś czasie nasze przypuszczenia zostały oficjalnie potwierdzone. Ten pan został zwolniony.

Papież na wsi. Idzie zjednoczenie

16 października 1978 roku byłem na mszy w filialnym kościele w Poznowicach – przypomina sobie ksiądz Brunon Ploch. – Mieliliśmy taki zwyczaj, że raz w tygodniu odprawialiśmy msze w kościołach filialnych. Z reguły po tych mszach graliśmy w swoim najbliższym gronie w skata – to taka śląska gra w karty. Z tego powodu wróciłem do domu tego dnia dopiero po godzinie 22:00. Wtedy dowiedziałem się o decyzji konklawe. Był to chyba

jeden z najszcześniejszych wieczorów w moim życiu. Siedzieliśmy z księżmi, z moją gospożą do późnej, późnej nocy, ciesząc się z wyboru. Ludzie na Śląsku, szczególnie autochtoni, przyjmowali ten fakt może trochę bardziej chłodno niż w innych częściach kraju. Ale również był widoczny olbrzymi szacunek dla Jana Pawła II, który był gwoździem do trumny systemu komunistycznego.

Podczas pielgrzymki papieża do Polski w 1983 roku byłem delegatem niosącym podarunek diecezjalny papieżowi. Było to na Górze świętej Anny, gdzie papież żartował, że po raz pierwszy w trakcie swojego pontyfikatu odwiedza wioskę. Znamienным był fakt, że w czasie, gdy organizowaliśmy tę pielgrzymkę, doszło do wspólnego spotkania organizacyjnego milicji, biskupa i księży. Arcybiskup Nossol zażartował wtedy, że po raz pierwszy pod jednym dachem milicja spotyka się z duchowieństwem z własnej woli. Zauważaliśmy już wtedy przychyłność władz. Nawet tej niewierzącej części.

Idzie zjednoczenie. Będzie trudne. Ale idzie.

Ksiądz prałat Kołodziej podsumowuje wybór Karola Wojtyły na papieża krótko:

Po wyborze papieża dało się zauważyć wzrost ilości wiernych, także i tych przyjmujących sakramenty, pokuty i Komunii Świętej.

Tryumfalny powrót świętej Barbary

5 października 1980 roku to ważna data w historii gliwickiej kopalni „Sośnica”. W tym dniu sukcesem uwiecznione zostały wieloletnie starania pracowników o sprowadzenie do zakładu figur świętej Barbary – patronki górników. Pomniki te zostały stamtąd usunięte tuż po zakończeniu II wojny światowej. W czasach, które teraz wspominamy, rodził się ruch „Solidarności”...

Chcieli, żebyśmy wstąpili – mówi Alojzy Gwóźdź. – Dużo znajomych wstąpiło do „Solidarności”. Ale myśmy byli zaangażowani bardzo w działalność przy kościele. I na tym się skupialiśmy. Zaangażowaliśmy się jednak w jedną zakrojoną na dość szeroką skalę akcję – procesyjny, uroczysty powrót figur świętej Barbary na kopalnię w Sośnicy. Pamiętam, było to 5 października 1980 roku. Tłumnie ludzie wtedy przybywali, by uczestniczyć w tej doniosłej uroczystości. Przygotowaliśmy nawet specjalny ołtarz.

Historia tych figur jest dość osobliwa. Krótko po wojnie zostały one usunięte z kopalni. W ogóle z kopalni. Dostały się w ręce prywatnych, życzliwych ludzi i tylko dzięki temu przetrwały cały ten czas. Do niektórych innych kopalni, na przykład kopalni „Gliwice”, powróciły obrazy, u nas akurat były figury. Obrazów ze świętą Barbarą nie mieliśmy.

Władze kopalni trochę próbowały nas straszyć, że co to będzie, tu jest niebezpiecznie, to jest zakład pracy, ludzie się po tym zakładzie rozleżą. A jak komuś się coś stanie? Kto będzie odpowiadał? Myśmy więc w swoim gronie zarządzili, że postaramy się o takie zielono-czarne opaski i myśmy musieli stworzyć ze swojego grona, a więc z grona naszej parafii czy górników, którzy chodzą do kościoła, taką straż. Żeby nam się ludzie nie porozchodzili. Bo dawniej na kopalnię absolutnie nie można było wejść. To była strefa przemysłowa. Teraz zresztą też nie można.

Problem stworzony przez władze kopalni miał tu akurat wymiar bardzo zdroworozsądkowy. Także i dzisiaj wejście na teren kopalni bez przepustki jest niemożliwe. A wtedy nie chodziło o indywidualną wizytę, a o tłumy ludzi podążających za świętą Barbarą. Pomyśl z ochotniczą strażą zadziałał i zgodę wydano.

Doprowadziliśmy więc wspólnymi siłami do tego, że te figury do nas powróciły. ORMO, organizacje partyjne wstrzymały oddech. Był rok, jak mówiłem, osiemdziesiąty. Tuż po wydarzeniach sierpniowych. Oni patrzyli, co się będzie dziać. Nie chcieli naciskać. Nie chcieli sprzeciwiać się na siłę woli ludzi i nowych związków zawodowych. Było w kraju spore zamieszanie. Bieda też doskwierała, półki były coraz bardziej puste. I oni nie chcieli wyrażać jakiegoś jawnego sprzeciwu, bo wiedzieli, że jest źle. Oni tylko czatowali za firanami, gdzieś na zewnątrz, obserwowali. Obserwowali i najprawdopodobniej robili notatki czy nagrania, które później mogliby wykorzystać. Natomiast w stanie wojennym oni znowu nabrali odwagi i siły.



Fotografia 7.

Tryumfalny powrót figury świętej Barbary na kopalnię. Na tym zdjęciu drugi z lewej to Ryszard Chwaszcza, górnik, który jako pierwszy rzucił hasło powrotu figur do zakładu.

- Czy fakt, że te figury powróciły na kopalnię akurat w roku osiemdziesiątym to zasługa „Solidarności”?

Nie, „Solidarność” była wówczas jeszcze bardzo słaba. Czemu na to pozwolono? Ja byłem kiedyś na jakimś zebraniu. Był październik. W niektórych miejscach kraju jeszcze trwały strajki, bądź właśnie zostały one ugaszone. Władze były jak gdyby przyparte do muru i chciały rozwiązywać problemy łagodnie, by nie dopuścić do ich dalszego rozprzestrzeniania się. Ja byłem na takim zebraniu, w którym brał udział jeden z charyzmatycznych górników, pamiętam nawet jego nazwisko – Ryszard Chwaszcza – on już nie żyje. On mówił: „jak to, to były kiedyś na kopalni figury świętej Barbary. One zostały wyrzucone. Dlaczego nie mogą powrócić?” Ktoś z dyrekcji wtedy powiedział, że mu te figury nie przeszkadzają. Jeżeli górnicy chcą się do nich pomodlić, to one mogą wrócić. Więc władza starała się w tym czasie nie prowokować kolejnych ognisk zapalnych. Zgadzała się na wiele. Zresztą przez cały rok osiemdziesiąty, bez przerwy, gdzieś trwał jakiś strajk.

- W jakim miejscu zostały ustawione te figury? W kaplicy?

Oficjalnie dyrekcja nie nakazała zrobić kaplicy. Ale, że było nas kilku, którzy to chcieli zrobić, to oni nie przeszkadzali. Myśmy się poradziło paru ludzi, którzy mają jakieś wyobrażenie o architekturze, jakby to można zrobić. Spotkaliśmy się. I ta kaplica została przygotowana. Na Polu Zachodnim do dzisiaj, w tym samym miejscu, stoi ta figura. To też jest coś!

To było coś. I to były na pewno bardzo podniosłe chwile dla wszystkich wierzących górników. Ale radość nie trwała długo, bo minął niewiele ponad rok, a nad Polską zawisła groźba bratobójczej walki.

Ksiądz wszystkowiedzący

O stanie wojennym w Gliwicach opowiada ksiądz dziekan Józef Dyllus:

W stanie wojennym mieliśmy tutaj wesoło. Zaraz nazajutrz odwiedził nas komisarz wojskowy. Poprosił, żebyśmy nie interesowali się internowanymi. A najfajniejsze było to, że on sobie nie zdawał sprawy z tego, że ja wszystko wiem. Ja byłem wtedy chory, nie rozmawiałem z nim osobiście. Ten komisarz straszył tylko wikarego. Ale w ciągu tygodnia już wiedzieliśmy, że nasi parafianie są przetrzymywani w Zabrze-Zaborzu. Wiedzieliśmy nawet którzy. Obok wspomnianego obozu znajdowała się górka. Dzieci zjeżdżały z niej na sankach. Któreś z nich znalazło pewnego dnia na śniegu jakąś paczkę. Było to mydło, ale było ono opakowane listami imiennymi osób internowanych w tym obozie. Ktoś je wyrzucił na zewnątrz. Skąd ksiądz wie?! – Mówili. Ich to strasznie męczyło, że ja wiem. Nie powiedziałem, skąd. Co więcej, opowiadałem mu potem o innych obozach dla internowanych. Mówiłem, że tu trzymają takich, a tam takich. A tu ZOMO ma koszary. Wojskowy był w szoku. Nie mógł sobie darować, nie wiedział, skąd mam taką wiedzę. A ja byłem też dobrym obserwatorem, raz przypadkiem wybadałem te koszary ZOMO. Śmiejemy się, ale to były bardzo przykre momenty dla ludzi, których w środku nocy wyrywano z domu do więzienia.

- Czy w ogóle w latach osiemdziesiątych czuł ksiądz, że ta presja wywierana na Kościół słabnie z dnia na dzień? Czy zaniechano jej stopniowo czy też dopiero w 1989 roku wszystko pękło i przełom nastąpił w sposób bardziej nagły, czy przełom miał konkretną datę?

Oni nigdy nie odpuścili. Do ostatniej chwili utrudniali życie Kościołowi. Ale w pewnym momencie zdali sobie sprawę, że strachem się ludzi nie podporządkuje i sami zaczęli się bać. Bali się tych tłumów. Bo Polacy poczuwszy od pięćdziesiątego szóstego roku, jak tylko system pierwszy raz okazał słabość, zyskiwali pewność siebie. I małymi krokami do przodu. To była też zresztą taktyka Prymasa Tysiąclecia. On zawsze mówił: „pomalutku, pomalutku”. Bez siły, bez przemocy, metodami pokojowymi osiągnie się więcej i to bez większych strat.

Ja zawsze starałem się widzieć palec Boży w tym wszystkim, co się dzieje. Im większy był nacisk na Kościół, tym ludzie bardziej lgnęli do Pana Boga. Ja na to patrzyłem inaczej. Oczywiście, cierpieć trzeba było, ale cierpienie jest poddaniem się woli Bożej. Jeżeli to cierpienie ofiaruje się w jakiejś intencji, to przyniesie ono owoc. Były ofiary. Ale one przyniosły swój owoc i w efekcie późniejszą wolność Kościoła.

13 grudnia

Chyba najżywsze i najbarwniejsze wspomnienia księdza infułata Pawła Pyrchały dotyczą stanu wojennego. Nic dziwnego, bo z tamtego okresu ksiądz uzbierał najwięcej pamiątek, a ze swej postawy i działalności w tym trudnym okresie może być szczególnie dumny. Swym zaangażowaniem w tych dniach zaskarbił sobie wdzięczność i szacunek wielu ludzi.

Kiedy przyszedłem na poranną mszę na 6:30, czekała na mnie grupka kobiet, których mężów czy synów zabrano w nocy z domów i gdzieś wywieziono, pewnie internowano. Od nich dowiedziałem się, że w ogóle coś się stało, że jest jakiś stan wojenny. A one czekały. Czekwały i chciały, żebym ja coś przedsięwziął, oczekiwały jakiejś reakcji ode mnie. Protestu, słów potępienia dla tej sytuacji, jaka zaistniała. Ostrych słów z ambony. Odpowiedziałem tylko, że

Oficjalne stanowisko Kościoła względem stanu wojennego wyraził 13 grudnia 1981 roku prymas kardynał Józef Glemp: „Możemy się oburzać, krzyczeć [...] protestować przeciw naruszeniu praw obywatelskich [...] jednak może to nie przynieść rezultatu, bo władza w stanie wojennym nie jest [...] władzą dialogu [...] Pozostaje wszakże sprawa najważniejsza: ratowanie życia i obrona przed rozlewem krwi [...] Będę prosił, nawet gdybym miał boso iść i na kolanach błagać: nie podejmujcie walki Polak przeciwko Polakowi [...] Każda głowa i każda para rąk bezcenne będą dla odbudowania tej Polski, jaka będzie i jaka być musi po zakończeniu stanu wojennego”.

jedyną i najlepszą chyba rzeczą, jaką jesteśmy w stanie w tej chwili zrobić to w skupieniu, porządnie odprawić mszę świętą i po prostu oddać sprawy w Boże ręce, modlić się. A komunikat Episkopatu na pewno nadejdzie lada chwila i wtedy będziemy wiedzieć więcej. W

godzinach popołudniowych w parafii zjawił się mundurowy. Oficer. Przedstawił się jako komendant miasta czy ktoś taki – w każdym razie najważniejsza w tej chwili osoba w mieście – i krótko zapoznał mnie z obowiązującymi w stanie wojennym zasadami.

Wspomnienia kapelana

Ze stanem wojennym związane są wielorakie, niezapomniane przeżycia księdza Pyrchały. Należą do nich wydarzenia, których areną był obóz dla internowanych w Zabrze-Zaborzu, przy ulicy Janika:

Przyjechał do mnie na plebanię świętego Józefa ksiądz biskup Herbert Bednorz z Katowic. Kategorycznie i zdecydowanie domagał się ode mnie objęcia opieką duszpasterską tych wszystkich internowanych na terenie Zabrze. Bo dotychczas jedynym duchownym, jakiego widzieli internowani był biskup pomocniczy z Katowic, Czesław Domin. Pozwolono mu wejść na chwilę do obozu, zdążył udzielić internowanym ogólnego rozgrzeszenia na okoliczność niebezpieczeństwa śmierci. A co do żądania biskupa Bednorza, nie była to prosta sprawa. Zabrze nie należało do diecezji katowickiej. Ja potrzebowałem nakazu, ale diecezji opolskiej i biskupa w Opolu. Zanim się o to postarałem, poszliśmy razem z księdzem Stanisławem Pieleszem, proboszczem parafii świętej Jadwigi na Porębie, do komendanta, aby załatwić z nim możliwość odprawiania regularnych mszy świętych niedzielnych i świątecznych dla internowanych. W rozmowie z miejscowym komendantem okazało się jednak, że jest to niemożliwe, chyba że jakieś wyższe władze w Warszawie lub Katowicach o tym zdecydują. Komendant pytał o pismo, a ja żadnego pisma nie miałem. Ale wiedziałem już, że jeśli będę miał jakiś dokument kościelny, to jest duża szansa, że wpuszczą nas do środka. Ale ksiądz biskup miał rację, roztoczenie opieki nad internowanymi było wówczas sprawą pierwszoplanową, sprawą najwyższej wagi.

Po tej rozmowie pojechałem do Kurii Biskupiej w Opolu i tam dałem sobie (to są najwłaściwsze słowa) wystawić zaświadczenie o następującej treści: „Biskup opolski nakazuje księdzu otoczenie wszystkich internowanych w Zabrze-Zaborzu duszpasterską opieką obejmującą zwłaszcza odprawienie niedzielnej i świątecznej mszy świętej. W razie niepodjęcia tego zadania, spotkają księdza kary kanoniczne aż do usunięcia z parafii świętego Józefa łącznie”. Uzbrojeni w ten dokument zjawiliśmy się znowu z księdzem Stanisławem Pieleszem u drzwi komendanta obozu.

Tę rozgrywkę ksiądz Pyrchała musiał przeprowadzić bardzo delikatnie. Władza ryzykowała dużo, ryzykowała wywołaniem społecznych niepokojów, ale czy w stanie wojennym cofnęłaby się przed czymś, co nie jest zgodne z jej wolą? Osobiście, bardzo w to wątpię, szczególnie, że stan wojenny został dopiero co wprowadzony, był jeszcze grudzień i poziom strachu w Polsce był dość wysoki. „Władza w stanie wojennym nie jest władzą dialogu” – powiedział prymas.

Nie omieszkalem też przypomnieć komendantowi, że zgodnie z zarządzeniem komendanta wojskowego dla miasta Zabrze, proszono proboszczów i duchownych o pomoc w zachowaniu spokoju społecznego i unikania konfliktów, ale jeżeli nasza prośba o kontakt z internowanymi zostanie odrzucona, to nic innego nam nie pozostaje, jak tylko publiczne ogłosić ten fakt parafianom. Fakt, że z powodu nie wpuszczenia duszpasterza do obozu, internowani zostaną pozbawieni możliwości odbywania praktyk religijnych. Komendant obozu był wyraźnie zaskoczony takim obrotem sprawy. Natychmiast zadzwonił do Katowic do swego przełożonego, do generała, który sprawował najwyższą władzę w województwie. W trakcie rozmowy opowiedział mu o zaistniałej sytuacji. Długo konferowali, kazali mi czekać na odpowiedź. Oni byli skłonni do zatrudniania w obozach kapelanów, ale tylko wojskowych. Na to z kolei nie zgodzili się sami zainteresowani – więźniowie. Dopiero po jakimś czasie oddzwoniono, że ksiądz może wejść na teren obozu i odprawiać msze święte dla internowanych. Okazało się więc, że rozkaz biskupa też miał swoją jakąś moc.

Ksiądz Paweł Pyrchała mówi, że przebywał wówczas jakby w dwóch różnych światach. Był ten oficjalny, zastraszony i groźny na ulicy, w telewizji, w życiu publicznym. I był też ten drugi, w podziemiu oraz w obozie dla internowanych na Zaborzu. Paradoksalnie, za murami czuć było większą wolność, większą wiarę.

Czy to jest prawdziwy ksiądz?

- Jakie były początki tej służby? Jak przyjęto księdza w obozie?

Wśród internowanych, których w obozie było około czterystu, przyjęto mnie początkowo z chłodem i rezerwą. To po części zrozumiałe, bo osoby, które nie pochodziły z Zabrza, nie знаły mnie. Internowani byli pełni obaw, czy kapelani nie są jakimiś podstawionymi osobami, kolaborującymi z władzą. Ci ludzie zagadywali mnie: „kim jesteś? Czy nie jesteś >>księdzem wojskowym<< lub >>przebrany Ubowcem<<?” Ale gdy ujawnili się inni, pochodzący z Zabrza, od razu się rozjaśnili i powiedzieli: „to jest nasz”. I to otwierało serca i rodziło między nami zaufanie. Tam, w tym obozie zniewolenia można było się cieszyć i oddychać prawdziwą wolnością. Po zakończeniu mszy świętej radosnym pieśniom o wolności nie było końca. Pamiętam też, jak między barakami ulepiono ze śniegu bahwana Jaruzelskiego i rzucono w niego śnieżkami skandując: „a lej mu! A daj mu!”

Gdy funkcjonariuszowi z obstawy, o którym wiedziałem, że kończy służbę, zaproponowałem podwiezienie caritasowym samochodem do centrum, ten mi odpowiedział: „skorzystam, ale nie tutaj, wsiadę do samochodu dopiero dalej, za obozem i podjadę z księdzem do śródmieścia”. Strażnicy zwiierzali mi się także prywatnie, mówiąc: „proszę księdza, my też mamy żony i dzieci i nie jest to dla nas obojętne, gdy musimy patrzeć w ich zalane łzami oczy”.

Jeden z internowanych powiedział mi kiedyś przed wejściem do kaplicy: „proszę księdza, oni już tam byli w środku, tylko musieli najpierw odpowiednio ustawić aparaty podsłuchowe. Proszę uważać i także liczyć się z tym, że jest ksiądz podsłuchiwany w czasie spowiedzi”. Ksiądz Paweł spowiadał w dosyć małym, zaadaptowanym na zakrytą pomieszczeniu, co jeszcze dodatkowo ułatwiało podsłuch. W czasie przyjmowania komunii świętej poleciłem internowanym stać, aby zasłaniali sobą stojących za nimi klawiszy, a dzięki temu mogli też wręczyć kapłanowi jakieś prywatne przesyłki dla rodzin. Internowani, przewożeni też milicyjnymi wozami do różnych miejsc, wyrzucali karteczki czy listy z adnotacją i prośbą, aby oddano je na parafii.

Nieśmiertelny „Caritas”

Ksiądz infułat Paweł Pyrczała użył sformułowania „caritasowym samochodem”. Zapytałem, dlaczego stosuje takie nazewnictwo, skoro „Caritas” został siłą przejęty przez władze już 23 stycznia 1950 roku, a jako instytucja kościelna zdołał reaktywować się dopiero w 1992 roku. Ksiądz tłumaczy to tak: „Caritas” jako taki był państwowy, to znaczy państwo ukrywało się pod tą nazwą. On był administrowany przez takie Zrzeszenie Katolików Świeckich „Caritas”. Natomiast w latach osiemdziesiątych już z dużą intensywnością działała Komisja Charytatywna Episkopatu Polski. To był organ episkopalny, który nazywaliśmy tradycyjnie „Caritasem” I o to chodzi..

Życie w obozie

- Dużo ksiądz wspominał mimochodem o sposobności kontaktu internowanych ze światem zewnętrznym. W jaki sposób było to możliwe?

Trudne, ale do zrobienia. Trudne, bo byliśmy cały czas obserwowani. Ja to widziałem na własne oczy, bo od strony ołtarza patrząc na przeciwległą ścianę, w otworze na projektor do wyświetlania filmu, cały czas dostrzegałem poruszające się osoby, które nas brały pod lupę. A robiłem w konia tych strażników w ten sposób, że gdy następował na mszy moment przyjęcia Najświętszego Sakramentu, prosiłem, żeby wszyscy podchodzili na stojąco. I zasłanialiśmy im widok. Stworzyło to możliwość przekazania mi na przykład spisów nazwisk osób internowanych, jak i innych informacji, prywatnych, dla bliskich. I to była nasza stała praktyka. Za każdym razem, gdy odwiedzałem obóz, wsuвано mi dyskretnie do ręki najpierw skrawki papieru, potem całe listy i dokumenty. Na tej podstawie sporządzaliśmy później krajową listę internowanych i opracowywaliśmy jako Kościół plan pomocy. Te karteczki, listy wędrowały do kurii, a stamtąd do Warszawy i wreszcie nawet na Zachód. Ich żywot kończył się na antenie Radia Wolna Europa.

Na pewno moja obecność tam jako księdza, podnosiła ich na duchu. Mieli tę szczyptę kontaktu ze światem. A to były takie dni, gdzie nikt nic nie wiedział. Dopiero informacje przekazywane przede wszystkim przez duszpasterzy pozwoliły stworzyć sprawny system komunikacyjny. Oczywiście uprzedzano i przypominano mi wielokrotnie, że w świetlicy, gdzie odprawiałem mszę jest podsłuch i że jesteśmy obserwowani przez otwór, służący do wyświetlania filmów.

- Co z wymiarem religijnym tamtych dni?

To był najważniejszy aspekt. Dla mnie i dla przeważającej większości internowanych.

Fragment apelu podpisanego 16 czerwca 1982 roku przez internowanych w obozie odosobnienia w Zabrze-Zaborzu. (zachowano oryginalną pisownię)

Apelujemy do władz o zmianę POLITYKI SIŁY na POLITYKĘ DOBREJ WOLI!
ŻĄDAMY NATYCHMIASTOWEGO ZNIESIENIA, HAŃBIĄCEGO POLSKIE IMIĘ - STANU WOJENNEGO!
PRZYWRÓCENIA SWOBÓD DEMOKRATYCZNYCH, USZANOWANIA GODOŚCI CZŁOWIEKA!
WSZYSTKIM - niezależnie od orientacji politycznych i światopoglądu - przypominamy słowa TEGO, który (...) pielgrzymować pragnie do SWOJEJ OJCZYZNY, że:
”...MOŻNA POSTĘPOWAĆ NAPRZÓD TYLKO ZA CENĘ PRAWDZIWEJ PRZEMIANY UMYŚŁÓW, WOLI I SERC..”

Religia była źródłem siły, otuchy, wiary, że to wszystko ma jakiś sens i do czegoś prowadzi. Ale od razu mówię, że nie wszyscy tak to rozumieli. Dla niektórych ten wymiar religijny miał drugorzędne znaczenie, był raczej pretekstem do załatwiania różnych innych spraw. Staralem się nie mieszać obu tych porządków i dbać o to, żeby nie mieszały się one moim podopiecznym. Oczywiście pomoc udzielana była wszystkim na tych samych zasadach. Wielu ludzi garnęło się wtedy do Kościoła, który był jakąś przystanią wolności. Wielu szybko odeszło.

- Więc jak tu podsumować, ocenić stan wojenny?

Stan wojenny był swego rodzaju czyścem. Zostało to, co prawdziwe. Fałsz nie wytrzymał tej próby. To, co powierzchowne, odeszło. Ale dziś ten wymiar moralno-religijny, stanu wojennego, jest niedoceniany. Mówi się dużo o aspekcie politycznym czy społecznym, ale moim zdaniem najważniejsze dokonało się właśnie w wymiarze moralno-religijnym.

Dla Papieża

Wydawało mi się, że jest w nim więcej wolności niż na zewnątrz, gdzie panował strach, przygnębienie, niepewność. Internowani z ich pieśniami, rysunkami, tą siłą, która potrafi dawać grupie i przekonanie o słuszności sprawy wydawali się mniej podatni na zgnębienie niż ludzie na zewnątrz.

A więc sztuka. Muzyka, wspólny śpiew. W zakładzie dla internowanych musiano czymś zabijać czas. Takim ujęciem była sztuka. Internowani w Zabrze-Zaborzu ułożyli swój nieoficjalny „hymn”. „Pieśń internowanych”, bo taki jest jego tytuł, została zadedykowana „Ojcu Świętemu – aby Jego przyjazd do Polski dopomógł w odnowie oblicza Ziemi – tej Ziemi”⁹. Oto tekst tego wyjątkowego utworu, do którego melodię i słowa ułożył Mirosław Kantor:

Choć nad Polską noc trwa
Wszyscy czekają dnia
W którym wspólnie wzniesiemy nasz dom
Choć niełatwy nasz los
Jednak radosny głos
Dolatuje do matek i żon

Refren:
No bo przyjdzie ten dzień

⁹ Planowana na sierpień 1982 roku papieska pielgrzymka do Polski, z okazji 600-lecia Jasnej Góry nie doszła ostatecznie do skutku z powodu trwającego stanu wojennego.

*Pośród anielskich pień
Znikną kraty, kajdany i zło
Spełnią się nasze sny
Przyjdzie wolność – a my
Solidarny spleciemy nasz krąg*

*Gdy w niedzielę po mszy
Znów odwiedza mnie syn
Małą rączkę wyciąga do krat
Mówi: „tato nic to
Ja zabiorę cię stąd
Niech no tylko skończę pięć lat”*

Refren:
No bo przyjdzie...

*A gdy smutno ci jest
Pomyśl, bracie, że wnet
Paczkę z domu dostaniesz i list
Kilka serdecznych słów
„Trzymaj się i bądź zdrow
Jeszcze trochę i nastanie świt”*

Refren:
No bo przyjdzie...

*Ciągle, przez cały czas
My jesteśmy wśród was
Wasze serca i myśli są tu
A wieczorem przed snem
Kiedy modlimy się
Księżyc do nas się śmieje zza chmur*

Refren:
No bo przyjdzie...

*Choć nad Polską noc trwa
Wszyscy czekamy dnia
W którym znowu odwiedzi nas On
On zjednoczy nasz lud
Sprawi, że dobry Bóg
Odbuduje ojczysty nasz dom*

Refren:
A gdy przyjdzie ten dzień...

Zabrze-Zaborze, dnia 24 czerwca 1982 roku.

Niełatwe pogrzeby

Nieustępliwość, wierność zasadom i determinacja towarzyszyły księdzu Pyrchale przez wszystkie miesiące stanu wojennego. Teraz pragnie mi opowiedzieć o ceremonii pogrzebu. Co ją w tych dniach wyróżniało?

Największy problem stanowiły pogrzeby – władze wojskowe godziły się tylko na pochówek na cmentarzu, bez konduktu żałobnego odprowadzającego ciało z kościoła. To było nie do przyjęcia, więc miałem już w kościele sześć trumien czekających na pochówek. Z siódmą

przyjechała jakaś rodzina z Bielska-Białej. Przerażeni ludzie mówili, że mają tylko jednodniową przepustkę i przed 22:00 muszą być w domu. Zdenerwowałem się i poszedłem do Urzędu Miejskiego, który był siedzibą wojskowej władzy. Nie było to łatwe, ale udało mi się dotrzeć do komendanta. Powiedziałem mu, że jeśli nie otrzymam zgody na normalne pogrzeby, następne trumny przywożone będą do Urzędu. Dostałem zgodę, a także zezwolenie na to, by z ostatnim namaszczeniem poruszać się po mieście również po godzinie policyjnej. Uznałem to za niebagatelny sukces dyplomacji księdza Pyrchały. Ksiądz na ulicy, w kraju ateistycznym, po godzinie policyjnej, w stanie wojennym...

Coś podobnego przeżyłem trochę później, podczas kolędy. Do rodziny oficera mieszkającego w wojskowym bloku przy ulicy Chłopskiej przyjechał na święta teść czy ojciec, zachorował i bardzo chciał przyjąć kolędę. Żona oficera pod jego nieobecność wpuściła mnie do mieszkania, a potem to samo robiły rodziny innych wojskowych, okazało się, że przez strych można przechodzić z jednej klatki schodowej do drugiej. W rezultacie spędziłem w tym bloku kilka godzin, a w jednostce podniósł się alarm: co stało się z księdzem, który miał wejść na chwilę do jednego mieszkania i przepaść?

W obronie „Solidarności”

Należy podkreślić, że w czasie stanu wojennego opieka Kościoła nad chorymi, cierpiącymi, internowanymi, prześladowanymi i nad dziećmi, obojętnie czy ich rodzice byli wierzącymi czy niewierzącymi, była bardzo rozwinięta i to ze strony obydwu wspólnot religijnych – zarówno ewangelickiej jak i katolickiej.

Wsparcie otrzymały także siostry szarytki z biskupickiego klasztoru. Pewnego dnia dotarła do mnie wiadomość, że nie mają co jeść. Pomyślałem zaraz: przecież otrzymały tyle samo co każda inna rodzina ryżu, mąki oraz masła i co one jeszcze chcą? Przez kilka dni zlekceważyłem tę wiadomość, ale gdy sama przełożona siostra Maria Jamroz przybyła do parafii świętego Józefa dowiedziałem się o zaistniałej sytuacji i to wcale nie różowej. Zaczęło się od słów siostry: proszę księdza, wszystkie zapasy się wyczerpały, my już nie mamy co do ust włożyć. Ja na to: przecież dostałyście sprawiedliwie tyle co inni, dlaczego macie pretensje? Siostra: proszę księdza, w klasztorze jest gromada chłopów, którzy mają niesamowity apetyt i wszystko nam zjedli. Pytam więc zdziwiony: co, chłopów macie w klasztorze, jak się to stało, co tam zaszło? A na to siostra: przecież ksiądz ich posłał i o tym wie. Odpowiadam: pierwszy raz o czymś takim słyszę i nigdy nikogo tam nie posyłałem. I rozpoczęła się relacja siostry: to było tak, w pierwszych dniach stanu wojennego wieczorem przyszedł ksiądz wikary Franciszek Kurzaj z Bytomia. Ksiądz wie, to ten, który był przedtem też w Bobrku i tutaj księdzu na rekolekcjach i oazach młodzieżowych pomagał. Zadzwonił, a gdyśmy otworzyły drzwi, wszedł na korytarz, a za nim grupa mężczyzn i powiedział: „Siostro, tych trzeba tu przechować i zatrzymać, bo oni są ścigani przez komunistów, a ksiądz prałat Pyrchała o wszystkim wie”. Ja zaś słuchając relacji siostry z wielkim zdziwieniem odpowiedziałem: po raz pierwszy o czymś takim słyszę. A było to akurat po przejściach z milicją i chłopcami w dniu 13 grudnia opisanymi już w poprzednim odcinku moich wspomnień i po lekturze artykułu z Trybuny Ludu oskarżającego Kościół o współpracę ze zbrodniczym elementem antysocjalistycznym i buntownikami, którzy chcą zniszczyć naszą ojczyznę ludową. Udzieliłem więc siostrze dodatkowej pomocy żywności i poleciłem też, żeby zachowano wszelkie środki ostrożności i absolutnie w klasztorze w Biskupicach nie zapalały się światła w pokojach od strony ulicy, bo naprzeciw jest posterunek milicji i żeby także nie wyglądać przez okna. W przyszłości zaś mężczyźni mieli ostrożnie, po jednym, niepostrzeżenie opuścić klasztor, by nie było zbiorowej ucieczki i uwięzienia wszystkich.

Kilka dni później spotkałem się też z księdzem wikarym Frankiem i mówię: człowiecze, przecież ja kierując tym opolskim diecezjalnym domem rekolekcyjnym o niczym nie wiedziałem, dlaczego naraziłeś nas wszystkich na niebezpieczeństwo? A on na to rozbrajająco i niewinnie: farorzu, oni z tej Śląsko-Dąbrowskiej Solidarności byli wtedy bardzo zagrożeni i ja ich tam zaprowadziłem, dyć wy byście w tej chwili na moim miejscu to samo zrobili. W ten sposób zostało przechowanych i uchronionych wielu zagrożonych działaczy Śląskiej Solidarności.

Paszportowe niepokoje

W latach osiemdziesiątych ksiądz Józef Dyllus przebywał trzykrotnie poza granicami kraju. W Jugosławii, Izraelu i Rzymie. Tylko przy odbyciu tej ostatniej podróży nie rzucano mu kłód pod nogi. Jak widać, nawet w latach osiemdziesiątych sposób traktowania księży różnił się znacznie od sposobu obchodzenia się ze zwykłymi ludźmi.

Gdy chciałem pojechać do Jugosławii, to się musiałem tłumaczyć, żeby dostać „wkładkę paszportową”. Tak to się nazywało. W parafii Świętej Rodziny był ksiądz Emanuel Hanysek, on chciał jeszcze przed śmiercią odwiedzić przyjaciół w Jugosławii i poprosił mnie o towarzysztwo w podróży. Złożyłem wniosek. I w końcu słyszę od urzędnika wypowiedziane z taką niechęcią zdanie: „no, chyba księdzu damy”. A ja na to: „no wie pan co, gdyby to miała być dla państwa jakaś łaska, żeby mi dać ten paszport, no to ja dziękuję, mogę zrezygnować z wyjazdu. Chciałem koledze, starszemu księdzu, zrobić przysługę, ale jeżeli miałyby to być łaska, której byłbym niegodny, to dziękuję.” To był rok osiemdziesiąty pierwszy czy osiemdziesiąty drugi.

Innym razem chciałem wyjechać do Izraela. Rozdawano paszporty. Wszystkim oczekującym wydano, a mnie (ponieważ byłem księdzem) pani sekretarka powiedziała, że muszę czekać, bo mnie paszport wyda kto inny. „Ja panu nie mogę dać” – stwierdziła. Ja mówię, że ten paszport potrzebuję dzisiaj (bo rzeczywiście potrzebowałem) i jeżeli go nie dostanę, to rezygnuję z wyjazdu. Ona wykonała jakiś telefon. Powiedziała, żeby się zgłosić po 12:00. Ja mówię: „mogę między 12:00 a 12:15, potem mam pogrzeb”. Ksiądz przyszedł w umówionym terminie, ale okazało się, że „wręczającego” jeszcze nie ma. Minęła 12:15. Wchodzę do niej, mówię, że rezygnuję z wyjazdu. Ja nie muszę jechać. Ksiądz biskup mnie prosił, ale jak nie, to nie. A ona... wyciąga paszport z szuflady i mi daje. Proszę. Czyli jednak można było! Paszport przygotowany do odbioru. Ale dobrej woli brak. Nadgorliwość pani sekretarki była wręcz porażająca, choć z drugiej strony, postąpiła rozsądnie dając w ostatniej chwili przydzielony księdzu paszport.

Przy oddawaniu tego paszportu też miałem cyrk. Było to samo. Nie chciało go przyjąć, powiedziała, że muszę go zdać u kogoś innego. Od razu jej powiedziałem, czy aby nie jest to taka sama sytuacja, jak z wydawaniem paszportu. Wszedł wtedy do pokoju taki młody smarkacz, przed trzydziestką. I zaraz na początku chciał mnie zastraszyć i zakrzyczeć. I on też zaczął z grubej rury: „proszę pana (bo nigdy nie mówili per „ksiądz”), proszę pana! We wniosku pan podał, że docelowy kraj pana wyjazdu to Izrael! A widzę ma pan z holenderskiej ambasady!” Ja aż tak ręce złożyłem, bo jego stwierdzenie było godne pożałowania i mówię do niego: „proszę pana, czy ja muszę państwowego urzędnika informować, że nie utrzymujemy kontaktów dyplomatycznych z Izraelem, a interesy Izraela w Polsce reprezentuje ambasada holenderska? Bardzo mi przykro. I dlatego ta pieczęć.” Zupełnie zeszło z niego powietrze. Nastawił się na coś innego. A w ogóle przesłuchiwanie księży po podróżach zagranicznych to standard, chcieli wybadać, wypytać o wrażenia. Rozmowa nieuchronnie zeszła na temat teczek.

Żeby było jasne, nie wiem, jaką mam teczkę. Nie interesuje mnie to. Oni teczki robili każdemu księdzu. Zresztą to się powinno spalić, bo pełno ludzi już majstrowało pewnie przy tych teczkach po osiemdziesiątym dziewiątym. Ja swoją teczkę widziałem z zewnątrz raz w życiu. Jak wracałem z Jugosławii. W urzędzie mi ją pokazali ze słowami: „tyle o księdzu wiemy, tu mamy wszystko”. A w tych teczkach to były pewnie jakieś stare gazety, żeby tylko upchać i żeby z zewnątrz wyglądało, że jest tego dużo. Stwierdzenie księdza było rozbijające. Ale kto wie, czy nie było tak rzeczywiście.

„Były momenty trudne tej walki”

O latach osiemdziesiątych i o swoich spostrzeżeniach mówi ksiądz Brunon Ploch:

Były momenty trudne tej walki. Człowiek to przeżywał. Ale gdyby jednak ten człowiek, ten ksiądz w danym momencie nie czuł tego poparcia u ludzi, to by się załamał. Ale gdy tylko wyszedł na parafię, zobaczył przywiązanie tych ludzi, to dodawało niesamowitej otuchy, siły. Siły do tego, żeby dalej iść tą drogą. No bo gdzie ja bym się tak sam z siebie narażał władzy, choćby jeżeli chodzi o te budowy, gdzież to! Ale to była konieczność dla ludzi. Bo co ja z tego miałem, przez to narażanie się? Same kłopoty. Sąd miałem z tego wszystkiego. Ale satysfakcja, zadowolenie, że temu ludowi się służyło. A on po prostu tego się domagał. To była taka radość

dająca pełne zadowolenie, że człowiek może służyć drugiemu i to w takich czasach, kiedy to było utrudnione.

Na twarzy księdza proboszcza widać uśmiech i zadowolenie. Jest to oznaka satysfakcji z dobrze wypełnionej misji, ze spełnionego zadania. Nazwał to zadanie walką, ale czy można inaczej? Mówił też o radości. A jednak możliwa była radość w czasach terroru. Co z tą radością?

Tej radości już dzisiaj nie mają obecni księża. Nie mają tej radości! Dlatego, że w pewnym sensie, zgodnie z prawem, mogą na wszystko sobie pozwolić. I to legalnie. Dlatego nie ma takiego przywiązania do Kościoła. Ludzie są mniej zaangażowani. A dawniej każdy był zaangażowany w obronę praw Kościoła. Od takiego malutkiego. On latał ze szkoły do kaplic, na katechezę, a był synem kierownika szkoły na przykład. Ale miałem dwa takie miejsce, gdzie wiedziałem, że zawsze, kiedy przyjadę, to dzieci będą czekać. To była satysfakcja. I kierownik szkoły posyłał mi klasy. On dał nauczycielom w tym czasie przerwę, wolne, tylko mówił, że ksiądz przyjechał i rozsyłał mi te klasy. Także to były po prostu inne radości życia. Dlatego dzisiaj tej radości księża, którzy pracują w szkołach nie mają. W punktach katechetycznych było większe zaangażowanie młodzieży, zawsze każdy chciał iść. Frekwencja wynosiła prawie sto procent. No dzisiaj w szkole też nierzadko frekwencja na zajęciach religii jest wysoka, ale jest to w pewnym sensie przymuszone. A wtedy oni przychodzili sami, był może inny sposób uczenia niż dzisiaj, ale te dzieci same z własnej woli przychodziły, były związane z Kościołem. Teraz trzeba jakoś urozmaicać, przybierać różne formy, żeby ściągnąć ludzi do Kościoła. Kiedyś to nie było potrzebne – ludzie sami się garnęli. Bo Kościół był prześladowany, ludzie byli wychowywani w takim duchu. Tak było w całej Polsce. Myśmy tu na „Ziemiach Odzyskanych” mieli też dodatkowe problemy.

To bardzo refleksyjna i dająca do myślenia wypowiedź księdza, człowieka, który swoje w życiu przeżył. W tym fragmencie nie zmieniałem wiele. Przytoczyłem go niemal dosłownie, w czystej formie, bo w ten sposób być może jego wymowa będzie bardziej dobitna. Tak było w latach osiemdziesiątych, tak było po wyborze kardynała Karola Wojtyły na papieża, w trakcie i po stanie wojennym. Tak kończyła się pewna epoka. Czas na jeszcze głębsze podsumowania.

Nigdy więcej

Czas na podsumowania. Na refleksje. Na przestrozę i naukę. Może na otwarte i uczciwe porównanie tego, co było, z tym, co jest.

Zwykle pytania o podsumowanie tego okresu wywołują u moich rozmówców dłuższą chwilę zamyślenia i zawahania. Wywołują milczenie. Dokonanie podsumowania rodzi konieczność jednoznacznej oceny minionych zdarzeń. To szczególne pytanie, więc i odpowiedź musi być odpowiednio przemyślana. Odpowiedź jest tutaj przejściem od szczegółu do ogółu, pewną transformacją. Mówiliśmy wiele o detalach, wgłębialiśmy się w niuanse życia religijnego, a teraz czas na wydobywanie z tego esencji. Moi interlokutorzy starannie ważyli słowa, by wydobyć z nich właściwy sens.

Jeden pozytywny

Oto, jak czasy zniewolenia religii ocenia i podsumowuje ksiądz Brunon Ploch:

Ja bym powiedział w ten sposób. Ja należę do tego pokolenia, które połowę życia kapłańskiego spędziło w PRL-u, a połowę już po stanie wojennym. Więc bezwzględnie, dla księży, dla Kościoła, to utrudnienie, jakie stanowiła PRL, te wszystkie najazdy, te wszystkie szpiegostwa, bo każdy miał swego „aniola stróża”, to wszystko... stanowiło ogromną udrękę. Tak na marginesie, ja sam jestem ciekawy, co byłoby w mojej teczce, gdyby została odkryta. Nie będę się specjalnie w te poszukiwania angażował, ale jestem tam na pewno zaznaczony jako wróg PRL-u. Na pewno. Bo jeśli się nie spełniało tego, co komunizm chce, to było się [jego] wrogiem. A ja nie realizowałem i nie będę realizował tego, co jest antynarodowe! Takiego czegoś nie realizowałem, bo byłoby to wbrew mojemu sumieniu, wbrew narodowi. Trudno takie coś popierać.

Kościół w czasach, o których mówimy, żył w ciągłym strachu, w trudnej sytuacji, a co dopiero sami księża. Ale czuć było to zaplecze, zaplecze religijne narodu. To było czuć. Natomiast po przemianach, teraz, kiedy wszyscy żyjemy już w demokracji, myślę, że znaczenie Kościoła może niewiele się zmieniło, ale nie mamy już takiej presji. Dzisiaj nikt nie przyjdzie mi do domu z wyrzutem, że ja takie czy inne słowo wypowiedziałem. Że coś mi się nie podoba. Dzisiaj ja to mogę wszędzie wszystko powiedzieć, wiadomo, byleby nikogo nie poniżyć, czy nie obrazić. Ale prawdę mogę mówić. Natomiast nie ma teraz tego zaplecza religijnego wśród narodu. To nie oznacza, że naród jest mniej religijny – może jest inaczej religijny. Naród nie widzi zagrożenia, więc ludzie myślą na swój sposób, pragmatycznie. Mamy dzisiaj masę takich ludzi, którzy chcą reformować religię. Dobrze, żeby była religia, ale to, ale tamto. Taka wybiórczość. Kiedyś tego nie było. Ja bym powiedział, że tu były plusy i tu, ale gdybym miał wybierać, to zdecydowanie wybrałbym życie w wolnej Polsce.

Pozytywna rzecz czasów PRL? Jedna na pewno. Powiem to bez wahania: przywiązanie ludzi do Kościoła. Ludzie byli mocno prześladowani, bardzo mocno prześladowani, ale było nieustające, bardzo mocne i bardzo widoczne poparcie.

Już w drugim zdaniu tego podsumowania Ksiądz Brunon wymienia stan wojenny, jako moment przełomowy. Po jego zniesieniu autorytet władzy zaczął diametralnie spadać, co uchyliło przed Kościołem drzwi do odzyskania pełnej wolności i niezależności. Lata 1983-1989 zalicza już zatem ksiądz Brunon do nowej epoki. Do epoki, gdzie można już więcej, ale jeszcze nie do końca.

Ksiądz prałat Konrad Kołodziej tak widzi z perspektywy czasu okres PRL:

Duszpasterstwo zawsze ma swoje trudności, niezależnie nawet od systemu politycznego. Sama praca duszpasterska jest taka sama zawsze, inne mogą być jej warunki. Teraz mam więcej czasu między poszczególnymi nabożeństwami, w kościele nie ma przeludnienia, chyba że wyjątkowo – w jakieś wielkie święto. Każdy z okresów był inny, ale każdy miał swoje trudne chwile. Gdy jeszcze nie było kościoła na Sikorniku, praca duszpasterska była niewyobrażalnie ciężka ze względu na ilość wiernych.

W różnych okresach miałem też różny kontakt z władzą. Najczęstszy, z natury rzeczy, jako proboszcz. Władza nie mogła sobie pozwolić na zadzieranie z instytucją, która ma tak szeroki kontakt ze społeczeństwem. I w latach osiemdziesiątych już to zrozumiano. Natomiast nie ulega wątpliwości, że litera prawa wobec Kościoła została jasno i jednoznacznie zmieniona dopiero po 1989 roku. Udało nam się przetrwać, bo warunki, w jakich pracowaliśmy wymagały od nas umiejętności przetrwania – to jest chyba najwłaściwsze podsumowanie.

Mam nieodparte wrażenie, że ksiądz prałat wypowiedział pewną złotą myśl, zapewniając mnie, że praca duszpasterska jest zawsze trudna. Jest taka sama w sobie. Dodatkowe bariery wznoszone przez ludzi władzy może pogorszyły sytuację, może uczyniły ją nawet momentami beznadziejną, ale nie przesłoniły księżom sensu ich służby.

Czas na refleksje, jakimi podzielił się ze mną ksiądz infułat Paweł Pyrchala. Oto one:

Widać. Widać, że mnie ludzi chodzi do kościoła dziś niż wówczas. Coraz mnie osób pamięta naszą walkę. Nie jest to radosne, ale z drugiej strony, nie należy przywiązywać do tego faktu przesadnie dużej wagi. Nastąpiły takie czasy, że ludzie wyznający tamte szczytne wartości stanowią mniejszość. Ale tak to jest, że czasami to mniejszość przechowuje dla wszystkich to, co najcenniejsze. Ja tę postawę przyrównuję to postawy Maryi, która po śmierci Chrystusa, a przed Jego Zmartwychwstaniem niosła wiarę na swoich barkach. Liczy się wierność i wiara. Dla mnie wzorem tej wiary był Jan Paweł II.

W słowach księdza dominuje pewna nutka żalu. Dziś mało kto pamięta – mówi – ale trzeci z dwudziestu jeden postulatów, jakie przedłożyli w 1980 roku stocznioowcy dotyczył prawa do transmisji niedzielnej mszy świętej w radio. I ciężko to prawo wywalczyliśmy. A dziś? Ludziom jest wszystko jedno, podczas gdy wówczas było to nasze wielkie zwycięstwo. Albo religia w szkołach? Jak dzisiaj podchodzą do tego uczniowie? A przed 1989 roku marzyliśmy o tym, by móc uczyć w szkołach.

Robić swoje

- Jak scharakteryzowałby ksiądz najlepszą dla katolika postawę w tamtych czasach? Jak powinna wyglądać, na czym powinna się opierać?

Najlepsza postawa? Jasno prawdę mówić. Ale nie pchać się do męczeństwa, co niektórzy księża próbowali robić. Dla sławy. Niektórzy też przesadzili po stanie wojennym. Myśleli, że już wszystko wolno mówić. A wolności jeszcze nie było. A Wyszyński mówił nam wszystkim: „wy do polityki się nie pchajcie, ja będę te problemy omawiał i rozwiązywał”. I ja w pełni popierałem prymasa. I z tego, co zdążyłem się zorientować, takie było zdanie przynajmniej większości duchowieństwa. Księża, róbcie swoją robotę! Kształtujcie ludzi według nauki Ewangelii. To jest najskuteczniejsze. Poza tym, były to czasy strasznie zakłamanie. Oficjalnie, państwo mówiło o wolności religijnej, ale niechby ktoś spróbował działać w myśl tego przyzwolenia...

To nie była władza polska, nie da się ukryć. To była jakaś wspólnota państw socjalistycznych. Czy ja wiem? Myśmy robili swoje. Oczywiście, jak trzeba było nadstawić głowę, to trzeba było. Inna sprawa. Ale wykonywało się polecenia biskupa, władza się za to mściła, ale myśmy swoje, a oni swoje. Po 1989 roku zmieniło się tyle, że ludzie są wolni, ale wciąż niektórzy nie rozróżniają wolności od swawoli.

Robiliśmy to, co było można. Na przykład koncerty kołęd. W stanie wojennym się nie chcieli zgodzić. A ja im na to: „w czasie wojny muzy nie milkną”.

- Nie milkną?

W przysłowiu milkną, ale mnie się wydaje, że nie. Ja powiedziałem, że ten koncert będzie i był. Wysyłali przed kościół bandziorów, oczywiście, różnymi sposobami próbowali rozwalić ten koncert, ale on się odbył.

Ten okres scementował Kościół. Mieliliśmy dobrego biskupa [biskupa Franciszka Jopa], który znał komunizm, orientował się. Ostrzegał nas, mówił, co robić. A robić trzeba było swoją robotę. Nie wdawać się w dyskusje. Biskup też się nie wdawał. Raz jeden świecki z PAX-u napisał o nim jakąś kłamliwą relację, dotyczącą pielgrzymki na Górę świętej Anny. Kiedy przyszedł do niego kiedyś na rozmowę, biskup załatwił go na schodach. „Nie rozmawiam z panem” – powiedział.

Było dobrze, jeżeli się pracowało systematycznie, jeżeli księża wypełniali swoje obowiązki, siedzieli w konfesjonale, wygłaszali dobre kazania. Wierni byli zadowoleni i chodzili do kościoła. I większość księży takich była, choć byli i tacy, którzy nie wiem czemu dali się wyświęcić. Ale statystykę trzymamy. Panu Jezusowi też jedna osoba na dwanaście się nie udała. Te mniej więcej proporcje zostały do dzisiaj.

A więc czyżby nic się naprawdę nie zmieniło? Oprócz tego, że żyjemy w wolności?

W zgodzie z pracą i religią

Nawet w PRL to możliwe, przynajmniej dla niektórych. Pan Alojzy radził sobie świetnie:

Pracując na oddziale szybowym, trzeba się było liczyć z tym, że pracuje się często w niedzielę i święta. Powstawały dylematy, bo co z pójściem do kościoła? W miarę możliwości zawsze się chodziło. Czasem chodziło się w sobotę wieczorem, choć kiedyś nie była to taka oficjalna msza niedzielna, jak to jest dziś. Kto rzeczywiście chciał, mógł te dwa obowiązki w gody sposób pogodzić. Wielkie prace przeprowadzano na kopalni w trakcie świąt Bożego Narodzenia. Wtedy były trzy dni wolne pod rząd. Więc wszelkie większe roboty, wymiany, prace przy maszynach, odbywały się wtedy. To było dokonywane wtedy nawet ze zrozumiałych względów. To była fachowa decyzja. Żeby po świętach można było normalnie ruszyć do pracy. Ale kto chciał, zaznaczam, kto chciał, mógł z Panem Bogiem być w porządku, mimo tych utrudnień. Kto był bardziej letni... wiadomo. A myśmy pracowali czasem i po dwanaście godzin. Ale z kierownictwem zakładu zawsze można się było jakoś dogadać. Na przykład w Wigilię podzieliliśmy zmiany tak, żeby jedni kończyli o osiemnastej i wracali do domu na wieczerzę, a drudzy zaczynali o osiemnastej i aby mogli uczestniczyć w kolacji wcześniej. Więc tego rygoru już w latach po Stalinie nie było. Można było te zmiany przesuwąć, żeby umożliwić to czy tamto. Kierownictwa były różne, ale dało się dogadać.

Pan Alojzy, proszony o zbilansowanie plusów i minusów, podsumowuje w ten sposób:

W całych latach powojennych kapitalne znaczenie miał fakt, że duży procent, ogromnie duży procent naszego społeczeństwa miał jednak te korzenie katolickie. Czy był ochrzczony, czy przystąpił do Komunii Świętej. Obojętnie. Potem, dla dyplomu, dla stanowiska, dla różnych – powiedzmy – dóbr materialnych, dla wygodniejszego życia, niektórzy jak gdyby sobie odpuścili to regularne chodzenie do kościoła, ale nie zwalczali w sposób agresywny tych ludzi, którzy jednak zdecydowali się nie odstępować od praktykowania wiary. I tu jest przykład moich kierowników na kopalni, którzy studia mieli pokończone, co nie było takie oczywiste w tamtych czasach, ale jak nie musieli, to nie przeszkadzali i nie ubijali, jak to się mówi. Tylko ten jeden sztygar, o którym wspominałem, był wyjątkową świnią. Inaczej nie można powiedzieć. Nie wiem, czy on był całkiem opętany, czy był komunistą z przekonania? Ale robił to dla własnej kariery, a ponieważ zbyt wybitny w pracy nie był, nadrabiał prześladowaniem katolików, chciał się wykazać w ten sposób.

Nasz wieloletni proboszcz, ksiądz prałat Jerzy Jonienc, siedział w więzieniu i za Niemca, i za Polaka. Za czasów niemieckich uwięziono go za to, że był głównym organizatorem pielgrzymki dziewcząt na Górę świętej Anny. Nie wiem, który to był dokładnie rok, ale było to już po wydaniu przez Hitlera zakazu dotyczącego tego typu zgromadzeń. Parę tygodni za to w więzieniu przesiedział, zanim go wypuścili. A za czasów polskich też, razem z moim ojcem, był używany na przesłuchanie do Strzelec Opolskich. I również chodziło o organizowanie pielgrzymki, również na Górę świętej Anny. Nie jestem w stanie konkretnie opowiedzieć dziś o stawianych wówczas zarzutach, ale było to jak zwykle szukanie dziury w całym.

To porównanie, choć sięga sześćdziesiąt lat wstecz, w pełni oddaje chyba tragizm epoki. Oto stoi przed nami postać księdza, więzionego przez totalitarny, nazistowski reżim Adolfa Hitlera. Następnie, władze ojczystego kraju kapłana wtrącają go do więzienia za... to samo „przestępstwo”, za które ukarał go Hitler. Nie za występki kryminalny, ale za demonstrację wiary. Konfrontacja tych dwóch reżimów, nazistowskiego i komunistycznego, pokazuje, jak niewiele warte były hasła, z których zrodziła się Polska Rzeczpospolita Ludowa.

Jak my to mówimy, ach, gdyby znowu te Rusy przyszły. Ja myślę, że gdyby oni przyszli znowu, to niejednemu by się dzisiaj Pan Bóg przypomniał. Jak to mówi przysłowie, jak trwoga, to do Boga. Takich ludzi jest wielu. Ludzi, którzy blisko z Kościołem nie są, ale przy jakimś nieszczęściu czy potrzebie zbliżają się do niego. Przypominają sobie, że kiedyś może chodzili do kościoła, że ten Pan Bóg może istnieć.

- Gdyby mógł pan przeżyć życie jeszcze raz, podążałby pan tą samą drogą, czy były lepsze rozwiązania, by żyć i w zgodzie z władzą, i z Panem Bogiem?

Ja się cieszę. Mam z żoną jeden pokój i kuchnię. Nieraz się z tego cieszymy, śmiejemy się. Można trywialnie powiedzieć, że jesteśmy szczęśliwi. Jesteśmy zadowoleni z tego, co mamy, dzieci wyszły na ludzi, wnuki mamy. Do kościoła chodzić możemy, a i możemy udzielać się w tym naszym klubie seniorów – Wspólnocie świętego Marcina. To już piętnasty rok naszej tam bytności. Może pewne rzeczy bym w życiorysie pozmieniał, może próbowałbym się bardziej wykształcić. Ale powiedziałbym, że nawet wojsko wyszło mi na dobre. I sądzę, że taka twarda szkoła życia niejednemu dzisiaj młodzieńcowi-szpanerowi by się przydała. Dzisiaj jest fala. Nas też gnębili. W trochę inny sposób. Zupa, kasza, zupa, kasza – cały dzień. To mnie zahartowało.

Żadnej różnicy?

Bernard Dybek podsumowuje dość kontrowersyjnie:

Ja osobiście po 1989 roku nie odczułem żadnej różnicy, jeżeli chodzi o wyznawanie wiary. Ja. Kto chciał do kościoła chodzić, ten chodził. Jeżeli ktoś był na stanowisku, to inna sprawa. Ale zwykli ludzie mogli i chodzili. Wszystko bez ograniczeń. Ale, powtarzam, ludzie zwykli. Proszę popatrzeć na frekwencję. Ilu z nas dziś chodzi do kościoła, a ilu wtedy? Były tłumy ludzi. A dzisiaj? Wiara była prawdziwsza. Jestem święcie przekonany, że ci, którzy chodzili wtedy do kościoła byli naprawdę prawdziwymi katolikami. To jednak wymagało odporności. Bo szpicle przychodzili do kościoła, nagrywali kazania, obserwowali. Tak. I to bardzo często. To nie jest żadna tajemnica! To się w każdym kościele zdarzało. Czy w Gliwicach, czy w Częstochowie. Ale wiara była wówczas mocniejsza i prawdziwsza właśnie dzięki temu, że w pewnym sensie trudniej ją było praktykować.

Wtedy walka z Kościołem była przynajmniej jawna. Dziś jest ukryta. I nie wiem, co mi się bardziej podoba.

Ucieczka w modlitwę

Modlitwa wieczorna. Słowa: J. Okoń. Melodia: Mirosław Kantor.

Zabrze-Zaborze, czerwiec 1982 rok

*Pamiętaj o mnie, Mistrzu z Galilei
Gdy dzień kolejny przez kraty ucieka
A wokół w szarych mundurach anieli
Jak psy szalone, warczą na człowieka*

*Pamiętaj o mnie, gdy wieczór nadchodzi
A ja nie mogę go niczym ugościć
I chce mi zabrać jak zgłodniały złodziej
Codzienną porcję marzeń o wolności*

*Pamiętaj o mnie, gdy księżyc nad miastem
I na modlitwie zasypiam w pół słowa*

*Weź mnie za rękę i z drutów kolczastych
Do Obiecanej Ziemi poprowadź*

*Daj mi swą pamięć na krzyżową drogę
Usłysz me słowa w więziennej pościeli
Pamiętaj o mnie, który jesteś Bogiem
Wolny Człowieku – Mistrzu z Galilei*

Pamiętaj o mnie, Mistrzu z Galilei

CZĘŚĆ II

Lata 1944 - 1953

Zdaniem wielu moich rozmówców lata 1944-1953 były najcięższe dla Kościoła, fatalne dla ludzi wierzących. Na pewno najcięższe na Ziemiach Odzyskanych. Choć między Bogiem a prawdą, żaden z moich interlokutorów w roku czterdziestym czwartym nie był człowiekiem w pełni świadomym. Może po prostu takie sprawy się wie, może zachowały im się z tego okresu jakieś bardzo wymowne, jednoznaczne wspomnienia, może generalnie z tym czasem wiąże się pewna fama. Może. Niewątpliwie, Armia Czerwona zrobiła swoje. Nim ukonstytuowała się względnie łagodniejsza polska władza, żołnierze Krasnej Armii dokonali, szczególnie na Ziemiach Odzyskanych, krwawego preludium, rozprawiając się i z księżmi (*vide* zamordowany Jan Frenzel) i z miejscami kultu (*vide* spalony kościół Ducha Świętego w Zabrze). Nadszedł jednak dzień, gdy wojenne armaty ucichły, a życie codzienne powoli wracało do normy.

Dla księży polskojęzycznych zaczęło się w miarę obiecująco, ale pierwsze lata powojenne szybko zweryfikowały złudne nadzieje. Aż do śmierci Stalina Kościół polski znajdował się pod stałym ostrzałem. Panował powszechny chaos, związany między innymi z wysiedleniami ludności niemieckiej, a przede wszystkim z nie do końca uregulowaną kwestią biskupów na Ziemiach Zachodnich. Olbrzymie zamieszanie i tony korespondencji między władzą a Kościołem, która do dziś przewala się w archiwach, to znak szczególnie drugiej połowy lat czterdziestych. Strony wzajemnie się badały. Komunistyczna władza, nim ujawniła swe prawdziwe oblicze, pięknymi frazesami próbowała przyciągnąć do współpracy Kościół, sprawić, by firmował swym autorytetem poczynania partii. W archiwum Kurii Diecezjalnej w Opolu jeden z największych skoroszytów zawierających korespondencję na linii państwo-Kościół traktuje wszak o wyborach do Sejmu z 1947 roku.

Episkopat Polski robił, co mógł. Do spółki z Watykanem, wszystkimi możliwymi prawnie i zwyczajowo środkami starał się łagodzić nastroje na Ziemiach Odzyskanych. Władze nie przejawiały jednak ochoty do rzeczowego dialogu, były oderwane od realiów. Przytoczone w mojej pracy opisy profanacji cmentarza czy represji zastosowanych wobec księży mających pochodzenie niemieckie, nie mają precedensu nawet w późniejszej historii PRL. Jak nazwać dramat księży, którzy przykładem księdza prałata Jerzego Jonienca więzieni są za to samo i przez hitlerowców i przez stalinowców. To tak, jakby przeciw Kościołowi sprzymierzyły się wszystkie żywioły. Najkrócej mówiąc, zmiana systemów totalitarnych była dla wielu spadnięciem z deszczu pod rynnę. Na Zachód podążali osadnicy, repatrianci z Kresów Wschodnich. Jak mówi ksiądz Józef Dyllus, *znali komunizm od podszewki*. Ich doświadczenie było przydatne w różnych dziedzinach, tym bardziej, że pewien procent przybyłych stanowiła okołolwowska inteligencja.

Moi rozmówcy nie mówili dużo na temat porozumienia między państwem a Kościołem, zawartym w 1950 roku. Jeżeli już o tym opowiadali, to nie przyznawali temu wydarzeniu specjalnie wielkiej rangi. Gdyby przyjrzeć się skutkom porozumienia, wydaje się, że słusznie. Na wydarzenie wielkiej rangi nie zasłużyła także śmierć Stalina. Wydawać by się mogło, że system powoli się zamrażał, a Kościół, choć bezdyskusyjnie sprawował w kraju „rząd dusz”, trwał w defensywie...

Lata 1953 – 1970

W większości zgodnej opinii moich rozmówców, śmierć Stalina nie przełożyła się jeszcze w sposób bezpośredni na złagodzenie systemu w Polsce. Dopiero po wydarzeniach czerwcowych w 1956 roku, dało się odczuć ulgę i odprężenie w stosunkach państwa z Kościołem. Niebagatelne skutki dla dalszego rozwoju sytuacji w Polsce miał natomiast dekret Rady Państwa z 1953 roku w sprawie obsadzania stanowisk kościelnych. Przepis, zmodyfikowany *de facto* nieznacznie po trzech latach, był zmorą wielu polskich księży, którzy przez długie lata nie mogli się doprosić o zatwierdzenie ich na probostwie. Jedynie ksiądz Józef Dyllus podchodził do sprawy z godnym podziwu dystansem, mówiąc: *Ja miałem w latach 1963-1968 status księdza-ekonomy, nie zostałem zatwierdzony przez władze na proboszcza, ale życia mi to nie utrudniało.*

Po 1956 roku, będąc w wojsku, Alojzy Gwóźdź mógł legalnie uczestniczyć w niektórych nabożeństwach. Wydano kilka pozwoleń na budowę świątyń. Ogólny klimat, w trzy lata po „Non possumus”, uległ lekkiemu złagodzeniu. Nie na długo, bo tylko na trzy lata. W 1959 roku władza uderzyła w kler niewyobrażalnie wysokimi podatkami. Religia znikła ze szkół. Wszystko wracało do punktu wyjścia. Władza wyszukiwała kolejnych pretekstów do konfliktu.

Postanowienia Soboru Watykańskiego II, a później pojednawczy list biskupów polskich do biskupów niemieckich ujawnił nie tylko, jak głębokie są rozdziewięki pomiędzy władzą a Kościołem, ale i jak znaczące podziały istnieją pośród wiernych. W dwadzieścia lat po wojnie, znacznej części Polaków nadal trudno było zaakceptować wygłoszone w kierunku Niemiec słowa „prosimy o przebaczenie”. Władze tylko wykorzystały ten moment zawahania u części wiernych, by przeciągnąć ich na swoją stronę. Jak opowiadał ksiądz Paweł Pyrchala, to się niestety naprawdę udawało. Ksiądz Brunon Ploch i ksiądz Józef Dyllus rok sześćdziesiąty piąty i jego następstwa uznają za najbardziej uciążliwe.

System twardniał z dnia na dzień, w miarę jak Władysław Gomułka z reformatora zmienił się w partyjny beton. Ale władza w Polsce nigdy nie miała poparcia mas. „Rząd dusz” nieprzerwanie należał do duchowieństwa, tym bardziej, że szeregi władzy pełne były ludzi wierzących. Tymczasem, szykowała się kolejna odwilż.

Lata 1970 – 1981

Epoka Gierka to jeden z najbardziej dwuznacznych i zakłamanych okresów historii Polski. Dokładnie takie same były stosunki na linii państwo-Kościół. Pozornie – wszystko było w porządku. *De facto*, poza teatralnymi gestami wobec Kościoła, władze nie zrobiły wiele, by stare rany się zagoiły.

Niesprawiedliwością byłoby jednak twierdzić, że Kościół nie odetchnął. Owszem, ziemia, na której znajdowały się domy modlitwy, zostały oddane na własność kościołowi. Tym sposobem, w 1972 roku przestano ściągać od duchownych ze wszech miar nieuzasadniony podwójny podatek. Nadzieje na poprawę były wielkie, ale rzeczywistość za nimi nie nadążała. Władza ludowa rekompensowała sobie poczynione ustępstwa. Przekonano się, że najbardziej istotną rolę w społeczeństwie grają wybitne jednostki. To one pociągnęły za sobą tłumy w marcu 1968 roku. Dlatego też władza z większą uwagą śledziła liderów, ludzi prominentnych, mających zapał, ambicje i zdolności. Nie traciła już tyle sił na walkę z masami, walczyła z Kościołem „od góry”. Taki wniosek można wysnuć chociażby czytając relację Alojzego Gwoźdźcia z pielgrzymki do Częstochowy.

Jestem bliski przekonania, że lata siedemdziesiąte były pod względem walki z Kościołem mało wyraziste. Świadkowie historii, z którymi prowadziłem rozmowy, z reguły, sądzą że podświadomie, omijali w swoich opowieściach czasy „gierkowskie”. Nawet, gdy pytałem o nie wprost, padały zdawkowe odpowiedzi lub temat w cudowny sposób się zmieniał. W latach pięćdziesiątych, sześćdziesiątych, osiemdziesiątych działa się masa rzeczy. Złych. Czasami zdarzało się, że można się było w nich dopatrzeć jakiegoś pozytywnego wydzźwięku, ale ogólnie rzecz biorąc były to lata dla Kościoła złe. Jednoznacznie złe. A lata siedemdziesiąte? Poza wyborem kardynała Karola Wojtyły na papieża w 1978 roku, trudno znaleźć w tej dekadzie jakiś punkt zaczepienia, moment zwrotny, który coś by przesądzał, o czymś by decydował. Może dlatego wspomnienia są tutaj dość rozmyte i trudno o bardziej wnikliwą retrospekcję.

Spółeczeństwo było uśpione pozornym sukcesem gospodarczym rządu i pełnymi półkami w sklepach. Było udobruchane. Radykalne nastroje na pewien czas odłożyć można było między bajki. Ta „nijaka” walka z Kościołem w latach siedemdziesiątych mogła paradoksalnie przynieść władzy najbardziej wymierne efekty. Tego w stu procentach nie jesteśmy jednak w stanie ocenić.

Lata 1981 – 1989

W ostatnią dekadę PRL naród Polski wszedł z brzemieniem stanu wojennego, który był swoistym ukoronowaniem cierpienia, jakiego przez lata doświadczał Kościół polski. Później mogło być już tylko lepiej i w przeważającej większości wypadków tak było. Stan taki wynikał jednakże nie z dobrej woli, a z bezsilności władzy.

Coraz częściej i coraz śmielej ludzie myślą o przyszłości. Dostrzegają na własne oczy pewną zmianę nastawienia, optymizm, wynikający zapewne także i z faktu, że to Polak zasiada na Stolicy Piotrowej. Czasami śmiałość była zbyt duża i płacono za nią cenę. Jeszcze nie wszystko było wolno mówić i robić. Największy przełom dokonał się chyba w budownictwie. Wydawano coraz więcej pozwoleń, rozpoczęto kilka strategicznych budów, między innymi na Sikorniku. Nie było żadnych kłopotów ze wznoszeniem domów katechetycznych.

Coraz częściej polityczny ruch opozycyjny wiązał się z Kościołem, który udzielał mu szerokiego wsparcia. Władza wydawała się stać na straży ateizmu może z obowiązku, może z przyzwyczajenia. Przedśmiertne drgawki prowadziły jednak niestety do wydarzeń dramatycznych, jak zamordowanie w 1984 roku księdza Jerzego Popiełuszki, i mających jeszcze ciągle wydźwięk antykościelny. Nawet w 1987 roku człowiek nie maskujący faktu chodzenia do kościoła, nie dostał nominacji na dyrektora szkoły mimo, że był na to stanowisko jedynym kandydatem.

Dominowała nadzieja. Idąc za słowami księdza Brunona Plocha, *szło zjednoczenie*. Było kwestią czasu. Nie „czy”, ale „kiedy”. Czy przełom mógł przyjść wcześniej, trudno powiedzieć. Pewnie wszystkim nam wyszłoby to na dobre. Ale musiano na niego czekać aż do końca dekady. Symbolicznym początkiem nowej epoki była decyzja Ministra Edukacji Narodowej, profesora Henryka Samsonowicza, o wprowadzeniu lekcji religii do szkół.

Podsumowanie odautorskie

W ciągu czterdziestu pięciu lat oficjalnego ateizmu realizacja antykościelnego planu władz nie posunęła się ani o krok. Silna świadomość chrześcijańskiej wspólnoty głęboko tkwiąca w Polakach, już od początku nie dawała nadziei Kremlowi. Tym bardziej, że nawet na kierowniczych stanowiskach w wielu organach partyjnych zasiadali ludzie co najmniej Kościołowi polskiemu nie chcący przeszkadzać. Ani siłą, ani podstępem nie udało się zdobyć twierdzy, którymi były przepełnione wiarą serca Polaków. Wszelka agresja pobudzała tylko odruch oporu.

Władzy brakowało dobrych psychologów, bądź – od biedy – socjologów. Nie byli w stanie przyjąć jasnej strategii walki z Kościołem, stali na chwiejnych nogach, aż w końcu w 1989 roku wylądowali na klęczkach. Historia prześladowania Kościoła wydaje mi się zlepkim przypadkowo dobranym pod impulsem chwili zestawem akcji jaskrawo antyreligijnych. Trudno dostrzec jakąś długofalowość, logikę w tym wszystkim. Władza na szczycie zmieniała się bardzo rzadko, średnio raz na dziesięć lat, a mimo to państwo ludowe brnęło w wojnę, której nie było zdolne wygrać, ponieważ pozbawione było środków moralnych.

To nie mogło się udać. To, co prawdziwe, przetrwało – powiedziałby ksiądz infułat Paweł Pyrchała.

Aneks – spór o seminarium

Na pytanie o represje zastosowane przez władze na terenie Gliwic, archiwista gliwickiej Kurii Diecezjalnej, Józef Bonczol, w pierwszej kolejności wymienia sprawę gliwickiego Niższego Seminarium Duchownego pod wezwaniem błogosławionego Czesława. Po heroicznych bojach, seminarium zostało ostatecznie zlikwidowane przez władze 21 sierpnia 1963 roku. Podobnie stało się w tym czasie z innymi podobnymi placówkami w kraju.

- Gdzie mieściło się to seminarium? – Pytam Józefa Bonczola.

- A zna pan historię tego budynku, w którym się właśnie znajdujemy? (nasza rozmowa miała miejsce w gliwickiej Kurii Diecezjalnej) Nie? No właśnie... mieściło się tutaj.

Na podstawie zgromadzonych w archiwum informacji i dokumentów, a także na podstawie nabytej wiedzy pana Józefa Bonczola, można pokusić się o odtworzenie wydarzeń tamtych dni. Temat ten został zresztą dość wnikliwie zbadany i udokumentowany przez pracowników Kurii. Postaram się przedstawić i skomentować to, co wydarzyło się u progu lat sześćdziesiątych w Gliwicach przy ulicy Łużyckiej 1.

Spór o seminarium

W realiach PRL seminaria duchowne znajdowały się pod szczególną „opieką” władz. Postrzegane były, nie bez racji, jako instytucje dostarczające Kościołowi polskiemu nowych kadr, a także, jak określała to komunistyczna propaganda, jako „kuźnia wrogów PRL”. Bezwzględna walka z całym systemem szkolnictwa kościelnego należała zatem do głównych zadań władz. Dlaczego jeszcze z takim zapalem przystąpiono do likwidacji niższych seminariów duchownych?

Niższe seminaria duchowne to, zgodnie z definicją, zakłady naukowe przygotowujące na poziomie średnim młodzież męską do studiów w wyższych seminariach duchownych. W okresie powojennym była to główna forma aktywności oświatowej Kościoła Katolickiego w naszym kraju. Jak twierdzi Józef Bonczol, zakrojona na szeroką skalę akcja ukierunkowana przeciw seminariom ruszyła w okolicach 1948 roku. Jej apogeum wiąże się z datą 3 lipca 1952 roku, kiedy w ciągu jednego dnia zlikwidowano wszystkie niższe seminaria prowadzone przez zgromadzenia zakonne. Pozytywne nastroje związane z *polskim październikiem* 1956 roku doprowadziły do reaktywowania około trzydziestu z nich! Względna swoboda nie trwała jednak długo, bo tylko około trzy lata. Generalnie, odwilż popaździernikowa w zakresie swobód religijnych trwała trzy lata, do 1959 roku.

Budynek, mieszczący się w Gliwicach przy ulicy Łużyckiej 1, będący obecnie siedzibą Kurii, ma bogatą historię. Pełnił wcześniej rolę zarówno lazaretu Waffen SS, jak i szpitala Armii

Czerwonej. 1 września 1946 roku otwarto w nim konwikt biskupi dla chłopców uczęszczających do gimnazjów w Gliwicach. Pierwszym przełożonym konwiktu mianowany został ksiądz doktor Paweł Tkocz. Dekretem z 15 sierpnia 1949 roku administrator apostolski w Opolu erygował w Gliwicach Niższe (Małe) Seminarium Duchowne pod wezwaniem błogosławionego Czesława, z siedzibą właśnie przy ulicy Łużyckiej 1.

Do seminarium przyjmowano tylko młodzieńców mających zamiar przygotować się do stanu duchownego i którzy ukończyli co najmniej siedem klas szkoły ogólnokształcącej lub którąś z klas licealnych. Zgodnie z Kodeksem Prawa Kanonicznego z 1917 roku wychowankowie uczestniczyli w codziennej Mszy świętej, wspólnie odmawiali modlitwy poranne i wieczorne, odprawiali adoracje, przystępowali do sakramentów, a raz w miesiącu, w środę przed pierwszym piątkiem miesiąca spowiadali się. Była to zwyczajowa rutyna. Seminarium było płatne, ale niepisana zasada głosiła, że ubóstwo i niemożność płacenia nie jest przeszkodą w przyjęciu do Małego Seminarium, jeśli kandydat posiada wszystkie inne kwalifikacje.

Z relacji Józefa Bonczola wynika, że agresja i fala szykan skierowana wobec seminarium, tak ze strony Kuratorium Oświaty w Katowicach, jak i Prezydium Miejskiej Rady Narodowej w Gliwicach, rozpoczęła się w 1960 roku. Pierwsze rozdźwięki nastąpiły jednak już w 1949 roku, gdy Kuria Biskupia odmówiła Politechnice Śląskiej odstąpienia na jej potrzeby części parceli przy ulicy Katowickiej. Taki „podarunek” uniemożliwiłby należyte funkcjonowanie placówki – w tym duchu napisano odmowę. Na zemstę władz nie trzeba było długo czekać. Na razie – w stosunkowo łagodnej formie. 11 stycznia 1950 roku w „Trybunie Robotniczej” (w rubryce „Trybuna czytelników demaskuje wyzyskiwaczy”) ukazał się tekst zatytułowany „Z obłoków na ziemię”. Jest to skarga dziewcząt zatrudnionych w pralni seminaryjnej na zbyt długi dzień pracy, rzekomo zbyt ostry nadzór ze strony zakonnic, niskie zarobki i wyżywienie nieproporcjonalne do wysiłki. Notatka została dodatkowo opatrzona kąśliwym komentarzem. Oryginał artykułu jest niestety niedostępny, jego streszczenie znane jest tylko z odpisu.

Rzeczywiście, na przełomie 1949 i 1950 roku z pracy odeszły trzy z siedmiu pracujących w seminarium dziewcząt. Jednak warunki pracy i płacy nie pozostawiały w rzeczywistości nic do życzenia¹⁰. Z dużym prawdopodobieństwem możemy więc wnioskować, że wobec praczek wystąpił nacisk władz mający na celu złożenie fałszywych oświadczeń.

Jak już wspominałem „odwilż” zakończyła się z końcem 1959 roku. Stosunki na linii państwo-Kościół stawały się z dnia na dzień coraz bardziej napięte. Atak skierowano na najbardziej czule miejsce Kościoła – w same jego serce – seminaria duchowne, szkolnictwo katolickie i nauczanie religii. Pierwszym do tego krokiem była wykrętna interpretacja formalnie obowiązującej ustawy z 11 marca 1932 roku o prywatnych szkołach oraz zakładach naukowych i wychowawczych¹¹ i wykorzystanie jej przepisów do poddania seminariów duchownych pod nadzór władz państwowych. Absurd takiego stanowiska polegał na tym, iż przepisy wspomnianej ustawy nie były stosowane do szkolnictwa kościelnego nawet w okresie międzywojennym, a to za sprawą podpisanego w 1925 roku konkordatu i jego artykułu XIII, który regulował kwestie seminariów duchownych. Władze nie stosowały tych przepisów także w latach 1945-1959. Wtedy dopiero postanowiono wykorzystać zapomnianą ustawę do rozprawy z Kościołem.

Rząd realizował politykę faktów dokonanych. 29 października 1959 roku Minister Oświaty w porozumieniu z Urzędem do spraw Wyznań wydał zarządzenie w sprawie nadzoru nad seminariami duchownymi obejmujące niższe i wyższe seminaria duchowne nadzorem państwowym. Decyzja o jego wprowadzeniu podjęta została bez konsultacji z Komisją Wspólną przedstawicieli Rządu i Episkopatu. Nadzór miał być realizowany poprzez wizytacje kuratorów okręgów szkolnych i urzędników wydziałów do spraw wyznań prezydiów wojewódzkich rad narodowych. Byli oni zobowiązani do wydawania tak zwanych zaleceń powizytacyjnych, do których realizacji zobowiązano rektorów seminariów.

Szczególne znaczenie dla sytuacji na Ziemiach Odzyskanych miał jednak inny dokument. 23 kwietnia 1959 roku Minister Gospodarki Komunalnej wydał okólnik nr 20 do Rad Narodowych w sprawie poniemieckich majątków kościelnych na Ziemiach Zachodnich, na mocy

¹⁰ W rozmowie telefonicznej miał to przyznać nawet przedstawiciel redakcji „Trybuny Robotniczej”.

¹¹ Dz. U. Nr 33, poz. 343. Tekę ministra wyznań religijnych i oświecenia publicznego piastował wówczas Janusz Jędrzejewicz.

którego władze państwowe planowały przejąć budynki mieszkalne i użytkowe będące w posiadaniu Kościoła katolickiego, a uznane za mienie poniemieckie. Wyłączono spod tej swoistej egzekucji dóbr jedynie obiekty o przeznaczeniu sakralnym. Zalecono jak najszybsze wykonanie rozporządzenia. Seminarium przy ulicy Łużyckiej znalazło się w stanie bezpośredniego zagrożenia.

I rzeczywiście. Wzmozżona akcja kontrolno-represyjna przeciwko Niższemu Seminarium Duchownemu w Gliwicach ruszyła na dobre w pierwszych miesiącach 1960 roku. 7 marca 1960 roku ksiądz rektor Józefa Maciaszka odwiedził komornik w związku z niezapłaceniem przez seminarium niesprawiedliwie naliczonego wstecz czynszu od lokali, wynoszącego ponad 95 tysięcy złotych. Komornik zagroził zajęciem konta bankowego w przypadku dalszego „uchylania się” od tej płatności. Wobec fizycznej nawet niemożności zapłaty (jak wynika z dokumentacji, w kasie seminarium pozostało 58 złotych i 22 grosze) sytuacja seminarium nie rysowała się różowo. Zgodnie z „obietnicą” konto placówki zostało zajęte.

Ponieważ 7 kwietnia w jednym z katowickich seminariów usiłowano przeprowadzić kontrolę (patrz ramka obok), podobnego ruchu władz spodziewano się w Gliwicach. 26 kwietnia za pośrednictwem specjalnego posłańca ksiądz rektor Maciaszek został „zaproszony” na spotkanie z katowickim kuratorem oświaty Wincentym Świątkiem. Tam zażądano od niego dostarczenia statutu seminarium, programów nauczania i innych dokumentów, niezbędnych do przeprowadzenia kontroli. Ksiądz rektor nie udzielił wiążącej odpowiedzi, zasłaniając się brakiem instrukcji od swego bezpośredniego przełożonego, biskupa Franciszka Jopa. Kurator zapowiedział kontrolę.

Wizytacja odbyła się 6 maja 1960 roku. O 10 rano do seminarium przybyli kontrolerzy. Wobec nieobecności rektora, otworzył im drzwi jeden z uczniów. Po powrocie, Maciaszek nie zgodził się na dokonanie wizytacji, nie posiadał bowiem zezwolenia swej władzy zwierzchniej. Ksiądz rektor zgodził się jedynie na oprowadzenie kontrolerów po budynku, celem dania im możliwości zbadania stanu pomieszczeń przeznaczonych dla uczniów (sypialnie, jadalnie, umywalnie). Maciaszek zaznaczył jednak, iż będzie asystował wyłącznie w charakterze świadka. Przystąpiono do oględzin biblioteki seminaryjnej. W świetlicy odnotowano tytuły prenumerowanych gazet i czasopism.

W sprawozdaniu z wizytacji czytamy, że seminarium znajduje się w „dużym, nowoczesnym budynku, posiada bibliotekę, w której znajduje się około 3 tysięcy tomów, jednak stan higieniczno-sanitarny pomieszczeń nie jest zadowalający. Ściany na korytarzach i w salach szkolnych są brudne, linoleum jest zniszczone, na sprzęcie znajduje się dużo kurzu. Gabinet pomocy naukowych znajduje się w bardzo zaniedbanym stanie. Brak jest przy tym odpowiedniego sprzętu (...). Alumni nie posiadają zapewnionej stałej opieki lekarskiej. Brak jest gabinetów: lekarskiego i dentystycznego. Istnieje jedynie jeden pokój z trzema łózkami i podręczną apteczką. (...). Seminarium sali gimnastycznej nie posiada. Brak jest również jakichkolwiek pracowni naukowych. Wyposażenie w pomoce naukowe do nauczania poszczególnych przedmiotów jest niezadowalające¹².”

Jest chyba sprawą oczywistą fakt, że powyższa opinia ma niewiele wspólnego ze stanem faktycznym. Wszystkie nieścisłości tego sprawozdania zostały sprostowane 14 czerwca 1960 roku w piśmie księży rektora Maciaszka do księży biskupa Franciszka Jopa, w którym czytamy:

„Nikt nigdy nie zarzucał w seminarium braków pod względem higieniczno-sanitarnych. Przy końcu roku szkolnego nie można wymagać, aby ściany świeciły świeżością, zresztą panowie z

Ostrzeżenie z Katowic

7 kwietnia 1960 roku kontrolerzy Kuratorium Okręgu Szkolnego Katowickiego odwiedzili Niższe Seminarium Duchowne pod wezwaniem świętego Jacka celem dokonania wizytacji. Biskup pomocniczy katowicki Juliusz Bieniek odmówił zgody na przeprowadzenie kontroli. W tym samym dniu seminarium zostało wezwane do zapłaty 280 tysięcy złotych zaliczki na podatek dochodowy za miniony rok. Seminarium katowickie było pierwszym na szlaku państwowych kontroli.

¹² Fragment odpisu pisma kuratorium Okręgu Szkolnego Katowickiego do Niższego Seminarium Duchownego w Gliwicach z 6 czerwca 1960 roku.

inspekcji byli tylko w jednej klasie (...). Linoleum zniszczone jest tylko w jednej klatce schodowej, stale używanej przez młodzież. Gabinet pomocy naukowych, nie bogaty, ale zawsze w pełnym porządku – kilka stołów i regały. Alumni korzystają z ubezpieczalni rodziców i są zawsze obsłużeni zadowalająco (...).”

Kuratorium brnęło jednak dalej w wytworzoną przez siebie fikcję. Ksiądz rektor nie wykonał, w dużej mierze bezpodstawnych, zaleceń pójnspekcyjnych, a zniecierpliwione kuratorium wystosowało do seminarium ponaglenie. Tym sposobem rosła sarta dokumentów, które w przyszłości miały posłużyć do wykazania krnąbrności rektora Niższego Seminarium Duchownego i jego niechęć do współpracy z organami państwowymi. Kontrole trwały nadal. Ksiądz rektor, chcąc nie chcąc, przyjmował je do wiadomości, nie chcąc dawać władzom oświatowym pretekstu do działań represyjnych wobec seminarium.

Wraz z kolejnymi kontrolami, pojawiały się coraz bardziej niedorzeczne oskarżenia wobec seminarium. Zarzucano rektorowi, że alumni nie uczą się posługiwania bronią w ramach zajęć z przysposobienia wojskowego. Nie znalazł także akceptacji rozbudowany program nauczania języka łacińskiego. Kolejnym pomysłem kuratorium był nadzór nad seminaryjną kuchnią, gdzie badano ilość kalorii przypadającą na każdego ucznia. Zaglądano do garnków i zwiedzano piwnice.

W październiku 1960 roku przedstawiciele Prezydium Miejskiej Rady Narodowej w Gliwicach dokonali nieudanej próby przejęcia zarządu nad budynkiem seminarium. Rektor nie wpuścił do wnętrza urzędników Miejskiej Rady Narodowej, uniemożliwiając tym samym przejęcie posesji. Zgodnie z przewidywaniami, na „karę” nie trzeba było długo czekać. Nazajutrz ksiądz rektor otrzymał decyzję Skarbowego Urzędu Komorniczego w Gliwicach o zajęciu konta bankowego w związku z nieuregulowanymi zaległościami podatkowymi.

Ksiądz rektor pozostał jednak nieugięty. Gdy my przyjdziemy jeszcze raz celem przejęcia budynku, czy nas ksiądz wpuści? – Zapytywał przewodniczący Miejskiej Rady Narodowej. Bez pozwolenia księdza biskupa nie mogą wpuścić – usłyszał zdecydowaną odpowiedź rektora.

Z dniem 1 stycznia 1961 roku wypowiedziano seminarium gliwickiemu ubezpieczenie od ognia kościoła seminaryjnego, kilka dni później także budynku szkolnego i zabudowań gospodarczych. 28 lutego ksiądz rektor otrzymał z oddziału Narodowego Banku Polskiego w Gliwicach zawiadomienie o likwidacji rachunku bankowego.

Największą troską księdza rektora były utrudnienia stwarzane przez władze oświatowe w zaopatrzeniu seminarium w podręczniki na rok szkolny 1961/1962. Przy rozsyłaniu zamówień na książki kuratorium pominęło niższe seminaria w Katowicach i Gliwicach, wobec czego koniecznością stał się zakup podręczników za pośrednictwem szkół, którym były one już zbędne. Znamiennym jest fakt, że rektor odmówił bezpośredniego zwrócenia się do kuratorium oświaty z prośbą o umożliwienie zakupu pomocy naukowych. Ksiądz Maciaszek uznał takie rozwiązanie za „dobrowolne oddawanie się w zależność”. Z czasem czuję coraz większy szacunek dla księdza rektora.

Nie zważając na utrudnienia, seminarium sukcesywnie realizowało narzucony sobie program nauczania. W dniach 23-25 maja 1961 roku odbyła się pisemna część egzaminów końcowych. Dwunastu alumnów zdawało język polski, łacinę oraz matematykę. Wszyscy zostali dopuszczeni do egzaminu ustnego, a rektor w piśmie z 31 maja z radością mógł poinformować biskupa Franciszka Jopa, że poziom zdających był znacznie wyższy niż w minionych latach. 5 czerwca pięciu abiturientów przystąpiło do eksternistycznej matury. Liczba ta mogłaby być większa gdyby nie fakt, że władze wymagały od przystępujących do matury eksternistycznie ukończenia osiemnastego roku życia.

Za piramidalny wręcz absurd można uznać wydarzenia, które rozegrały się w seminarium 29 maja. Budynek odwiedzili dwaj poborcy podatkowi, wysłani przez Urząd Komorniczy w Gliwicach. Mieli za zadanie zabezpieczyć należność Urzędu Skarbowego ze strony seminarium. Poborców nie wpuszczono do środka. Tymczasem, zażądali oni od rektora okazania pozwolenia Prezydium Miejskiej Rady Narodowej na posiadanie... pianina. Z przyczyn oczywistych takowego pozwolenia władze placówki okazać nie mogły. Instrument został zajęty.

Długo trwały konsultacje między księdzemrektorem Maciaszkiem a biskupem Franciszkiem Jopem, czy starać się o uzyskanie pozwolenia na pianino. Mógłby tym samym zostać stworzony niebezpieczny precedens, w którym władza ingeruje bezpośrednio we własność kościelną. Biskup zalecił jednak uzyskanie takiego dokumentu, co wzbudziło wówczas zdziwienie urzędników.

Serial spektakularnych utrudnień trwał nadal. 21 października 1961 roku oddział Zakładu Ubezpieczeń Społecznych w Zabrzu powiadomił o podwyższeniu wysokości składek ubezpieczeniowych dla pracowników zatrudnionych w seminarium i w parafii z 15,5% do... 30% kwoty zarobków brutto! Ksiądz Maciaszek odwołał się od tej łupieżczej decyzji. Na niewiele się to zdało, bo już 14 listopada ZUS upomniął się o wyrównanie różnicy wpłaconych składek i zagroził postępowaniem egzekucyjnym. Ksiądz rektor pozostał przy swoim stanowisku. Po długotrwałych konsultacjach z przełożonymi, zwyciężył jednak pragmatyzm. Liczono się z przegraną, jaką musi ponieść wystosowane przez seminarium odwołanie od decyzji ZUS-u. Ostatecznie księdza rektora przekonał fakt, że katowicka kuria biskupia, tamtejsze niższe seminarium duchowne, wyższe seminarium duchowne w Tarnowskich Górach i Krakowie zdecydowały się opłacać podwyższoną składkę.

Władza nie przegapiła żadnej błahostki, by dokuczyć seminarium. W marcu 1962 roku rozpoczęła się batalia w sprawie podatku dochodowego od kwot płaconych przez alumnów na wyżywienie. Wojewódzki Wydział Finansowy domagał się podania dziennych kosztów wyżywienia jednego alumna. Rektor Maciaszek oświadczył, że nie prowadzi w seminarium żadnej księgowości dotyczącej wyżywienia uczniów – alumni otrzymywali od rodziców po kilkaset złotych miesięcznie i za te fundusze sami kupowali żywność – tłumaczy dziś Józef Bonczol. Korzystali także z paczek żywnościowych, których wartość i zawartość nie była rektorowi znana, wobec czego nie był on w stanie podać kosztów wyżywienia pojedynczego alumna. Przez chwilę nie mogłem uwierzyć, że władze państwowe interesowały się nawet takimi drobnostkami.

W połowie kwietnia rozpoczęła się kolejna seria nękańcych wizytacji z katowickiego kuratorium. Kontrolowano między innymi kuchnię, pytano alumnów o kwestie związane z wyżywieniem, sprawdzano jadłospis. Sprawa wyżywienia, z niewiadomych względów, stanowiła przedmiot żywego zainteresowania władz. Także i w późniejszym okresie kontrolerzy wielokrotnie powracali do sprawy stołówki studenckiej, żądając coraz nowych wyjaśnień. Rektor raz po raz tłumaczył, że alumni utrzymują się sami, a zakupy żywności realizuje samorząd uczniowski z wpłat uczniów. Posiłki przygotowują siostry zakonne zatrudnione w seminarium.

W tym samym czasie, na mocy krzywdzących decyzji organów skarbowych, finanse seminarium znalazły się na skraju przepaści.

Kolejny akt dramatu rozegrał się pod koniec 1962 roku, kiedy jeden z alumnów, uczeń jedenastej klasy, został powołany do służby wojskowej. Wszelkie próby wpłynięcia na zmianę decyzji okazały się nieskuteczne. Innym, poważnym zmartwieniem był fakt, że część najzdolniejszych uczniów ulegała komunistycznej propagandzie i opuszczała seminarium. Obawy uczniów ogniskowały się wokół przewidywanych utrudnień przy zdawaniu eksternistycznego egzaminu dojrzałości. Przechodzili oni z reguły do niższych klas szkół państwowych. Sytuację pogarszał fakt, że nawet niektórzy proboszczowie namawiali alumnów do odejścia, określając naukę w niższym seminarium jako „zło i stratę czasu, ponieważ świadectwa szkoły kościelnej nikt nie respektuje¹³.”

W pierwszych miesiącach 1963 roku władze seminarium napotykały ogromne trudności w nabyciu opału. Składy opałowe otrzymały instrukcje, aby nie sprzedawać materiałów Niższemu Seminarium Duchownemu – tak, by doprowadzić przynajmniej do jego czasowego zamknięcia. Ostatecznie udało się uzyskać zlecenie na zakup dwudziestu ton koksu i trzech ton węgla, przy czym ksiądz rektor był zmuszony wykorzystać tu swoje osobiste znajomości.

W ramach permanentnych „działań nękańcych”, władze szkolne przeprowadziły rozmowy „wychowawcze” ze świeckimi nauczycielami niższego seminarium pracującymi także w szkołach państwowych. Celem, którego nie ukrywano, było doprowadzenie do samolikwidacji seminarium z powodu braku kadry nauczającej. W lutym 1963 roku kurator szkolny w Katowicach wezwał na rozmowę nauczycielkę geografii zatrudnioną w pracy w szkole państwowej, o ile nie zrezygnuje z prowadzenia zajęć w Niższym Seminarium Duchownym. Zastraszona nauczycielka złożyła wypowiedzenie z pracy w seminarium. Podobnie postąpił również szykanowany nauczyciel matematyki i fizyki, który jednak z początku próbował opierać się naciskom i oświadczył nawet,

¹³ Informacje te pochodzą z pisma księdza rektora Józefa Maciaszka do biskupa Franciszka Jopa z 13 grudnia 1962 roku.

że pracy w seminarium nie porzuci. Analogiczne „rozmowy” prowadzono także z nauczycielami biologii i wychowania fizycznego.

Jak wynika z relacji, w tym czasie nachodzenie seminarium przez urzędników Wydziału Finansowego przy Prezydium Miejskiej Rady Narodowej i innych instytucji kontrolujących działalność finansową placówki było tak częste i natrętne, że chyba nawet nie warto już przytaczać szczegółów wszystkich tych wizyt.

W pismach do biskupa Jopa ksiądz rektor napominał o kolejnych problemach. Między innymi okazało się, że żaden z gabinetów lekarskich na terenie Gliwic nie będzie przyjmował alumnów. Wskutek odmowy zgody na zakup opału w budynku seminarium większość kaloryferów i instalacji uległa zniszczeniu podczas silnych mrozów. W maju 1963 roku z pracy odeszli kolejni nauczyciele. Nie było chętnych do ich zastąpienia. Groziło to paraliżem szkoły.

Latem 1963 roku władze wykonały pierwsze ruchy, które świadczyły o tym, że „problem” seminarium będzie rozwiązany argumentami siłowymi.

17 lipca kurator katowicki w piśmie do kurii biskupiej w Opolu zapowiedział wystąpienie do Ministra Oświaty z wnioskiem o nieudzielenie zezwolenia na dalsze istnienie NSD w Gliwicach. W piśmie padają dość osobliwe motywy takiej decyzji. W seminarium panowały jakoby niewłaściwe stosunki wychowawcze, wywierające „specyficzny wpływ na charakter i psychikę młodzieży, co jest szczególnie szkodliwe dla licznych alumnów opuszczających seminarium i kontynuujących naukę w państwowych szkołach różnych typów, gdyż napotykają oni na bardzo poważne trudności w przystosowaniu się do atmosfery wychowawczej panującej w szkolnictwie państwowym oraz do stosunków społecznych w zakładzie pracy i instytucjach państwowych”. Mamy tu do czynienia z przejawem jednej z najbardziej charakterystycznych cech systemu komunistycznego: chęcią uszczęśliwiania ludzi na siłę. Jakby tego było mało, w piśmie stwierdzono, iż „seminarium nie odpowiada warunkom i wymaganiom szkoły średniej”. Chodziło o brak pracowni naukowych oraz podstawowego wyposażenia w pomoce naukowe i odpowiedni, niezbędny księgozbiór. Napiętnowano także niezadowalające, zdaniem kuratorium, warunki sanitarno-higieniczne w pomieszczeniach szkolnych i w internacie, stwierdzono lekceważenie zaleceń powizytacyjnych¹⁴. Zarzuty były zbyt ogólne i... bzdurne, co utrudniało władzom seminarium odpowiednią z nimi polemikę.

Likwidacja wydawała się przesądzona. Termin miało oznaczyć kuratorium katowickie. Czas, by spojrzeć na ten problem od strony prawnej.

Ministerstwo w swoich działaniach powoływało się na artykuł 39 ustęp 1 ustawy o rozwoju systemu oświaty i wychowania z 15 lipca 1961 roku. Uchylała ona, wspomnianą już, przedwojenną ustawę z 11 marca 1932 roku o prywatnych szkołach oraz zakładach naukowych i wychowawczych. Istota sprawy tkwi jednak w tym, że przepisy wykonawcze co do warunków i sposobów zamykania szkół zostały wydane dopiero w 1964 roku. Oznacza to, że w chwili, gdy ważyły się losy gliwickiego seminarium, ciągle obowiązywały przepisy wykonawcze wydane w oparciu o ustawę z 1932 roku. Zezwalały one na zamknięcie zakładu w czterech przypadkach. Oto one:

- gdy szkoła była nieczynna przez 3 miesiące bez usprawiedliwienia,
- gdy jej poziom naukowy lub wychowawczy w ciągu 3 ostatnich lat był niewystarczający,
- gdy szkoła nie przestrzegała obowiązujących przepisów lub postanowień statutu szkoły,
- gdy nauczanie lub wychowanie młodzieży odbywało się w duchu nielojalnym dla państwa, albo szkoła nie przeciwdziałała skutecznie szkodliwym pod względem wychowawczym wpływom na młodzież.

Cytowane powyżej przepisy zezwalały władzom na zamknięcie szkoły, nie zaś na „nieudzielenie zezwolenia na dalsze prowadzenie szkoły czy jej likwidację”. To niuans, ale nie po raz pierwszy władze nadużyły przepisy, na które same się powoływały.

Tymczasem, ksiądz rektor pracowicie spędzał okres wakacyjny. W budynku przy ulicy Łużyckiej 1 w sierpniu 1963 roku przeprowadzono niezbędny remont. Oczekiwano także na ekipę

¹⁴ Wszystkie cytaty z tego akapitu z: Pismo Kuratorium Okręgu Szkolnego Katowickiego do Kurii Biskupiej diecezji opolskiej z 17 lipca 1963 roku.

malarzy i specjalistę w zakresie instalacji grzewczych. Do remontowanego seminarium od czasu do czasu, tradycyjnie wkraczali różnoracy funkcjonariusze państwowi.

Ciekawy epizod przytacza w swoim piśmie do biskupa Jopa z 14 sierpnia 1963 roku ksiądz rektor Maciaszek. Otóż, w okolicach dnia 7 sierpnia funkcjonariusz z Komendy Wojewódzkiej Milicji Obywatelskiej w Katowicach wezwał na przesłuchanie jednego z alumnów seminarium przebywającego wówczas na wakacjach. Podczas rozmowy wypytywał go o warunki panujące w szkole. Poleciał nawet uczniowi „iść do seminarium i wy badać, jakie wrażenie tam jest, gdy tu wszyscy mówią o zlikwidowaniu seminarium w Gliwicach”. Wyznaczono uczniowi miejsce, w którym miał się później spotkać z funkcjonariuszami MO. Uczeń nie stawiał się na spotkaniu, a o całej sprawie poinformował rektora. Władze nieco się przeliczyły.

Atmosfera wokół seminarium gęstniała, stawała się z dnia na dzień coraz bardziej nerwowa i niepokojąca. Była to atmosfera wyczekiwania. Gdy rektor przyjął do pracy dwie kobiety, zamieszkałe w Kępnie, Biuro Meldunkowe odmówiło ich zameldowania. Jak napisano w wytłumaczeniu, „jest w powiecie gliwickim aż za dużo rąk do pracy i nie można sprowadzać z innych powiatów”. Jak widać z groteskowości tego uzasadnienia, władze nie siły się już na rozsądek.

Dowodem na niezwykle nerwowość tamtych dni jest zachowanie jednego z księży pracujących w seminarium. Wyjeżdżając na urlop w początkach sierpnia w tajemnicy przed wszystkimi ksiądz ten opróżnił swój pokój. Był to wyraz utraty nadziei na powrót do tego miejsca pracy po urlopie.

Pismo kuratorium Okręgu Szkolnego Katowickiego do kurii biskupiej w Opolu z 20 sierpnia 1963 roku było jednoznaczne. Termin likwidacji Niższego Seminarium Duchownego w Gliwicach został wyznaczony nazajutrz. W terminie do 22 sierpnia księdzu rektorowi nakazano złożenie akt i pieczęci seminaryjnych.

Interweniujący w tej sprawie biskup Jop niezwłocznie wysłał do Gliwic jednego z księży kurialistów. Ten jednak nie mógł dostać się do gmachu seminarium. Z odręcznej notatki biskupa Jopa (biskup Jop wszystko, co pisał, pisał ręcznie – to charakterystyczna cecha biskupa opolskiego) wiemy, że ulica była zagrodzona, teren pilnie strzeżony. Do instytucji państwowych rozesłano pisma protestacyjne. O zaistniałej sytuacji poinformowano także Episkopat Polski.

To, co wydarzyło się 21 sierpnia znamy z relacji księdza rektora Maciaszka¹⁵. Około godziny 8:00 w seminarium pojawiła się siedemnastoosobowa „ekipa likwidacyjna”. Przedstawiciel kuratorium wręczył rektorowi pismo z Ministerstwa Oświaty nie zezwalające na dalsze prowadzenie seminarium oraz pismo z kuratorium ustalające termin likwidacji szkoły na 21 sierpnia 1963 roku. Przedstawiciel Wydziału Spraw Lokalowych Prezydium Miejskiej Rady Narodowej w Gliwicach przekazał dokument nakazujący niezwłoczne opróżnienie lokalu niższego seminarium. Przedstawiciel Skarbowego Urzędu Komorniczego wręczył księdzu rektorowi upoważnienie na przeprowadzenie egzekucji i osobistej rewizji w prywatnym mieszkaniu rektora, a także nakazy płatnicze na łączną sumę ponad miliona złotych. Rektor nie potwierdził pisemnie przyjęcia żadnego z tych dokumentów, a żądania określił jako niesprawiedliwe.

Osoba dowodząca akcją ogłosiła arbitralnie, że Niższe Seminarium Duchowne w Gliwicach ulega rozwiązaniu, zaś budynki przekazuje się Politechnice Śląskiej. Dyrektor administracyjny uczelni zaoferował nawet księżom i siostrom zakonnym mieszkania zastępcze (podstawiono nawet ciężarówki i proponowano pomoc tragarzy). Czekano na instrukcje z kurii. Podczas akcji likwidacyjnej z budynku nikogo nie wypuszczano, ani doń nie wpuszczano. Sytuacja zaistniała na ulicy Łużyckiej i w jej okolicach przypominała stan oblężenia.

Wobec zablokowanych ulic, wysłannik kurii opolskiej nie przybywał. Zrezygnowani pracownicy seminarium rozpoczęli przygotowania do przymusowej przeprowadzki. „Ekipa likwidacyjna” zażądała od rektora zdjęcia krzyży i obrazów ze ścian. Spotkało się to ze zdecydowaną odmową, toteż ekipa dokonała tego sama. Ksiądz rektor zmuszony był następnie podpisać protokół zajęcia nieruchomości seminaryjnych.

Do absurdałnej sytuacji doszło przy zajmowaniu kościoła przyseminaryjnego. Całą sytuację zna doskonale pan Józef Bonczol. W godzinach popołudniowych zamurowano przejście

¹⁵ Odpis Protokołu z przejęcia Niższego Seminarium Duchownego w Gliwicach w dniu 21 sierpnia 1963 roku przez Prezydium Miejskiej Rady Narodowej w Gliwicach sporządzonego przez księdza rektora Józefa Maciaszka.

do kościoła świętego Michała z budynku seminarium. Około godziny 18:00 mur ten zburzono, ponieważ nie można było wejść do kościoła zamkniętego od wewnątrz.

Wobec tego, że po ponownym zamurowaniu przejścia nie było możliwości zamknięcia kościoła na noc, jeden z księży wraz z osobą świecką nocowali w środku. Około godziny 22:30 ksiądz rektor wraz z siostrami boromeuszkami udał się na krótką adorację do kaplicy seminaryjnej. Po chwili zamknął kaplicę na klucz, zaś dyrektor administracyjny Politechniki Śląskiej zapieczętował drzwi. Nad drzwiami do budynku zawieszono dwie tablice z napisem „Politechnika Śląska – Studium Wojskowe” i „Politechnika Śląska – Wydział Automatyki”.

Z korespondencji między biskupem Jopem a księdzem Maciaszkiem wynika, że ordynariusz opolski miał nadzieję na zmianę stanowiska władz i rychłe otwarcie niższego seminarium w Gliwicach¹⁶. Jednak 12 listopada Biuro Skarg i Listów Urzędu Rady Ministrów zawiadomiło biskupa Jopa, że jego skarga na bezprawne zlikwidowanie seminarium gliwickiego „została oddalona jako nieuzasadniona”¹⁷. Ksiądz rektor Maciaszek został mianowany proboszczem pobliskiej parafii świętego Michała.

Przepychanki między władzą a duchownymi trwały jeszcze przez pewien czas z dużą intensywnością. Ponawiane jeszcze wielokrotnie starania o zwrot Kościołowi budynków seminaryjnych w Gliwicach zaowocowały dopiero po odzyskaniu przez Polskę pełnej niepodległości w 1989 roku. Po ostatniej reorganizacji struktur administracyjnych Kościoła w Polsce, od 2 stycznia 1995 roku w budynku dawnego Niższego Seminarium Duchownego ma swoją siedzibę Kuria Biskupia w Gliwicach.

Przytoczony w tym aneksie spór ma za zadanie pokazać, jak bezwstydnie obchodziły się instytucje państwowe z instytucjami kościelnymi. Nie dbano ani o prawo, ani o zachowanie dobrych obyczajów. Księży i alumnów potraktowano jak kryminalistów, organizując na nich swoistą obławę i dokonując wielokrotnych rewizji i nieuzasadnionych inspekcji. Nie darowano sobie użycia żadnego, nawet najbardziej nonsensownego argumentu, byleby tylko jego wymowa skierowana była przeciw Kościołowi. Obiektywnie rzecz ujmując, seminarium nie miało szans. Nie sposób było marzyć o przeciwstawieniu się ówczesnej administracji. Siły nie były wyrównane, nie były nawet porównywalne. Upadek seminarium gliwickiego nie mógł być dla nikogo zaskoczeniem. Konsekwentnie realizowana przez władze polityka zamykania ośrodków edukacji kościelnej przyniosła zresztą efekty nie tylko w Gliwicach.

¹⁶ List biskupa Franciszka Jopa do księdza rektora Maciaszka z 1 września 1963 roku.

¹⁷ Pismo numer I-130/M/63 z 12 listopada 1963 roku.

Zakończenie

Podczas mojego ostatniego spotkania z księdzem Brunonem poczułem, że chętnie rozmawiałbym jeszcze dłużej i dłużej... Tyle jeszcze problemów i myśli zdawało się być wartymi poruszenia. Ksiądz Brunon stojąc w progu swojego domu, widząc moje zakłopotanie, powiedział wówczas: *Jeżeli będzie trzeba, na pewno jeszcze porozmawiamy*. Pewnie i tak. Ale już innym razem i w innych okolicznościach. Ksiądz Brunon Ploch zmarł po ciężkiej chorobie 17 grudnia 2005 roku... W osobie księdza Brunona Plocha odszedł kolejny bohater walki o tożsamość Kościoła w trudnych czasach ateizmu PRL...

Walka się skończyła. Jej koniec wyznaczył przełom lat 1989/1990. Kwestię do oddzielnych rozważań stanowi problem, jak dziś wykorzystywane są owoce tego przełomu. Oceny są różne, od wielkiego rozczarowania tworzącymi się w Kościele podziałami, które w minionej „epoce” nie występowały w takim stopniu, do poglądów optymistycznych i korzystnych. Moim rozmówcom myśli często wymykały się poza niebezpieczną, bardzo cienką granicę 1989 roku, biegły w przód. Nawet przy tak rozległym czasowo temacie, u ludzi występuje pragnienie wiecznych odniesień do teraźniejszości.

Praca, jaką wykonałem, była dla mnie szkołą. Wewnętrznie czuję się spełniony, znalazłem odpowiedzi na pytania, jakie stawiałem sobie przed zapisaniem pierwszej kartki tego opracowania. Znalazłem ludzi, którzy zaspokoili moją ciekawość i rozwiali moje wątpliwości. Błędem i brakiem pokory byłoby stwierdzenie, że temat jest zamknięty i nie wymaga dalszego zgłębiania i dalszych badań. Myślę jednak, że ta praca jest oparta na solidnych podstawach. Cieszę się, że miałem okazję ją zrodzić.

Podziękowania

Pragnę serdecznie podziękować:

Wszystkim rozmówcom, zarówno księżom, jak i osobom świeckim, za zainteresowanie i zaangażowanie, a także służeńie pamięcią i dobrym słowem dla autora tej pracy.

Członkom Wspólnoty świętego Marcina, działającym przy parafii Najświętszej Maryi Panny Wspomożenie Wiernych w Gliwicach, za odwagę w dzieleniu się swoimi przeżyciami.

Panu Józefowi Bonczolowi, archiwście Kurii Diecezjalnej w Gliwicach, za pomoc w odszukaniu potrzebnych materiałów i opowieść o Niższym Seminarium Duchownym w Gliwicach.

Doktorowi Andrzejowi Zielińskiemu, za recenzję pracy i pomoc w skontaktowaniu się z księdzem Józefem Dyllusem.

Ani Półtorak, za informację o konkursie i wsparcie duchowe.

Indeks miejsc

B

BARDO ŚLĄSKIE 28
BIEDRUSKO 34
BOJSZÓW 37
BRYNICA 50
BRZĘZINY ŚLĄSKIE 13
BYTOM 10-11, 47, 51, 55
BYTOM-BOBREK 75
BYTOM-MIECHOWICE 74

C

CZĘSTOCHOWA 7, 34

G

GLIWICE 14-15, 17, 22, 24, 27, 30-31, 33, 36-38, 40-44, 61, 63, 74, 78, 80, 99-106
GLIWICE-BRZĘZINKA 37
GLIWICE-SOŚNICA 20, 22, 29-31, 40, 45, 75, 78
GÓRA ŚWIĘTEJ ANNY 28-29, 67, 78, 90
GÓRAŹDŹE 38, 40
GROSZOWICE 27
GUBIN 33

I

ISTEBNA 67

K

KAMIEŃ ŚLĄSKI 16, 20-21, 40, 51, 71-72
KATOWICE 12, 51, 67-68, 81, 100-105
KRAPKOWICE 39, 71

Ł

ŁĄCZA 29

M

MIECHOWICE 10-14

O

OPATÓWEK 14
OPOLE 15, 32, 36, 46, 52, 67-68, 81, 99, 104-105
OŚWIĘCIM 32

P

PIEKARY ŚLĄSKIE 28, 32, 42-43, 77
POZNAŃ 33
POZNOWICE 77
PRZYSZOWICE 18, 64

R

RACIBÓRZ 71
RUDY RACIBORSKIE 32

S

SIDZINA 48, 61-63
ŚLAWKÓW 17
STOLARZOWICE 13
STRZELCE OPOLSKIE 28, 68, 90
SZARLEJ 12

Ś

ŚWIĘTOCHŁOWICE 14

W

WAMBIERZYCE 28
WODZISŁAW ŚLĄSKI 46

Z

ZABRZE 10, 14-15, 21, 23, 27-29, 33, 43-44, 46-48, 50-51, 55, 59, 63-65, 67, 71, 74, 81-82, 102
ZABRZE-BISKUPICE 23, 31-32, 43, 85
ZABRZE-MIKULCZYCE 58
ZABRZE-ZABORZE 80-81, 83-84, 91
ZAWADZKIE 17

Indeks nazwisk

A

AVELINA, siostra 27

B

BENNEK, Józef ksiądz 14-15

BIENIEK, Juliusz biskup 101

BIERUT, Bolesław 46

BONCZOL, Józef 12, 14, 48, 99-100, 103, 105

BROM, Florian 36-37

C

CHWASZCZA, Ryszard 79

CICHON, Maksymilian ksiądz 11-12, 14

CZERWENSKY, Maksymilian ksiądz 14

D

DE GAULLE, Charles generał 59-60

DOLLA, Jan ksiądz 14

DOMIN, Czesław biskup 81

DRZYSGA, Herbert 12-13

DUBIEL, Paweł 15

DYBEK, Bernard 21, 29-30, 45, 75, 91

DYLLUS, Józef ksiądz 40-41, 44, 48, 61-63, 75, 80, 85

E

ERZEPKY, Antoni ksiądz 14

F

FRENZEL, Jan ksiądz 12-13

G

GAJDA, Jan 13

GIEREK, Edward 7, 16, 31, 34, 50, 69, 72, 96

GLEMP, Józef prymas kardynał 80

GOLOMBEK, Oskar ksiądz 14

GOMUŁKA, Władysław 16, 26, 30, 69

GREGOR, Hubert ksiądz 14

GROCHOWINA, Augustyn ksiądz 14

GWÓŹDŹ, Alojzy 18, 22, 27-28, 30-31, 33-35, 77-78, 90, 95

H

HANYSEK, Emanuel ksiądz 63, 86

HITLER, Adolf 90-91, 94

HLOND, August prymas kardynał 7

HLUBEK, Herbert ksiądz 67

HRABOWSKY, Alfred ksiądz 14

I

IPHIGENIA, siostra 27-28

J

JAMROZ, Maria siostra 85

JAN PAWEŁ II, papież 78, 89, 96-97

JARUZELSKI, Wojciech generał 46, 82

JELITKO, Eryk ksiądz 14

JONCZYK, Gerard ksiądz 14

JONIENC, Jerzy ksiądz prałat 14, 22, 28, 30-32, 40, 45, 90

JOP, Franciszek biskup 24, 36, 90, 101-106

K

KANTOR, Mirosław 83, 91

KIESLING, Ernest ksiądz 14

KOŁOCZEK, Jadwiga 22, 29-33

KOŁODZIEJ, Konrad ksiądz prałat 17, 22-23, 25, 40-41, 60, 64-65, 73-74, 78, 89

KOMINEK, Bolesław kardynał 7, 10-12

KOMOROWSKA, Maja 74

KORMAŃSKI, Antoni ojciec 14

KOŚMICKI, Eryk 32

KOWALSKI, Zbigniew ksiądz 30

KURZAJ, Franciszek ksiądz 85

KUSZ, Gerard biskup 16

L

LANGER, Augustyn 20, 22, 31-33, 75

LANGER, Joanna 22, 29, 32-33

LERCH, Jan ksiądz 14

LISCHKA, Antoni ksiądz 14

M

MACIASZEK, Józef ksiądz 101-106

MASCHINSKA, Eleonora 12

N

NAUMANOW, Aleksander generał 12-13

NIEROBISCH, Antoni ksiądz 14

NOSSOL, Alfons arcybiskup 78

O

OPACKI, Rudolf ksiądz 14

P

PATTAS, Bruno ksiądz 14

PIELESZ, Stanisław ksiądz 81

PIERUSZKA, Franciszek ksiądz 14-15

PISZCZEK, Jerzy ksiądz 14

PIUS XII, papież 7, 10

PLOCH, Brunon ksiądz 15-17, 20, 24, 26, 28, 38-40,
45, 50, 57-58, 60-61, 64, 69-73, 77, 86, 88,
107

POLECHOŃSKI, Adam ksiądz 50

PORWOLL, Wilhelm ksiądz 14

PSTROWSKI, Wincenty 14-15

PYRCHAŁA, Paweł ksiądz infułat 11, 14-15, 19, 21,
23-24, 36, 42, 44, 46-47, 49-53, 56, 58-60,
65, 67-68, 71, 74, 80-82, 85, 89

R

ROMASZKAN, Kazimierz ksiądz 14

ROSZKO, Kazimierz ksiądz 14

ROŻEK-LESIAK, Krystyna doktor 67-68

RUDZOK, Henryk ojciec 14

S

SCHENK, Wacław ksiądz profesor 48

SCHOPPA, Bruno ksiądz 14

Ś

ŚWIĄTEK, Wincenty 101

T

TKOCZ, Paweł ksiądz doktor 99

TOMECZEK, Antoni ksiądz prałat 47, 50, 56

TRAFAS, Bronisław ojciec 14, 47-48

TSCHOEPE, Jan ksiądz 14

TWARDOWSKI, Jan ksiądz 75

W

WOJTYŁA, Karol kardynał 77-78, 87

WOLF, Edgar ksiądz 14

WYCISK, Wacław biskup 59

WYSZYŃSKI, Stefan prymas kardynał 7, 30, 56, 59,
70, 80, 89

Z

ZAWADZKI, Aleksander generał 46

ZUB, Jan 45

Ż

ŻAGAN, Marian ksiądz infułat 48, 50, 52